

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM LVIII.

ALKHADAR.

USTĘP Z DZIEJÓW OJCÓW NASZYCH

PRZEZ

EDMUNDA CHOJECKIEGO.

WYDANIE DRUGIE, POPRAWNE.

TOM CZWARTY.



LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.

1869.

لعنكنّ الله جميعل سميتنّ عمرى
و الهمتنتّى هذا الكتاب

XIV.

Na Rusi Czerwonej, kto lubi wesołe życie temu nie dolegnie samotność. Rzemiennym dyszlem przejeździć można wiek cały, a zawsze z zabawy na pohulankę, z urodzin, na imieniny, z wesela — z wesela — na co? — Ha, bogdaj na pogrzeb; kto rad znajduje się w zbiegowisku, kto umie się bawić, temu i na pogrzebie nie smutno. Znałem ludzi, którzy chętnie uczęszczali na ten rodzaj rozrywek. Leniwi do polowania, niezgrabni do tańca, skąpi do rzucenia kiesy na kartę, lubowali się w pokątnych z księżmi rozmowach, w licznem a pomimo to nie hałaśnem zgromadzeniu gości, w mądrych wywodach prawników o sukcessji, o publicznej sprzedaży, o testamencie i kodycylach, o spadkobiercach i o niezbędnych wkrótce procesach. Ludzie ci, jako Karol V., byliby chętnie wyprawili sobie własny pogrzeb dla przyjemności zabrania stanowczego głosu w gawędach i sądach o nieboszczyku. Zacni są to ludzie, nadzwyczaj praktyczni, słodko rozsądni i Nestorowo wymowni; uciekam przed nimi zdaleka, ale zdejmuję kapelusz, każda bowiem zasługa odbiera swoją cześć.

Innych wesela tylko bawią, skoczne zabawy nęcą; inni stronią od pogrzebów jak od tatarskiej dżumy; widok trumny uśmiech im ścina na ustach, żałobne dzwony głuszą dowcip, usypia ich księża gawęda. Są to znakomici filozofowie, którzy zrozumieli że najwyższym wyrazem złego na ziemi jest niebyt, śmierć, i że nawzajem źródłem dobrego, życie, a ozdobą życia uciecha, a uciechą wesołe towarzystwo, a wesołem towarzystwem, biesiadnicy drwiący z przyszłości, bałwochwalcy

teraźniejszej chwili, czciciele namiętnych wzruszeń podnieconych, w braku rodzimej siły, szałem jakiegokolwiek upojenia.

Juljusz byłby mógł niezaprzeczenie zasiąść katedrę podobnej filozofji. Całe jego życie było dokładnem urzeczywistnieniem powyższego systemu. Nawiedzony — jak sam często mawiał, przypadkiem urodzenia, od najmłodszych lat przemyśliwał tylko nad sposobami wymykania się nieodstępnym człowieczemu losowi dolegliwościom.

Szaleniec tylko ślepą ręką sięgał po różę; mądry, umiał kwiat zrywać a ciernie omijać. Juljusz zdaleka wypatrywał kwiaty i kolce; matematycznem wyrachowaniem wyciągał dłoń po pierwsze, unikał drugich, nie unosił się nigdy namiętnością, nie miał jej w swojej naturze; w stosownym atoli razie, gdy mogła mu być wygodną, potrafił ją w sobie rozdmuchać, szalał głową jak drudzy zmysłami lub sercem, nigdy się przecież nie zapominał, samego siebie zawsze miał przytomnym — ostateczne uczucia, zaślepione popędy uważał za zgubne dla zdrowia i innych warunków bytu, pojmował wszelką uciechę, nienawidził wszelako i strzegł się zmęczenia. Z romantyków szydził, sentymentem gardził, ostro zajmował się drugimi, sam nie cierpiał cudzej nad sobą opieki. W kupnie konia wybierał przedewszystkiem silne nogi i wytrzymałość bez granic; w doborze przyjaciół patrzył na zapas dogodności jaki mu każdy przynosił.

Światowe położenie Wilczka, wpływ jego na młodzież, szacunek i wziętość, jakie z młodego panicza znanego z świetnych zalet i z licznych pojedynków, spadały na poufałych towarzyszów, znakomite stosunki w kraju i w Wiedniu — wszystko to miękko przystawało do Juljusza i pokazywało mu w Wilczku koniecznego przyjaciela. Ale przyjaźń, równie jak szlachectwo, ma swoje święte obowiązki.

Wilczek, przy wybornych przymiotach, grzeszył ciężką wadą; nie umiał się prowadzić. Marnotrawił wrodzone dary losu, o rachunkach nie znał żadnego pojęcia, bezmyślnie przepaść przed sobą otwierał, narażał na zatratę dziwnie szczęśliwe położenie, oczywiście bowiem, pierwsza rdza niedostatku na lśniącej tarczy magnata byłaby rozproszyła cze-

redę biesiadnych druhów, zagubiła jego wziętość, bliskich zaś przyjaciół naraziła na ważne nieprzyjemności.

Juljusz potrzebował świetności Wilczka; kochał go, sam wreszcie był jego wierzycielem, rozważał więc za nieoględnika i z przyszłością się targował.

Zerwanie stosunków z Nastusią, było więc pierwszym krokiem do wydobycia się na pełną przestrzeń niezawisłości. Juljusz szczerze winszował sobie uczestnictwa, jakie przyjął w tej sprawie. Dzień, miesiąc przebyć z chłopką, była to rzecz zwyczajna, ale marnować długie lata na pożyciu z niegodnem siebie stworzeniem, kompromitować się w oczach całego świata naganną słabością ku wiejskiej dziewczynie, porzucać dla siermięgi jedwabie, zwłaszcza kiedy się nosiło znakomity tytuł i nazwisko Wilczka — na honor, podobnego szaleństwa nikt dotąd nie spotkał! —

Wilczek oczywiście zagradzał sobie przyszłość, byłby ją nawet całkiem zagrodził, gdyby szczęściem na brzegu otchłani nie była go ujęła silna dłoń przyjacielska.

Porzucenie Nastusi twardym było do zgryzienia orzechem, rozsądek atoli w porę nadbiegł z pomocą chwiejącym zamiarom, pękły szczelnie na pozór zawiązane węzły; dziewczyna sama zrozumiała niewłaściwość swego położenia, znikła bez śladu, nie zostawiła za sobą żadnych skarg, żalów, wymagań; pojęła i jak na chłopkę, uczciwie wypełniła swoją powinność.

W nagrodę za przyzwoitą pokorę, należało pomyślić o jej losie.

Juljusz pierwszy, szlachetnie wspomniał o osadzeniu Nastusi na komorze w oddalonym folwarku, napróżno atoli, tu i owdzie przepytywano się o dziewczynie; nikt nie umiał dać o niej wieści. Dobroczynne zamiary dziedzica i jego doradcy spełzły na niczem; głupia wieśniaczka zamierała może gdzie w nędzy — tem gorzej dla niej; nikogo prócz siebie samej nie miała prawa oskarżać.

Wilczek czuł się wywiązanym z wszelkich obowiązków ku córce piastunki Krystyny — tak przynajmniej głośno twierdził przed Juljuszem, ilekroć tenże wszczynał nienawistną mu rozmowę. W duszy jednak zdarzało się nieraz że inne

szeptały mu głosy, głosy rozdzierające spokojność, chłoszczące sumienie bez miłosierdzia i tak wrzaskliwe, że najhuczniejszy zgiełk nie potrafił ich zagłuszyć.

Tajemniczy los Nastusi, w strasznych widziadłach stawał mu przed umysłem. Gdyby choć raz jeszcze mógł ją obaczyć — gdyby cudownym trafem wynaleźć jej ślady — Wilczek może byłby padł przed nią na kolana, uścisnął w objęciach, utulił, ubłagał, świat dla niej porzucił i dozgonnem przywiązaniem bolesną przeszłość zagładził.

Wywiadywał się ukradkiem, rozsyłał wiernych służebników. Napróżno! — wszyscy wracali bez odpowiedzi.

Tymczasem Juljusz na krok go nie odstępował, z każdym dniem stawał się mu bardziej nieznośnym i niezbędniejszym zarazem; on jeden umiał wyrywać go z wiru gryzących myśli, on jeden na zgryzoty pamięci wynajdywał kordjał zapomnienia, z gotową zawsze radą przybiegał w frasunku, budził w nim namiętne popędy, wskazywał cel i środki ich zaspokojenia.

Wilczek po pamiętnej scenie z Nastusią, ze zwykłym łoskotem zajechał znów w miasto, spotkał się z przyjacielem, pogodził, dał się mu porwać i głębiej niż kiedykolwiek zanurzył się w szale uciech, gry, pijatyki.

Towarzysze powitali go grzmotem oklasków; w pierwszych dniach wszyscy tłumnie skupili się w okół przywódzcy i w poręcz pośpieszyli z nim ku wrzawie życia. Niebawem jednak, zgiełkliwa czereda widocznie zaczęła się zmniejszać; najwytrzymalsi z trudnością nastarczali szalonym naczelnika zapędom; wesołość Wilczka, gorączkową, zapalna, wytchnąć nikomu nie pozwalała.

Opóźnione ciury wyczerpywały ostatnie siły, wlokąc się za obozem rozpusty, za obozem który wkrótce składał się z jednego tylko człowieka.

Wilczek znalazł się sam; zdaleka dochodziły go ochrzypłe głosy, konające śmiechy, urywane nagle letargiem głębokiego snu, przezsenne wykrzykniki myśli kąsanej zmorą szału, czasami jęki sił skołatanych nadużyciem.

On sam jeden, z załamanemi na piersiach rękami, z bladem obliczem, z zaognionemi oczyma, stał niezachwiany, nie-

wzruszony, pełen pogardy dla samego siebie i dla ofiar rozciągniętych na tem poucztowisku obłędu.

Szukał zgiełku, upojeń, zapomnienia, ale w chwili gdy mniemał że ostatni ślad trawiących pamiątek zaprzepaszcza na dnie bezmyślnego wiru, nagła cisza wracała mu przytomność, milkły głosy ludzkie; jeden głos tylko umilknąć nie chciał, jedno uczucie płomieniem wypełzało mu na serce, gryzło pierś, w mózg zapuszczało ogniste żądła, odpędzało zmęczenie od ciała i zasnąć nie dopuszczało zmęczonym powiekom.

Do wściekłości doprowadzony, opuszczał dogorywające światła, z dzikim uśmiechem chwytał między dłonie pałającą żarem głowę — wybiegał na ulicę.

Dzień zwykle już świtał, ruch wzmagał się w mieście; kupcy otwierali sklepy — z pobliskich wiosek dziewczęta z jarzynami i mleczywem spieszyły na targ. Nie jedna z nich przeświecała białemi ząbkami, nuciła kołomyjkę lub tęskną jaką gminną piosenkę. Dźwięki te, strój, płowe włosy, podobieństwo czasami rysów, rozjątrzały w Wilczku świeże rany — darmo! — Ani w samotności, ani w zgiełku biesiadnym, ani w ulicznym gwarze, nie mógł znaleźć zapomnienia i spokoju.

Rodzinna ziemia paliła mu stopy; krąg odosobienia coraz się w koło niego rozszerzał — nudziły go, szły w niesmak znajome towarzyszów postacie; głos mowy ojczystej, widok ludu polskiego, drażniły mu zmysły; Wilczek postanowił odetchnąć innem powietrzem, stracić na chwilę z oczu kraj i swoich, zaczerpnąć urozmaicenia w ulubionej stolicy — w Wiedniu.

Juljusz ze swojej strony także rad był przewietrzyć się w cesarskiem mieście. Kilka miesięcy pobytu w Wiedniu, liczy się zawsze za zasługę przyzwoicie wychowanemu galicyjskiemu szalchcicowi.

Od pewnego czasu Juljusz widocznie pokumał się z szczęściem, lub może nawet jak głosiły złośliwe języki, wynalazł sposób stałego ujarzmienia zmiennych łask fortuny. Krótko mówiąc, wprzągł ślepą boginię do zwycięzkiego rydwanu i jako bohaterowie Romy, wiodąc przy sobie pokonanego króla

Faraona, z tryumfów śpieszył na tryumfy, łupy garnął do łupów.

Galicyjskie owieczki nie wiele dawały wełny; raz ostrzyżone, długo chodziły gołe wprzód nim znowu w daninę porosły. Wiedeń pod tym względem, nęcił pomyślniejszym obłowem. Bogata węgierska szlachta, Esterhazy, Palfy, Ziczy, Battyany, moskiewski poseł Tatyszczew, kilku angielskich lordów, petersburskich kniaziów a nawet książąt niemieckiego państwa, z ochotą garście złota miotało na kartę.

Stosunki Wilczka otwierały mu przystęp do świetnego towarzystwa; pochlebnie przyjmowany graf polski, łatwo mógł wprowadzić przyjaciela, choćby nawet do samego księcia kanclerza.

Juljusz naznaczył Wilczkowi rolę i w zamian za pospolitą przysługę, otwierał mu na rozcież przystęp do wzbierającego coraz szczęściem swojego Paktolu.

Uczynność tę wprawdzie, troskliwie zapisywał na rewersach i troskliwiej jeszcze zaciągał następnie w hypoteczne księgi, ale Wilczek nie zważał na te drobnostki, z wdzięcznością przyjmował usługi, z każdą chwilą ściślej bliźnił się z nieocenionym druhem. Wyjechali do Wiednia.

Juljusz niebawem zajął upragnione sobie miejsce za zielonym stolikiem; Wilczek uderzył od razu we wszystkie struny opętanego życia.

Wiedeńska młodzież nie łatwo wpadała w zadziwienie; tysiące szalonych dziwactw codzień przesuwało się przed jej oczyma, tym jednak razem, zdumiona, musiała przyznać palmę galicyjskiemu magnatowi. Niesłychane ciosy poniesione lub zadane karcianym igrzyskom, konne gonitwy i zakłady o jakich później sam graf Szandor z drżeniem byłby pomyślił, bajeczne uczty, którym teatra dostarczały głównej ozdoby a zapału wyborna muzyka i strumienie wina, zapamiętałe pojedynki gdzie zręczność i zimna krew zwycięzcy naprzemian pokonywały przeciwników — każdym z tych wawrzynów, Wilczek kolejno wieńczył skronie.

Towarzystwo zabrzmiało jego nazwiskiem, echa pańskich salonów odbiły się o przedmieścia; wziętość młodego grafa

do tego stopnia urosła, że jeden z kupców modnych towarów, czołem przed nim uderzył i pokornie prosił o pozwolenie wypisania nazwiska jego na sklepie i wywieszenia wizerunku pod hasłem: «Śmiałego Jeźdźca.»

Wilczek poufale kramarza po ramieniu poklepał, przyrzekł swoją opiekę, prośbie jednak odmówił. Resztki polskiej dumy nie mogły tak dalece puścić się w poniewierkę.

W kilka lat później, tenże sam handlarz ze szczęśliwszym skutkiem ponawiał podobnąż prośbę. Nowe sitko na kołku wiedeńskiego rozgłosu, zawisło także i na sklepie modniarza. Mieszczanie cesarskiego miasta z przyjemnością zatrzymywali się na placu Ś. Szczepana, przed wielkim konnym konterfektem zięcia Jego Książęcej Mości, kanclerza Metternicha. Działo się to naprzeciw wielkich drzwi Kościoła, obok Cukierni pod Zieloną Małpą.

Anegdota atoli rozeszła się po Wiedniu przydając Wilczkowi sławy, budząc w młodzieży nowe oklaski i nowe zazdrości. Drugie to uczucie zaczynało nawet w niektórych jego towarzyszach brać górę nad podziwieniem — w istocie bowiem jak nie było zazdrościć człowiekowi, któremu los upornie kwieciem słał drogę życia, który rzadkim trafem łączył w sobie znakomite nazwisko z wrodzonemi świetnemi zalety i z szczęściem ostatniego zuchwalstwa.

Czyli i Wilczek podobnie tuszył o swojem szczęściu? — nie trudno byłoby odpowiedzieć temu, kto potrafiłby zejść go ukradkiem w samotności, sam na sam z własnemi myślami.

Zgiełk stolicy i zmienność jego charakteru pomogły mu wprawdzie do chwilowych nad wspomnieniami zwycięztw, dno sumienia atoli zawsze pozostało burzliwem. Im gwałtowniej wyrywał się z objęć przeszłych pamiątek, tem głębiej następnie zapadał w otchłań czczości, niesmaku, nieopisanych zgryzot. Często w hałaśnem kole towarzyszów, gdy czereda wrzała okrzykami i śmiechem, gdy szał zdawał się ostatki zmysłów porywać, Wilczkowi konwulsyjne jakieś zmarszczki nagle bróździły czoło, głos wiązgł mu w piersiach, tonął w zamyślenie i znowu się budził, i jak gdyby natrętne owady brzę-

czały mu w uszach, zrywał się z miejsca, wznosił spieniony kielich, zagrzewał obecnych do ochoty, wynajdywał niesłychane dziwactwa.

W Wiedniu o nim tylko mówiono; potomkowie pierwszych w cesarstwie rodzin dobijali się o jego względy. W Galicji wspominano o Władysiu ze szczególnem uczuciem dumy; w istocie było czem się poczwanić — Niemiec panował we Lwowie, Polak natomiast przywodził modzie w stolicy, podziwem uderzał Austrjaków, pokazywał im jak należało żyć, gdy dzielną sarmacką krew miało się w żyłach.

Poznali Niemcy z kim mieli do czynienia!

Wilczek pomimo to, i na sławę zaczynał obojętnieć. Sława — wielki ten bodziec historycznych bohaterów, sława czyli wyraźniej mówiąc, powszedni rozgłos jednego nazwiska — odkryła mu całą próżnię swoich zadowolnień. Znudził się sławą — zepsute dziecię fortuny, niewdzięcznik, byłby oddał wszystkie jej blaski za jedną chwilę spokoju!

Tymczasem wiosna kwieciła drzewa, rozścielała w Praterze zielone swoje kobierce; wykwintne towarzystwo stolicy zamykało kolejno domy, wybierało się na letnią porę do wód.

Dobroczynna ręka Stwórcy, troskliwa o szczęście swoich wybranych, pootwierała na ziemi cudowne zdroje w których odradzały się latem, ciała znękane zimową rozpustą.

Wydziedziczeni, jeżeli mogli poszczycić się ważną jaką opieką, nie potrzebowali trudzić się podróżą i daleko gdzieś szukać pomocy przeciw dolegliwościom; szpital, na miejscu stał im otworem. Czerń pozbawiona opieki, na szpital nawet patrząc, musiała połykać ślinę.

Ale nie tu pora rozwodzić się nad cierpieniami hołoty; każdy znosi łatwiej to ku czemu się urodził, do czego przyzwyczajony. W Wiedniu bogata szlachta z dziwną łatwością znosiła upodlenie ducha.

Juljusz obłowiony zdobyczą, namówił przyjaciela do przepędzenia lata u wód, gdzie los zapowiadał mu nowe zawody, świeżych przeciwników i obfitsze żniwo.

Wilczek przystał tem chętniej, że pobyt w mieście z każdym dniem stawał się mu bardziej nieznośnym — częstym zwyczajem na świecie, w zewnętrznych przedmiotach szukał przy-

czyny dręczącego go niepokoju, oskarżał miejsca i ludzi o troski własnego sumienia. Przesytem i nadużyciem chciał wypogodzić duszę; rachunek wypadł mu odwrotnie — zamiast upowietrznienia myśli skrzydłami swobody, nakrył ją ołowianą pokrywą gorączkowych zapędów, obłędnych roskoszy, zmysłowych zadowolnień.

Wyjechał z Wiednia i dalej w życie pogonił jak gdyby go gnało nieubłagane przekleństwo.

— Potop po nas! — Wołał niekiedy w rozpaczy, gdy ani w przeszłości nie mógł wypocząć na żadnem kojącem duszę wspomnieniu, ani w przyszłości nie przewidywał miejsca na szeroki oddech, na odpoczynek.

Gryząca ironja towarzysza, który drwił z wszelkich cierpień ducha, i w zaspokojeniu głupiej próżności, w pogardzie nieużytecznych sobie ludzi, tłumaczył mu jedyny cel życia — rozjątrzała w nim boleść. Wilczek nie wiedział już co począć; zacięty upór z jakim mordował w sobie wrodzone, szlachetne żywioły, wyczerpywał w nim ostatek chęci do życia.

Kto wie? — W innym czasie, w innych okolicznościach, między innych ludzi rzucony, pod innym dachem i w innych pojęciach wychowan, może nigdy nie byłby stracił tego spokoju, za którym dziś napróżno się upędzał. Konieczność osobistego położenia i otaczających go społecznych warunków bytu, musiała się na nim dopełnić.

Myśl tę zapamiętalec poczuwał czasami w błędnych zarysach, ale zdać sobie z niej sprawy, wątku jej znaleźć — nie umiał. Trosk tylko nawałnica coraz gwałtowniej huczała mu nad głową; napróżno przed nią uciekał w dzikie, niedostępne manowce namiętności; zgryzota wyprzedzała go u każdego celu — nie podobna mu było wyminąć złowrogiego korowodu wspomnień, niesmaków, obrzydzeń, wstrętów do samego siebie. Podwajał siły, rzucał się w szaloną, w piekielną gonitwę, dokazywał cudów pogoni — znużone ciało zapadało w letarg, w odrętwienie, myśl nadaremnie usiłowała usnąć wraz z ciałem. Wewnętrzny ogień zaczynał go trawić; Juljusz, na niezbędne sobie zarzewie ciągle dorzucał paliwa.

Pomimo to, zmiana miejsca, malownicze brzegi Renu, nieuchronny wpływ natury na organizm najmniej nawet jej wdziękom przystępny, łagodnem wrażeniem wionęły na rozpaloną skroń Wilczka; chwile chorowitego wprawdzie ale nie mniej przeto upragnionego spokoju spływały mu na duszę, czas przesłaniał widmo przeszłości swojemi obłoki; zadyszany biesiadnik gotował się już uwierzyć w nadzieję, gdy w tem, wieści z domu, wręczone mu po długiem milczeniu, znów rozdmuchały w nim ledwo co opopielone ognisko.

Przyjęty na krótko przed wyjazdem z kraju, nowy rządca Lumpman, tenże sam, który po długim zarządzie, za wolą Piotra Poraja, odprawę dostał od Sokolnika, donosił mu że bilans pańskiego majątku przedstawiał przerażające wypadki. Nieurodzaj, pomór na bydło, liche ceny zboża i mnogie inne klęski które rządca z dziwną dokładnością wyliczał, groziły ostateczną zatratą dostatkom JW. Pana.

Lumpman dodawał że dotąd, dzięki tylko niezmordowanej pracy i obrotom niesłychanej zręczności, potrafił opędzić gruntowe ciężary, niektóre procenta i panu zasyłać czasami zbyt słabe niestety zasiłki; odtąd atoli i tym świętym obowiązkom nie czuje się w stanie zadość uczynić; moc człowiecza ma także swoje granice.

W innych listach, poufali przyjaciele, bliscy sąsiedzi, napomykali mu o ucisku jakiego na ludzie dopuszczał się nowy rządca, o zgorszeniu jakiem zawiadownictwo Lumpmana napełniało całą okolicę, o konieczności zaradzenia ostatniej zagubie właściciela i ostatecznemu rozjątrzeniu włościan.

Wilczek, pierwszy raz zastanowił się nad swojem położeniem. Otoczony bogatą młodzieżą, sam lśniący do koła zbytkiem, zadrżał na myśl, że wkrótce może ostatniemu z dzisiejszych pochlebców, nie będzie mógł podać poufałej ręki.

Człowiek bez majątku, w wykwintnem towarzystwie, słuszny wstręt mógł tylko obudzać. Na sam posłuch o nieszczęsnej wieści, na widok pierwszej szczerby, pierwszej szczeliny w kassie galicyjskiego magnata, rozmiłowana w nim dotąd czereda, odskoczyłaby jak od zapowietrzonego. Kto wie! — Może już nawet bystry jaki węch zaczynał wietrzyć prawdę — należało czemprędzej obalić zgubne przeczucia, utwierdzić

zachwiane przekonania, niezbitemi dowody fałsz zadać złośliwym pogłoskom. Dalejże więc w nowe zbytki, dalej nowy przepych na pomoc — niech Prusak, niech badeński poddany, równie jak cesarska gawiedź poznają polskiego pana! —

Zamiar był chwalebny, patrjotyczny — szło tylko o stosowne do wykonania środki; tych zaś jak na przekorę w tej chwili nie zupełnie starczyło.

Wilczek od dwóch dni, napróżno usiłował tłumić frasunek; zapominał się, marszczył czoło, wpadał w zadumki, gniewnie zaciskał usta i dłonie.

Juljusz nie potrzebował silnych natężeń umysłu, by poznać że chwilowa jakaś przeszkoda dotkliwie dręczyła przyjaciela, ujął go pod ramię w pierwszej wedwójnej przechadzce i za pierwszem słowem wnet do samego dna prawdy się dobrał.

Wilczek pod tym zwłaszcza względem, nic nie miał skrytego dla powiernika; zdał mu dokładną sprawę z otrzymanych wieści.

Juljusz uśmiechnął się, wzruszył ramionami, nie pojmował jak podobne drobnostki mogły niepokoić człowieka znającego świat, biegłego w sztuce życia.

Lumpman był złodziejem — nic dziwnego! — Każdy rządca musiał kraść i kraść tam, gdzie znajdowała się zdobycz. Hołysza obedrzeć sam Salomon nie potrafił, że zaś każdy pan musiał mieć rządcę, wypadało więc oczywistym wnioskiem, że kto był panem ten musiał być okradanym. Lumpmana należało przepędzić jeżeli za wiele sobie pozwalał, tymczasem zaś powszednie wypadki w niczem nie miały prawa wpływać na humor przyzwoitych ludzi. O pieniądze przecież nie chodziło, kiesa Juljusza wiecznie dla przyjaciela była otwartą, kiesa, którą los pomyślny z każdym dniem napełniał po brzegi.

Wprawdzie w tej chwili, ulubieniec fortuny, zbyt wiele gotówki nie posiadał, wysłał był bowiem znaczne summy dla zakupienia pewnego majątku w Galicji, ale też i Wilczek nie koniecznie potrzebował sypać złotem przed ludźmi, którzy oddawna znali jego wartość i umieli jak przystało go cenić.

Juljusz dodał wiele podobnych uwag tonem trochę opiekuńczym, nieco nawet wyniosłym, tak się przynajmniej zda-

wało Wiczkowi, który przyzwyczajony do pochlebnej uległości koryfeusza, podejrzliwem uchem wysłuchiwał niezwykłych sobie dźwięków.

Oczywiście Juljusz brał na kieł, czuł się dość silnym do lotu o własnych skrzydłach, korzystał ze swego położenia, z wyświadczonych i możebnych nadal przysług; pierwszy pokazywał mu przyszłość, jaka od mniej poufałych czekała pana osadzonego na bruku.

Dawniej, Wilczek jednem słowem byłby pod ziemię wpędził niewczesnego doradcę, dziś związany potrzebą, musiał ugiąć się, zgryść gorzką prawdę, lub dla ocalenia miłości własnej nie przypuszczać nawet podejrzeń.

Pierwszy ten pozór buntu jednego z najwierniejszych dotąd poddanych, mocno go ubódł, mocniej jeszcze zastanowił.

Juljusz sam spostrzegł się że za daleko może odsłonił tajniki swej myśli, puścił rozmowę żartobliwą koleją, cierpkie uwagi przenicował na przyjazne zarzuty braku zaufania i za karę, zmusił winowajcę do przyjęcia wzdętego banknotami pugileresu.

Wilczek nie mógł odmówić, ofiara atoli paliła mu ręce; przyjmowanie przysług, uważał datąd za dowód swej łaski — on który niegdyś z prawdziwie pańską szczodrobliwością, w odezwach do swej uczynności widział jedyny dowód przyjaźni.

Niespodziany ten obrót myśli naprowadził go na postanowienie powrotu do domu; obecność jego nie jednemu złemu mogła zaradzić, sam wreszcie Juljusz kilkakrotnie wspominał o przepędzeniu zimy w Galicji, dla wspólnych jak powtarzał a nieodzownych interesów. Wyraźniej tłumaczyć się nie chciał, widno jednak było, że gwoli przyjacielowi knuł świetne jakieś zamiary, że według ulubionego swego wyrażenia, zaginał parol na wygranę pierwszego rzędu.

Objechawszy pospołem brzegi Renu, oba przyjaciele znaleźli się pewnego poranku na drodze do Wrocławia, ztamtąd do Krakowa, zkąd po krótkim pobycie wyruszyli na Czerwoną Ruś.

W Galicji wiedziano już o powrocie Wilczka. Sława poprzedziła kroki bohatera wiedeńskich salonów. Lwów nie po-

siadał się z radości — prowincjonalne miasto tryumfowało nad stolicą, odbierając jej na całą zimę jedną z pierwszych ozdób wykwintnego towarzystwa; młodzież z zapałem udzielała sobie szczęśliwej wieści. Przepowiadano szalone Zapusty, gry czyli tak zwane partje pełne wzruszeń i nadziei grubych obłowów, bezprzykładne w wyścigowych pamiętnikach gonitwy. Niektórzy nawet półgłosem zaręczali że Wilczek przywoził z sobą angielskiego dżokeja chudego jak szczapa i niezrównanego w sztuce wychudzania folblutów i hunterów.

Ostatnia ta pogłoska głęboko rozdrażniła ciekawość namiętnych lubowników koni; znaleźli się i tacy którzy na samą wieść o dżokeju, czemprędzej przykazali o połowę zmniejszyć swoim wierzchowcom powszedni wydział owsa. Młodzież wychudłej postaci z dumą pokazywała sterczące kości, okrągli szczerze jej zazdrościli drogiego przywileju; na pozór rzec byłoby można, że dziwny spirytualizm ogarnął wyścigowych spółzawodników, tak dalece w nadziei przyszłych gonitw każdy pogardzał swem ciałem, brzydził się tłustą materją.

Nadszedł wreszcie upragniony dzień; Wilczek zajechał do hotelu Żorża.

Tłum obległ drzwi jego pomieszkania, wzbierał przyjaciołmi co chwila, ostatnich przybyszów z trudnością przepuszczał do samego kapłana; okrzyki, powitania, gwary i śmiechy, wrzały jak w ulu.

Towarzysze dawnych uciech wyprawili świetną ucztę na cześć powrotu przywódzcy; niewysłowiona radość ogarnęła umysły; przypominano pamiętne kielichy, toasty; zakłady, heroiczne wypadki; ściskano się bez miłosierdzia, jeden nawet z dwóch braci zakarpackich łzy ciągle miał w oczach.

Po wspólnej uroczystości nastąpiły pojedyncze zaproszenia, niespodzianki, bankiety. Rozrywano sobie upragnionego gościa, który stolicę cesarstwa umiał napełnić odgłosem swego nazwiska i zakasować najznakomitszą cudzoziemską młodzież. Zaszczyt dla Lwowa nie lada! — Hulaszcza galicyjska szlachta musiała przekonać gwiazdę Prateru (tak odtąd zwano Wilczka) że długa nieobecność wodza w niczem nie osłabiła obozowego zapału.

Lwów do dna zakipiał; dzięki sarmackiej tężyznie, w kilku dniach powetowano dwuletnie blisko po samotnych wioskach letargi. Jak nie było weselić się, gdy w obumarłe ciało nagle wracała dusza, nieugaszony ogień powszechnego ruchu i życia! —

Łatwo odgadnąć że pewna część oklasków i tryumfów, słusznym rozdziałem, przypadała na towarzysza wiedeńskiej wyprawy. Juljusz atoli odmienił się nie do poznania; dawniej, uprzedzający dla wszystkich, wdzięczen za najlżejszą oznakę przychylności — dziś, zimno przyjmował tłumne oświadczenia, z góry mierzył poufałych niegdyś znajomych. Czuł swoją wartość — wyjechał dostatnim zaledwie szlachcicem, powracał panem, wracał obciążony łupem na wrogach kraju zdobytym.

Patrjotyczne wawrzyny zwycięzcy i świetność jego położenia aż nadto usprawiedliwiały przed światem prawowitość odmiany i podwyższenia tonu. Przyszła i na Juljusza kolej; i jego, po długiem a mozolnem czeladnictwie uznano wreszcie mistrzem — i rzecz dziwna! — odkryto w nim niepostrzeżone dotąd zalety.

Prawdziwa zasługa nie potrafi długo się taić.

W Wilczku, pod względem obejścia żadnej nie znaleziono zmiany. Władyś był zawsze tym samym dobrym, kochanym chłopcem, zepsutem dzieckiem o otwartych dłoniach i sercu, o błyszczącym dowcipie, o gościnności bez granic. Wracał jakim był, dzielnym, uprzejmym, wesołym. Tak przynajmniej sądzono z pierwszego wrażenia, i w istocie trudno było sądzić inaczej. Wilczek umiał panować nad sobą i przybierać wyraz według upodobania; sam wreszcie uległ wpływowi powszechnych ku sobie uniesień, z radością w pierwszej chwili ujrzał się między swoimi, posłyszał znajome głosy, wyrażenia, dowcipy, uczuł znowu w objęciach rozmachane uściski kapitana Skałki, przywiązanego świadka tylu przemówek, zwad, pojedynkowych bójek.

Wieść o przyjeździe Wilczka, z całej okolicy gromadziła młodzież do Lwowa. Czereda z każdym dniem się zwiększała, każdy dzień podawał hasło do nowych uciech i zbytków. Wilczek napomknął o wyjeździe, dowodził że ważne sprawy

odwoływały go na wieś; nie chciano słuchać — śmiano się, powtarzając że człowiek raz tylko żyje na ziemi, że stracone tu chwile, na tamtym świecie na nic się nie przydadzą.

Nic było co odpowiadać; Wilczek poznawał własne rady, własne zachęty; tłumaczył się, wypraszał, błagał — napróżno! — Chciał sam wyprawić ostatnią pożegnalną biesiadę, skończyć jak mówił fajerwerk, wielkim bukietem i znowu na jakiś czas przygasnąć — zaręczano mu że uroczystość dopiero się zaczynała, że wielu z najserdeczniejszych przyjaciół nie miało jeszcze czasu go powitać. Wszyscy przysięgali, że tym razem prędzej na koniec świata z nim podążą, niżeli przystaną na rozjazd.

Wilczek do ostateczności przywiedzion, chwycił się jedynego sposobu jaki mu podawała natarczywa przyjaźń rozmiłowanych w nim druhów. Na wieś wyjechać musiał; gnała go konieczność, dla której jedynie powrócił do kraju; aby jednak nie zrażać namiętnych sobie serc, umyslił pogodzić głos uczucia z troską o własne dobro, i jednym zamachem, wszystkich od razu przyjaciół zaprosił do siebie na polowanie. Zamiar ten, pokazał mu niebawem inne jeszcze dogodności. Wilczek lękał się pierwszych samotnych chwil na wsi, spotkań z miejscami których widok rozpasywał mu w sumieniu wężowisko gryzących wspomnień. Zgiełk, wrzawa, huk hałaśnej czeredy, obiecywały złagodzić mu nieco dotkliwość wstępnych wrażeń.

Towarzystwo, grzmotem oklasków odpowiedziało na zaproszenie. Przezorny gospodarz wysłał natychmiast umyślnego z rozkazem poczynienia stosownych przygotowań, i w kilka dni później, bystry szereg bryczek i powozów, unosił wesołe grono na łowy.

Juljusz, Skałka, Wilczek, Drohojowski i Dzieduszycki, pędzili naprzód. Gorajski na ostatniej biesiadzie tak dalece się był uraczył, że złożony we Lwowie niemocą, później dopiero pospieszyć obiecał. Na drugi dzień biedak duszę wyzionął. Niepostrzeżono na polowaniu jego nieobecności; w tydzień potem nikt go już nie pamiętał. Sam tylko Skałka, później, przy schyłku jakiejś wieczerzy, wzniósł ponury toast na cześć poległych na placu boju. Kilku z obecnych spoczy-

wało już pod stołem między próżnemi butelkami — nie wiedziano o kim chciał mówić.

Lumpman tymczasem, dowiedziawszy się o powrocie młodego grafa, szykował w gospodarczych regestrach cyfry, układał sprawozdanie, douczał się roli, której zapłatę naprzód sam sobie wyliczył.

On także zastawiał pułapkę na pierwsze wrażenie właściciela, wiedział że jeżeli od razu potrafi zakraść się mu w łaskę, całe pasmo innych kradzieży ujdzie mu płazem; doniesienia, skargi i żale, nie dostaną się do pańskiego ucha, on sam zawładnie; najprzód zaufaniem niedoświadczonego panicza, następnie resztkami majątku. Jemu także ciżba gości wygadzała w pierwszem spotkaniu; młodemu panu chodziło przedewszystkiem o świetne przyjęcie gości, o huczne i pomyślne łowy, o stół obficie zastawiony; inne sprawy gospodarskie, majątkowe, sprawy nudne, męczące, z natury swej przypadały w udziale rządcy, w ostatecznym zaś razie adwokatowi. Pierwszy tak myślał sieć zarzucić, aby drugiemu bezrybna tylko woda dostała się do matni.

Rozkazy wręczone przez posłańca wypełniono co do joty. Lumpman na wieść o bliskim zjeździe, od dwóch dni chłopstwo z całej wioski gonił do pracy. Uprzątano ogród, czyszczono wielki staw, wysypywano żwirem dziedziniec, ulice, bielono dworskie zabudowania, upędzano się w chatach za ostatnią kurą, wyszukiwano ostatniego tuzina jaj.

Ludzie ustawali od pracy; nie miał im kto zgotować strawy. W chatach nie było komu dopilnować dzieci; kobiety wymykały się czasami od roboty aby uchronić niewytropione jeszcze szczątki chudoby; ale Lumpman czuwał, czuwało dwóch z jego poręki przyjętych dozorów; wszyscy trzej czuwali i harde plecy bez miłosierdzia okładali batogiem.

Dzięki gorliwym zachodom, pałac, ogród, wieś, dziedziniec, budynki, w przeciągu kilkudziesięciu godzin stanęły umyte, wyczesane, świąteczne, bijące w oczy pomyślnością mieszkańców i biegłym zarządem.

Lumpman dokazał cudów; że zaś graf tejże nocy lub nazajutrz o świcie zapowiadał przyjazd, litościwy więc rządca, o zachodzie słońca rozpuścił robotniczy lud, z surowym

wszelako nakazem aby o pierwszym brzasku, chłopstwo wyruszyło do lasu, mężczyzni z obławą, dzieci do nagonki.

Pobliskie wioski, tegoż samego dnia otrzymały podobny rozkaz.

Lud zwolniony z pracy, rozszedł się posępnie do domów. Kobiety znękane, z opuszczonemi głowy wracały do wystygłych ognisk; trzebać było na jutro upiec choć trochę chleba, zgotować choć trochę kartofli. Gdyby przynajmniej szperkę słoniny, garść soli choć na okrasę! — I tego nie było. Rządca za daniny pozabierał dobytek; na targ ani z czem pójść ani za co kupić.

Gospodarze, bywało, ukradkiem pochwycą z pola garść użątku, omłócą snopek na mąkę, resztę przedają żydom za wódkę. Jak nie pić! — Trzeźwej głowie oszaleć chyba z rozpaczy.

Chłopi, parobcy, starzy i młodzi, nie zaglądali nawet do chat; garnki próżne — mysz nie ma czem pożywić; nacisnęli czapki na uszy, poszli do karczmy.

Arędarz zawinął się, rozsadził starszych na ławach, ręce za pas zatknął, obrachowywał w myśli kto pije na kredyt, kto płaci gotówką; młodzi ścisnęli się na progu, wedle komina lub u przypiecka.

Pierwsze łyki spłynęły po niemych językach; parobcy grzali ręce, osłupiałym wzrokiem wpatrywali się w płomień jako w obraz cudowny; gospodarze odchrząkiwali na znak że wódka tęga, chociaż nie była tęga, bo psi syn arędarz chrzcił ją na zabój.

Dwóch urlopników cesarskich, podrostkami zapewne przed laty wywerbowanych z wioski, kopciło w kącie krótkie węgierskie lulki, odzywając się czasem do żyda po niemiecku, niby dla poczwanienia się w rodzinnej ziemi cudzoziemską mową.

Biedny lud polski!

Twarze ogorzałe, wychudłe, włosy w niesfornych kudłach do skroni przylegle, brody u starych zarosłe w szczerbatą szczotkę, ponure wejrzenia — upodobniały karczmę bardziej na jaskinię opryszków niż na wieczorną schadzkę spokojnej, wiejskiej gromady.

Półkwaterki zaczynały dno pokazywać; języka utrzymać za zębami — nie utrzymasz, zwłaszcza gdy wódka zagrzeje czuprynę. W izbie wszczęły się, z razu ciche szmery, a wreszcie i głośny rozhowor.

Jak zwykle bywa, udry z arędarzem otworzyły mowie upusty.

Żyd kilku nowo przybyłym nie chciał zakredytować, pokazywał karby swoich wierzytelności; gąsior z bożym darem poganin zamknął do szafy.

Stary gospodarz, zafrasowany drapał się w głowę; usiłował przekonać nieubłaganego rachmistrza.

— Jeden karb mniej, jeden karb więcej — mówił poglądając na szafę jak w ołtarz na skrzynkę z Sakramentem — o co Szmulu wam chodzi? — Zawierzaliście dotąd, zawierzcie i dalej. Kiedyż nie kredytować jeżeli nie teraz? — Jarzyny stoją jeszcze na pniu, ba i ozimina nie do szczętu zwieziona; sterczy w kopach na łanie. Da Bóg doczekać, zwiozę, to zabierzecie jak swoje. —

Szmul słuchał w milczeniu, oczy przymrużał, o szafę coraz silniej plecami się wspierał.

— Żydowska mądrość, fraszka chytrość burego lisa — ozwał się chrapliwy głos z głębi izby — za ozimінę twoją Wawruchu, Szmul nie dałby torby sieczki; kupiec zna jak kupczyć. Ziarno wysypuje się z kłosa, słomę jeno zwieziesz do stodoły; wróble dziobią chleb z twojej siejby. Jarzyna, panie odpuść, na pniu gnije, chyba że sam djabeł pomoże ci do żniwa. Nie dawaj Szmulu wódki, niech zdycha z żaru pijaczysko! —

Obecni chrócili głowy ku mówcy; rozległo się kilka głośnych śmiechów. Stary Kuba Paprotnik nie darmo we wsi uchodził za najbystrzejszy rozum po arędarskim.

— Ja pijak! — Gdzie u was sumienie? — Odparł posępnie Wawruch — kto kiedy widział mię zatoczonego, temu dam sobie prawą rękę odrąbać. Od dwóch dni ekonom pławi mię w stawie jak topielca; ledwie raz na dzień z wody wyłażę. Wieczor chłodny, dreszcz chodzi po kościach — przecie człowiek nie pies, nie dość mu zwinąć się w kłębek. Jak wam nie wstyd Jakubie przed Żydem na własną krew nastawać?

— Czortby na twoją krew się łakomił, bez tego jej nie wiele; od wiosny, ledwo nogi za sobą powłóczysz. Szmulu, dodał Kuba rzucając na stół miedziaka — nalejcie Wawruchowi półkwaterek — jeno z czubem.

— Bóg wam zapłać sąsiedzie — w ręce wasze! Dawniej, za nieboszczki Starościny, Wawruch miał z czego całą gromadę miodem uczęstować; dziś, wyciąga rękę o kroplę wódki, jutro zawiesi torbę na plecach, pójdzie o żebranym chlebie.

— Nie sam jeden pójdziesz — ozwał się inny gospodarz — wielu za tobą wyciągnie; tylko że jutro może już będzie za późno — chleba nie stanie w okolicy.

— Kiedyż to chleba w cesarskim kraju nie stało? — przerwał jeden z urlopników; my także na tutejszej ziemi wyrośli, a głodu żaden z nas dzieckiem nawet nie zaznał. —

Kuba namarszczył brwi, podparł głowę na łokciach, obrócił się ku żołnierzom.

— Nieraz już brakowało — odrzekł, i tego roku zabraknie; przekona się kto z nami przezimuje. Nie darmo psy co noc wyją na mogiłkach; głód będzie we wsi. —

Nastąpiła chwila ponurego milczenia; złowroga przepowiednia grobowym dzwonem zajęczała po karczmie. Obecni ścisnęli się ku starcowi z żądaniem niby bliższych objaśnień; Jakób ciągnął dalej:

— Omłóciłem wczoraj półkopek żyta; sześć garncy zaledwie wypadło, i to jakiego! — Szczerniałego żal się Boże, przegniłego na poły. Kmotr mój Bartłomiej Kosmak, w swoich snopach i tego nawet nie znalazł. W Zawałowie, w Polance, w Rudzie, słyszę, nie lepiej. Sołtys przeszłej niedzieli rozpowiadał w kruchcie; kobieta jego łamała ręce z niedoli. O zasiewku nie ma co dumać; do dzieży ledwo na poł zimy wystarczy. Pół zimy! — A co potem? — Czem podjesz od Bożego Narodzenia do Ś. Jana?

— Czy wszędzie tak samo? — Powiedzcie jeno Jakubie; czy od Bochni aż do Lwowa, ludzie będą mrzeć z głodu.

— Cóż poczną skoro chleba nie stanie? Ziemia wszędy ta sama; 'jeżeli Pan Bóg dopuścił na nas nieurodzaj, to nie przepuści i innym.

— Duby smalone plecie, przerwał urlopnik; zeszliśmy kraju nie mało — od węgierskiej granicy aż pod sam Lwów. Wszędzie zboże jak las, nasienia jak piasku, chleba jak kamieni; tu po raz pierwszy słyszym że ludzie się żalą.

— Prawdę mówi pan żołnierz! — Zawołało razem kilku włościan — na przeszłym targu, gajowy od Rulikowskiego nie mógł się odchwalić gromadzkich plonów.

— A gospodarze od Reja, zali nie przedawali przeszłorocznego jeszcze żyta?

— A ludzie od Fredry wszyscy w butach, w granatowych kierezjach, w siwych czapkach; u każdego koń wypasiony, ba i wóz okuty. W niedzielę do parafji nawet piechoto nie chodzą.

— Za cóż gdzieindziej wesoło a u was markotno? — zapytał urlopnik — nie umiecie snać doglądać roli?

— Słusznie prawi! — Mówcie teraz Jakubie — za co nam tylko nędza doskwiera?

— Za co? — Ciemny naród! — Słyszeliście — żołnierz wam już powiedział; nie chodzicie wedle roli. I któż wam winien? Gdzieindziej gospodarz ma owce, kilka sztuk bydła, parę wołów, dobrego konia; u nas ledwo piąty, wychudłą szkapą orze, bronuje i zwosi. Gdzieindziej chłop płaci podatek pieniędzmi; u nas grosza djabeł nie wyślepi. Skarb zabrał wam na podatek owce i bydło; nie ma czem nawozić, czem zaorać — wy nic dla ziemi, ziemia nic dla was. Jak sobie pościelesz tak się wyspisz.

— U stu piorunów! — Jakubie — krzyknął rześki parobczak, któż winien pustkom na gromadzkiej roli? — Przecież gdzieindziej chłopi nie kradną, nie rozbijają na gościńcu; pracują jako my pracujem — nie więcej, a może i mniej. Sześć dni na tydzień, od świtu do zmroku w robocie; od dwóch dni żaden z nas nocy nie dospał — ekonom sen odpędzał batogiem. Bydłu dali wypocząć — ludziom, gorzej bydła, ani strawy ani spoczynku.

— I cóż ziemi do tego że was ekonom batoży na pańskiej robocie? — Zagon nie pyta dla czegoś go nie uprawił, dla czego bydło na skarb ci zajęli? Nie masz wołów? — Ruszaj sam w pole z motyką, skop, zasiej, zabronuj — przyjdzie

jesień, doczekasz się żniwa. Dziś nawet, gdybyście nie byli zwłóczyli na ostatnią godzinę, snopy nie byłyby wam porosły, kłos byłby dotrzymał ziarna. Na chłopskich polach, panie odpuść, oziminy nię wszędzie jeszcze sprzątnięte. Jeśli w Adwent dopiero chcesz wyjść z sierpem, cóż dziwnego że zamiast zboża, mierzwę znajdziesz na łanie?

— Przestańcie u ciężkiego licha daremnie swarzyć kumie Jakubie — u was wżdyć nie lepiej jak gdzieindziej. Czyście to wczoraj dopiero z za gór przybyli do wsi, że prawicie istne koszałki opałki. I któż z nas dobrowolnie porzuca kęs chleba dla kobiety i dla dziatwy? Człowiek nie idzie na swój zagon, bo słonko raz tylko wschodzi a wschodzi dla dworu; wymyślcie sposób aby dwa razy na dzień wschodziło, wejdzie może wtedy i dla gromady. Deszcz latoś lał strugami; byle krzta pogody, ekonom przykazuje aby co żyje wychodziło z chaty — pędzi na pański łan. Prośbą nic nie wskórasz. Bartłomiej Woźniak ma trzech synów w chałupie; żadnego nie mógł odprawić po swoje żyto — wypędzili mu nawet kobietę i starą matkę. Gospodarze z Powsina chcieli w nocy sprzątnąć trochę użątku; sprzątnęli ale dwóch rozniemogło się nazajutrz. Noc nie do pracy; jeżeli nie wypoczniesz, ból tak zapiłuje ci w krzyżach że choć drzyj się na ścianę.

— Czortby w nocy pracował! — Lepiej od razu w dzień przepaść, niż powoli konać od kija i biedy. W słotę, bywało, radziej rozpuszczają do chałup, ale niech jeno pogoda zaświeci, nie ukryjesz się pod ziemią przed złodziejem ekonomem. Święto czy nie święto, wszystko zarówno dla pogańskiego syna. Jutro niedziela; niebo zdaje się jasne, nie jeden, po mszy, wziąłby się do swojej roboty — dozorcy przykazywali o świcie wyjść na obławę, o głodzie cały dzień hukać po lesie, w dzień do tego świąteczny!

— I cóż ci złego Mateuszu? — Nie tobie żalić się na krzywdę; bez ciebie, wiadomo że nie ma dobrej obławy. Nas, dziki nawet zwierz się nie ulęknie; ale niech wilczysko bodaj wściekłe ciebie obaczy, wnet ogon pod siebie i dalej w nogi, choć na strzelców. —

Zgraja tym razem nie odpowiedziała śmiechem na żart

rubaszny z komornika Mateusza który w istocie, zarosły, chudy, we dwoje zgarbiony przerażającą miał postać.

Smutek, rozpacz, zwątpienie, ciążyły na wszystkich; chłop polski do tylu bied przyzwyczajony, zaczynał nareszcie znajdować że niedola jego przebierała miarę. Nastąpiła chwila milczenia, gdy w tem jeden z urlopników silnie w stół pięścią uderzył.

Zadzwoniły próżne półkwaterki; Szmul wzdrygnął się ze strachu; żołnierz pokręcił nawoskowanego wąsa i grzmiącym głosem zawołał:

— Do miljona bagnetów, kolego wachmistrzu, mieliśmy po co wracać do kraju! — Donnerweter! jak mawiał major — jeżeli zechcemy tu przez zimę pozostać, wymorzą nas głodem jak szczurów. Przed dwudziestu pięcią laty inaczej bywało. I za cóż to moi biedni ludzie, dziś pastwią się tak nad wami — czyście za rozbój na kryminał skazani, czy może wraz z aręndarzem Pana Boga rozpinaliście na krzyżu — czy was Turek najechał?

— Przed laty lepiej bywało, panie żołnierzu — odparł sołtys Hilary — a starzy ludzie prawią że im dawniej mogą zapamiętać tem mniej przypominają biedy. Starościna dbała o gromadę; nieboszczka matka naszego grafa, panie świeć nad jej duszą, nie dawała biedzie dostąpić do ludzi. Dziś, pan doma nie siedzi, a komisarz — a ekonom — a dozorcy — prawdę powiedzieliście; szajka opryszków zwaliła się na nas; im dalej w czas idziem tem gorzej; każdy boi się zasnąć gdy pomyśli że przyjdzie mu się obudzić.

— I nikt wam nie umie poradzić? — Rzekł urlopnik szydersko. Hola, żydzie, postaw no tu pół garnca wódki — wypijem ze swoimi na powitankę! Hej chłopcy, który z was chce stuknąć siwuchy? — U nas w wojsku, srogo rozkazują; kapral niekiedy cesarską rację kijów wyliczy, ale z głodu nikt nie umiera. Kradną was, męczą, w dyby jednak dotąd nie wiążą. Świat szeroki; z silnemi rękami wszędzie się wyżywisz.

— Zapewne — odrzekł Mateusz podstawiając miarkę pod wspaniały gąsiorek; wojak wszędy da sobie radę ale my, gromada z wioski gdzie się podziejem, dokąd powleczem?

Kędy ludziom dobrze, tam pustek nie ma; kędy źle, tam zapomogi nie dadzą, chłopa z próżnemi rękami z niczem odprawią, jeszcze psami nakażą wyszczuć. Taka już nasza dola — biednemu wszędzie zarówno! Stary Jakub nie darmo chadzał niegdyś sternikiem na pańskich galarach; za młodu już zapływał aż na koniec świata. Popytajcie go — on wam powie że chłop wszędzie chłopem, owca owcą, wilk wilkiem, a ekonom ekonomem.

— Stary Jakub — uczciwszy uszy, sam nie wie co plecie. Komu prawić o cudzych krajach, jeżeli nie żołnierzowi, który przez całe życie nie zagrzeje kąta, ciągnie z miasta do miasta, z ziemi do ziemi, z jednego końca cesarstwa na drugi. Owóż wierzajcie mi, widziałem ja dalekie okolice, gdzie chłop sześć dni pracuje dla siebie, a siódmego odpoczywa. —

Z pod komina, z przypiecka, z progu i z kątów, ściśnięto się do koła opowiadającego. Ciekowość zagrała na twarzach. Sołtys z niedowierzaniem kiwał głową, parobcy poglądali po sobie, urlopnik mówił dalej:

— Ha ha! zagabnijcie oto wachmistrza; on służył w półku Erchercoga Johana, i sześć lat przebył kwaterą na tureckiej granicy. Lud tam jak u nas; łatwo się z nim rozmówić, chociaż z ruska głębiej jeszcze zatrąca niż nasze Rusiny. U każdego strzelba na ramieniu, nóż za pasem. O ekonomach, o dozorcach, ani słychać; każdy ma swoją rolę, pracuje dla siebie. Kto kaleka, nie mocny, temu gmina pomaga, kto z kim się poswarzy tego starsi godzą, kto kogo pokrzywdzi tego wójt wybrany pod klucz zamyka. To mi dopiero kraj! — Ostatni wyrobnik co niedziela ma mięso, co dzień okrasę.

— Słyszycie Jakubie? — Ozwał się jeden z parobków; tam ludziom jak u Pana Boga za piecem; ale panowie co robią, gdzie siedzą, kto na nich pracuje?

— Panowie? — Oszalałeś! — Tam każdy sobie panem; surdutowego ze świecą nie znajdziesz. Panów nie ma.

— I nigdy ich nie bywało? — Gdzież się podzieli? —

— W tem właśnie sęk. Bywali panowie przed laty tacy jak u was. Męczyli lud wiejski, nasyłali ekonomów, dozorców, grabili chudobę, pędzili do pracy i płacili batogiem.

Na szczęście, cesarz tamtędy raz przejeżdżał, dowiedział się o chłopskiej niedoli, panów skasował i ziemię kazał rozdzielić między gromadę.

— Cesarz? —

— I któż inny? — Cesarz z Wiednia, cały ubrany w złoto i w czerwone sukno, aż oczy bolą na niego spojrzeć. Król wielki, sprawiedliwy; ujmuje się za biednych, każdego wysłucha, każdemu da pomoc, opiekę.

— Czemuż nam nie pomaga! — Czemuż za nasze krzywdy nie chce się ująć?

— Bo nie wie o was, powiadam wam; o wszystkiem przecie wiedzieć nie może. Bassama teremteszit! gdyby cesarz znał co z wami się dzieje, dałby on duchu waszym rzeźnikom. Prawdać to że i lud tam inny, nie łatwo da się pokrzywdzić; ciemięgów takich jak u was nie wyszperasz choć na lekarstwo. Cesarz nasz zuchów tylko lubi, takich co sami nie dają sobie strzydz wełny na grzbiecie. Fersztanden?

— Rozpowiadajcie no dalej panie żołnierzu; czy we wszystkich cesarskich ziemiach ludzie tak samo żyją i pracują, sami jedno dla siebie?

— Nie we wszystkich; w niektórych są jeszcze panowie, ale takich jak u was nigdzie nie ma. Cesarz ma dalekie kraje za morzem i na morzu. Tam o Bożem Narodzeniu, w południe cieplej niż tu na Ś. Jana. Ziemia nazywa się po cesarsku, Italien. Staliśmy tam lat kilka z półkiem Kienik fon Prajsen. Chłopi sieją ryżową kaszę i zboża wszelakiego bez miary. Tam są panowie, ale panu nic do chłopa, chłopu nic do pana. Raz na rok gospodarz przyjdzie, kto piąty, kto dziesiąty snop do skarbu pańskiego zapłaci i wraca do domu. O ekonomie, o dozorcy, o komisarzu, ani słychać. Gospodynie i dziewczęta chodzą w jedwabiach, lud pije wino jak u was wodę. Krzywdy nie masz dla nikogo, bo cesarz i sam częto przyjeżdża i sędziów wszędy ma swoich; a skoro który pan chce nosa zadzierać, wnet cesarski sędzia go po czuprynie. Czasami sędzia nie zdąży, to chłop sam zaczai się z kozikiem i gdy pan wieczorem wraca do domu, upuści mu trochę juchy, tak że białego chleba na wieki jeść mu się odechce. Cesarz powiada że to pierwszy i najdzielniejszy

lud ze wszystkich. Wszak sam powiadał — nie prawda wachmistrzu? —

Drugi urlopnik który zapewne nie poczuwał się do oratorskich zdolności, wbrew zagadnięty, wyjął lulkę z ust, splunął i głową kiwnął na znak wiarogodności słów towarzysza.

— Słyszycie Bartłomieju — mówiła gromada — cesarz wszędy sędziów porozstawiał. Mamyć i my sędziów ale nie cesarskich; widno kto inny ich nasyła, u żadnego sprawiedliwości się domodlisz. Jak się wam widzi panie żołnierzu, czy cesarz nigdy do nas nie zjedzie, czy gdyby przyjechał, zrozumie naszą mowę?

— Zjechałby nieraz ale dwadzieścia, gdyby wiedział co się u was święci. Cesarz skoro usłyszy że krzywdzą gdzie ludzi, wnet wsiada w złotą kolasę, rusza, a przed nim, wojska, bębniarzów, trębaczów, jenerałów bez liku. Nie przyjeżdża bo myśli że wam dobrze się wiedzie. Panowie co chcą kładą mu w ucho, biednemu docisnąć się nie dadzą; prawią że wy lud hardy, leniwy, złodziejski, że bez kija ani do was dostąpić. Sami przechwalają się, klną że wam ptasiego mleka tylko brakuje. Cesarz wierzy bo słyszy jedną tylko stronę; złego nie odgaduje, inaczej bowiem czyliż podobna aby dotąd żadnemu z panów nic się nie wydarzyło, jeżeli po prawdzie, taka wam od nich krzywda?

— Wiecie chłopcy — przerwał Mateusz — zbierzmy się w którą niedzielę, i niby to idziem do lasu, hajże w nogi, pobieżym co duchu do cesarza. Najchytrzejszy z nas wszystko mu wypowie.

— Ha ha ha! — A umiesz po niemiecku? wtrącił parobek Grzela. Sprobuj jeno rozmówić się ze Szmulem. Hergot! — Finfcwancik sztok — farflucht tajwel — gibrot — herzołdat — drapichrust szwab — ja umiem po niemiecku, a wżdyć nie podołałbym wypowiedzieć jak nam szelma ekonom sadła za skórę zalewa.

— Kto wam nałgał że do cesarza trzeba gwałtem po niemiecku? Cesarz, wszystkie mowy jakie są tylko na świecie, rozumie, na wszystkie odpowiada — tylko że do Wiednia daleko; nim zajdziecie, dognębią tu waszych do szczętu, was

samych dogonią, okują w kajdany i odstawią do kryminału. Lepiej tak sprawę nastawić, aby cesarz dowiedział się sam o waszej krzywdzie, aby jeżeli nie zjedzie, sędziów przynajmniej zesłał.

— Cóż tedy począć?

— Sami dokonajcie tego co chcieliście aby sąd dokonał. Sędziowie potem zjadą, przyznają wam sprawiedliwość; opowiecie im krzywdy, wyspowiadacie całą niedolę.

— Niech jeno sąd cesarski zjedzie, Bóg świadkiem, nie udzierżym języka za zębami. Ja pierwszy pokłonię się, przypomnę jak rządca za jeden dzień niedorobku, ciało odbił mi od kości; kobieta moja chciała już wołać księdza.

— A moje dwie owce? — W rowie jeno nad drogą szczypnęły źdźbło trawy, już ci kazał zająć do swojej obory i sprzedał żydom. Wczoraj, widziałem, rzeźnik Icek wiózł je do miasta; ostatnie dwie owce!

— Ba i żona jego nie lepsza; spotkała moją babę z wiankiem grzybów; odebrała koszyk, nawymyślała od czarownic, od złodziejek, groziła kryminałem za kradzież grzybów w pańskim lesie.

— A koń ławników? — Zdechł mu dziś rano; napracował się przez cały tydzień na pańskim łanie, w niedzielę pohany Niemiec nie dał mu wypocząć, pchnął za swoim sprawunkiem, kazał rychło powracać; szkapa na trzech nogach ledwo dowlokła się do wioski.

— Gdyby choć osepu dawać sobie nie kazał! bez tego zboże gnije na pniu, a jeśli dośpiejesz urwać parę snopów i omłócić — czatuje u młyna i nie pozwoli zemleć, dopóki dziewce jego fartuch z worka nie usypiesz.

— Dobrał też sobie drabów! — I ekonom i dozorcy, szwabska krew! — Z żydowska szwargocą, ciężko ich zrozumieć; mało też bełkocą językiem, ale gęsto machają rękami; każdy gorzej wiatraka. Niech jeno sąd zjedzie, nie przepuścim żadnemu.

— Nie w tem dzieło, rzekł urlopnik częstując do koła gromadę — dozorcy, psi pomiot — to prawda, ale co oni winni, jeżeli ekonom przykazał im drzeć was i katować, a co winien ekonom jeżeli pilnuje jedno słów rządcy; a rządca,

czy urodził się między wami, czy do niego ziemia należy, czy z nieba spadł do was, czy też posłali po niego, sprowadzili i płacą mu za to aby was z pod batoga nie wypuszczał? — Kto pierwszy daje rozkazy, ten grzeszy, tego wina — jako u nas w wojsku, nie kapral, nie hauptman, ale ten przed cesarzem odpowiada, kto nad całem wojskiem sprawuje. Któż u was daje befele, na kogo pracujecie?

— Jużcić pan, jużcić na pana.

— Komuż więc odpowiadać za złe, kogo przeklinać, kto we wsi pierwszy rozbójnik?

— Rządca! — Bóg widzi rządca! — Krzyknęło kilka głosów — takiego rozbójnika nie ma na całą okolicę; istny świętokrzyski zbójca! —

Urlopnik zerwał się zniecierpliwiony, splunął, zaklął z madziarska po cesarsku:

— Tfu! — Do miljona djabłów — zawołał! z ludźmi tymi nie dogadasz się po ludzku! Komuż rządca oddaje pieniądze za zboże, za drzewo, za wódkę?

— Licho go wie czy oddaje? — Odrzekł Mateusz; jeżeli nas kradnie czemuby nie miał kraść i pana.

— Nie frasujta się darmo o panów, umieją oni dać sobie radę; nie łatwo wywieść ich w pole. Wiedzą oni dobrze kogo nad wami postanowić; potrzeba im kupę grosza na zbytki, to i drą z was łyka, ba nawet gorzej! — Łyka nie zawsze drzeć się dają, wam atoli od nowego do starego roku, zawsze tak samo. Czemu wreszcie nie idziecie do pana ze skargą, czemu pan przyjął rządcę, czemu go nie wypędza? Widziałem ja kawał świata, powiadam wam — pan wtedy rządcę wypędzi, gdy posłyszy że z wami się pokumał, że z was pasy ciągnąć zaprzestał; spytajcie wachmistrza — on człowiek z głową, więcej jeszcze widział odemnie. —

Chłopstwo zaczynało skrobać się w głowy; dowodzenie urlopnika nie zupełnie wydawało się mu fałszywem.

— Prawdę mówi — przebąkiwali niektórzy; dawniej nie było tej biedy dopóki pan, na miejsce starego Bednarzewskiego, nowego rządcy nie sprowadził.

— Żołnierz ma słuszność — dodawali inni — sami dozorcy pędzą na pańszczyznę, biją a mówią że to za pańskie

dobro. Bydło zajmują za przegon po pańskiem pastwisku, za podatki do skarbu i przysięgają że pan stawia egzekucję. Gdzie się obrócisz wszędy szturchają, gonią, męczą za pana. Jużcić pan ma wolę, gdyby nie chciał, toby inaczej nakazał. —

Urlopnicy zacierali ręce, łypali ku sobie radosnemi oczyma; naprowadziwszy gromadę na żądane szlaki, puścili chłopów, o własnym rozumie z wniosków dobijać się do wniosków.

Jakób Paprotnik który dotąd słuchał w milczeniu, zwiesił ku karkowi baranią czapkę i zabrał głos.

— Panowie wojacy, rzekł, zdaleka przychodzą, nie znając co u naś się dzieje; nic dziwnego że bredzą jak na mękach. Wy zaś, gdyby głupie gęsi za gęsiorem powtarzacie co wam kto gęgnie. Panowie męczą gromadę? — Łgarstwo wierutne! — Cóż nam było złego za nieboszczki Starościny? Zapytajcie chłopów od Reja, od Fredrów, od Puzyny, od Mysłowskiego, w czem im krzywda? — Każdy Bogu dziękuje że się na świat narodził. Wiecie dlaczego? — Nie wiecie — otóż wam powiem; żaden z tych panów nie trzyma Niemca, ani za rządcę, ani za ekonoma, ani za dozorcę. Ze swoim łatwo przyjdziesz do ładu; swój ma zmiłowanie nad człowiekiem, ale gdzie jeno Niemiec się wkręcił, tam gorzej piekła. Pamiętacie zmarłego kowala Starowolskiego? — Co dnia powtarzał: póki świat światem, Niemiec Polakowi psubratem. I u nas, przed dwoma laty czy nie lepiej bywało, dopóki djabli wiedzą dla czego pan graf nie dał się oszołomić i nie przyjął Szwaba do służby. Niemiec, to kąkol na ziemi naszej — nie wyrwij kąkolu, ziarno przepadnie. Nie darmo djabeł po niemiecku się przebiera. Cudza krew na nas zawzięta. Co Niemiec u nas, to łajdak — uważajcie! Gdyby uczciwy był, siedziałby na własnej ziemi. Dlaczego przychodzi do nas? — Naoszukiwał u siebie, nakradł, narozbijał, boi się kryminału, ludzie wytykają go palcem, wstyd mu oczu podnieść do góry — zmyka między cudzych, gdzie go jeszcze nie znają. Złodziej u siebie, tem lepiej kradnie nieswoich. Tak samo i Żydzi; posłuchajcie Zakrystjana — on wam rozpowie, że gdyby nie byli zamęczyli Syna Bożego, Bóg Ojciec nie byłby ich rozgonił po świecie. Wżdyć nie każdy pan

wdał się w rodzica, ale kto panom złe rady kładzie na ucho — kto — jeśli nie Szwab?

— Święta prawda ojcze Jakubie — Szwab, Niemiec psiawiara — powtórzyło chórem zgromadzenie.

— A co Mateuszu? nasz Jakub w kąt zagnał cesarskich; prawi jak ksiądz z ambony. Szelmy Niemcy i kwita.

— Co Niemiec to rabuś!

— Niemiec a Żyd, jedna mowa, jedna dusza; żaden z nich nawet do kościoła nie chodzi.

— W Boga nie wierzą; najpoczciwszy z ołtarza by ukradł.

— Kartoflarze, sobacze plemię!

— W wasze ręce ojcze Jakubie; żyjcie sto lat za wasz rozum! —

Takie wykrzykniki hurmem wyrywały się w odpowiedzi na rzeczy starego Paprotnika.

Ten lud polski którego szlachta zwała chamem, nie tylko że w sprawiedliwej zemście, nie wystawiał na pośmiewisko ojcowskiej hańby, ale pierwszy zakrywał ją ostatnim łachmanem uczucia. Urlopnicy zacisnęli zęby. Apostoł głębokiego systemu księcia kanclerza, systemu ciężarnego na przyszłość krwawym owocem, sam jeden nie dzielił powszechnego uniesienia. Wódka szumiała mu po głowie, usta zaczynały drgać od złości; powstał i stanąwszy w środku izby ujął się pod boki i rzekł gromko:

— Wara od Niemców! — Co Niemiec to cesarski człowiek. A czy wiecie że sam cesarz jest Niemiec, czystej krwi — nie umie jedno po niemiecku.

— Takać też w nim i krew czysta, jeżeli niemiecka — odparł sołtys. Dopieroś Wasze prawił że cesarz umie każdą mowę, teraz brzechasz że jedno po niemiecku szwargoce. Panie wojaku, łgarz wam wygląda z za kołnierza.

— Łgarz, łgarz! — Zełgał! — Łże jak po mydle!

— Ha ha! złapał się — praw no dalej — nie zbędziesz nas psim swędem. —

Jeden parobczak zakasywał już rękawy; urlopnik zwąchał co go czekało, cofnął się ostrożnie do kąta, spuścił z tonu i przyzwał na pomoc półgarncówkę.

— O co wam chodzi? rzekł; cesarz umie po niemiecku

i po wszelakiemu; zapytajcie wachmistrza; wiadoma rzecz w ostatniej cesarskiej wiosce. Cóż ja winien że u każdego z was w głowie ciemno jak tabace w rogu. Przeklinacie waszego komisarza? — Co mnie do niego? — Ja go w życiu na oczy nie widział. Powiadam jeno, że gdybyście byli chytrzejsi, poznalibyście że rządca tak was oporządza jak mu pan rozkaże. Który z was słyszał jakie rozkazy pan mu wydaje? On nie dla siebie pracuje; panu pieniądze odsyła i ma także za swoje gdy mało grosza naliczy.

— Panowie wszędy potrzebują pieniędzy, odrzekł Kuba; za cóż chłop nie wszędy mrze głód, jedno tam gdzie Niemiec mu rozkazuje?

— W niemieckiej ziemi, ciągnął urlopnik, każdy rządca Niemiec; chłop przecie nie skarży się; lepiej mu niż u was zagonowej szlachcie.

— Daj go lichu, jak kręci! — Tam wżdyć i chłop Niemiec; kruk krukowi oka nie wykole. Złodzieje między sobą się nie kradną. U nas inna sprawa. Niemiec włazi do chałupy i siedzi niby żołnierz cesarski na postoju; naje się, napije, obedrze i znów wlecze dalej; przekleństwa ludzkiego na starość nie usłyszy — gotowego grosza w kieszeni z dymem mu nie puszczą, domu psiawiara nie pobuduje; szachruje dopóki człowieczą biedą nie napcha trzosa i potem zmyka do swoich.

— Ogon wtuliwszy pod siebie, dodał ze śmiechem Mateusz.

— Ba i prawda — ozwał się Bartłomiej — na boże stworzenie żaden z nich nie wypada. Nie dalej szukać jak nasz kłapouchy — w oczy nigdy uczciwie nie zajrzy; łypie z podełba a warczy bez ustanku — jeszcze wścieknie się kiedy, to i ludzi pokąsa. Popadnijcie mu jeno w drogę panie wojaku, a obaczycie jak do was zagada; nie po bożemu ani po ludzku; po psiemu Panie odpuść, albo po szwabsku.

— Czort z nim póki wymyśla! Zatkniesz uszy i nie słyszysz, ale ręka więcej u niego w robocie niż język, a łapę ma cięższą niż niedźwiedź.

— Oj nogę ma także nie z puchu. Pastuch z Zawałowa rozpowiadał, że przed wczoraj zjechał na folwark, nałajał na-

burczał i kobietę kulawego Wojciecha tak kopnął w brzuch że poroniła nieboga. Aże sam wyląkł się zbójecki syn; kazał przywołać Wojciecha, dał pono pieniędzy, pańszczyznę obiecał za cały rok darować i krowę przydał z pańskiej obory. Wszystko byle jeno przed światem na targu nie rozgadywał.

— Ha szelma! — W piekle po uszy będzie się prażył.

— I Wojciech też bydlę że dał sobie kobietę potratować. Niechno by mnie tak się zdarzyło, pokazałbym mu ja krowę i pańszczyznę; bez krowy wziąłbym go na rogi.

— Nie przechwalajcie się Mateuszu — rzekł jeden z milczących dotąd gospodarzy; wódka we łbie wam szumi, wódka przez was się odgraża; niechno by Szwab nosa tu pokazał, pierwsi ze strachu wpadlibyście pod ławę.

— Co nie to nie! Niech mię piorun trzaśnie jeżelibym mu do ślepiów nie skoczył. Póki człowieka jedno bije — pół biedy, ale kobietę ciężarną! — Mordować nogami, wierzgać na ludzi gorzej parszywego konia. Mówcie co chcecie Damianie, u nas nie uszłoby mu na sucho. Pałki rosną jeszcze w lesie, a złodziejski łeb nie twardszy od garnka.

— Byle tylko z góry go łomotnąć, ozwał się jeden z młodzieży. Wasza prawda Mateuszu; jużci nie znajdzie u nas w całej wsi gospodarza ani parobka coby dał się tak poniewierać. Dawno temu, przed laty, pamiętacie jak na weselu ławnika z Zośką od starej Kuźmichy, dozorca, też Niemiec, zaczął w karczmie ludziom wymyślać i skaleczył sołtysowe dziecko? — Na drugi dzień, znaleziono go w lesie, bez duszy, z połamanemi żebrami. Sąd zjeżdżał, pisał a pisał, nie mógł się prawdy dopisać. Mojego rodzica, Jaśka komornika, i gajowego, rok wytrzymali w kryminale; zbatożyli na odchodne i puścili. Ale Szwabowi duchu nikt nie powrócił. Do czasu dzban wodę nosi; niechno przebierze się miara. Jeszczeć to u nas ludzie nie bydło.

— Tyle też tylko w nas człowieka, że chodzim na dwóch nogach, rzekł Bartłomiej. O dawnem nie ma co gadać; dziś gorsza bieda nas nagabnęła — żaden ręką nawet nie kiwnie. Za sołtysowe dziecko, djabeł w lesie dozorcy kark skręcił; dziś i djabeł nas porzucił, albo też wlazł w szwabską skórę i hajdamaczy bez miłosierdzia. Zapytajcie Samka, czemu siedzi

w kącie i języka w gębie zapomniał? — Jego sprawa świeża, dzisiejszego poranku. Chudziak nie może jeszcze opatrzeć; do was kumie Samku — wypijcie trochę na frasunek!

— Co wam takiego Samku — ciało odstaje od gnatów? Rozpowiedzcie jeno; z wami pono głupio zadzierać? —

Wieśniacy jeden przez drugiego sypnęli się ku przeciwnemu kątowi izby gdzie Samko, milczący, ponury, odosobiony jak dzik, siedział czapkę wtuliwszy na oczy i dotąd cale się nie mięszał do powszechnej rozmowy. Chłop to był z urodzenia mało wesoły; w karczmie, w chałupie, na polu, na targu, rzadko kto kiedy głos jego usłyszał; uważano go jednak we wiosce, ustępowano mu z drogi; uchylano czapki radziej, niżeli przed samym wójtem.

Samko w kłótnie i bijatki ze swoimi się nie wdawał; rozpowiadano atoli jak na odpuście w Podhorcach, sam jeden zbił na miazgę trzech cesarskich żołnierzy; jak napadnięty raz przez Żydów w Paszyńskim lesie, dwóch własnemi rękami zadusił; jak na jarmarku w Sączu nie dał się wszystkim chłopom od Lewickiego. Krążyły także pogłoski że w wspomnianem przed chwilą morderstwie dozorcy, Samko głęboko rękę umoczył. Być może nawet że sam jeden, cichaczem z nim się uprzątnął, że małomównością tajemnicę udzierżył i sąd tym sposobem zapędził na manowce bezskutecznych poszlak.

Ztąd we wsi, ku Samkowi cześć i poufność.

Zagabnięty wbrew przez gromadę, podniósł czapki i otarłszy rękawem zwisły wąs, do dna wychylił blaszankę.

Wywiędłe oblicze Samka, zsiniałe usta i krwią zaszłe oczy, świadczyły że milczenie jego wcale nie było w tej chwili wypadkiem wewnętrznego spokoju. Gwałtowne jakieś uczucie, oczywiście kąsało mu duszę, wgryzało się w najskrytsze jej zakątki; podniósł głowę, wysłuchał powtórnie zapytania i machnął ręką jak gdyby na znak, że o złem niepowrotnie dopełnionem nie warto było wspominać.

— Gadajcież Samku, rzekł Mateusz; musieli wam tęgo dopiec kiedyście tacy zafrasowani.

— Mnie nie jeden już dopiekł — odparł wieśniak chrapliwie; wycierpiałem moją dolę. Kto do czego, chłop

do bolu urodzon; na własną krzywdę wygarbowaną mam skórę.

— Cóż takiego? — Wtrącił urlopnik; nie odrobiliście pańszczyzny, albo może egzekucję postawili wam za podatek. Darmo nieboże — bez pańszczyzny i bez podatku panowie pomarliby z głodu; ekonom temu nie winien. —

Samko zerwał się z miejsca, potrącił stół, zacisnął pięście i takie lice wyzwierzył na urlopnika, że tenże stanął jak wryty, z otwartemi usty, nie śmiał ciągnąć dalej zaczętej mowy wtłaczał się między gromadę ku przeciwnemu kątowi, gdzie towarzysz jego obojętnie dopalał fajki.

Obecni rozgarnęli się; Samko poskoczył na środek izby.

— Stul pysk gadzino! — Wrzasnął — albo — splunął w garść i gestem dokończył przestrogi. — Sto djabłów zjadłeś! — Po co pogański, psi synu, mięszasz się w cudze sprawy? Jeżeli ci rządca zapłacił abyś za niego szczekał, to idź, oddaj mu pieniądze; nie przekabacisz tu nikogo. Widzisz go! — Szubrawiec! — Musiałeś i ty dawniej robaku dzwonić kajdaniarzem.

— Niechajcie go Samku — rzekł sędziwy Jakób występując jako rozjemca; powiedzcie nam lepiej czemu tak srożycie się na Szwaba?

— Jużcić plackiem do nóg mu nie upadnę, chyba obaczyłbym go raz na zawsze wyciągniętego. Ruszajcie Kubo, rzeknijcie waszemu synowi że nie dla niego moja Małgośka. Szukajcie mu uczciwej dziewuchy.

— Co mówicie Samku?

— Świętą prawdę. Z dawna miarkowałem co mu we łbie świta. Ile razy, bywało, bestyjnik przechodzi wedle chałupy a dziewczyna siedzi na przyzbie — zatrzymuje się, staje, głaszcze ją pod brodę, śmieje się jak dychawiczna szkapa. Przykazywałem, skoro jeno zdaleka go zoczy, aby uciekała do izby, abo na strych. Wtoczył się za nią i do izby, namawiał moją kobietę aby ją oddała na folwark, obiecywał złote góry, podarował zaległą pańszczyznę. Małgośka płacze. Kobieta mówi: «był pan rządca, chce wziąść dziewczynę na służbę — co począć?» — Ja mówię: Powiesić jej kamień u szyi, wywlec na środek stawu i utopić. Szwab wraca; kobieta

powiada że nie da dziecka, że jedną ma ją tylko niebogę. Zbójca zaklął po niemiecku, wyszedł, trząsnął wierzejami, omal się chata nie rozwaliła; od niedzieli ani o nim słychać. Kobieta mówi: «zmiłował się nad naszą biedą» — ja nic nie mówię. Dzięki Bogu, ucichło — ale nie na długo — wczoraj — —

Samko, w niepamiętnym gniewie porwał za czakę, cisnął ją o ziemię, zatratował nogami, zaczął rwać sobie włosy.

— I cóż wczoraj? krzyknęła chórem niespokojna gromada.

— Włódarz o świcie wypędził mię do gorzelni; kobietę pchnął kopać do pańskiego ogrodu. Małgośka została doma; matka przykazała jej uwarzyć barszczu trochę i kartofli. Czekam w południe — darmo! — Nikt z dwojakami nie przychodzi; i strawy się odechciało — coś korciło mię w piersiach. Zmrokiem, idę do domu — wraca i kobieta z motyką. Chałupa otwarta — na kominie zimny popiół; nie ma nikogo. Kobieta płacze, załamuje ręce, ja mówię: idź, pytaj starej Katarzyny, komornicy. Zapytała, wróciła. Ledwie wyszliśmy na pańszczyznę, rządca nasłał ludzi, kazał przyciągnąć dziewczynę, zamknął ją o głodzie w ciemnej komorze. Wyrzekała na cały głos; panie odpuść — bił ją rozbójnik! — Matka naszlochała się przez noc całą; myślałem że dusza z niej wyjdzie. Nad rankiem, bieży, ściele się mu do nóg, woła: «Ojcze, Dobrodzieju, zmiłuj się, oddaj dziecię! —» Kazał wyrzucić ją za próg; przywlokła się znowu, sam porwał dębczaka, jął tłuc; sińce ma na plecach, na piersiach, na twarzy jak gdyby kto pogniótł na niej ćwierć brusznic. Do chałupy przysłał drabów, kazał zabrać jałówkę — za podatek, mówi i za czynsz. Przepadła dziewucha; bezbożnik zatraci ją; sponiewiera jak ostatnie bydlę! —

I cóż? — Macie dość! — Czego stoicie jak gawrony, każdy z rozdziawioną gębą? — Do stu Szwabów i djabłów! — Czemu patrzycie mi w ślepie jak gdyby żaden mię nie znał. Z drogi hołota — jutro na obławę! — Cha cha cha! — Zapolujemy! — Czort mię tu przyniósł! — Jak zaczną męczyć, ostatek z człowieka wymęczą. — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — I o trzy zdrowaśki pora niedługo po-

prosić. Żydzie! Wódki! — Wódki! — Ha złodziej, katownik z piekła rodem! —

Szmul drżącą ręką podał blaszankę; Samko duszkiem wychylił, zatoczył do koła obłąkanym wzrokiem, nacisnął znów czapkę i mimowiednie rozpychając tłok, wyszedł z karczmy.

Nikt nawet za nim nie spojrzał; gromada stała w osłupieniu.

— Słyszeliście ojcze Jakubie? — rzekł Mateusz po długim przestanku; dotąd zajmowali nam bydło, teraz poczynają zajmować i dzieci. Trzeba pono będzie wynieść się do lasu; na otwartym gościńcu człowiek pewniejszy niż we własnej chałupie.

— Zbisił się Szwab, Bóg widzi — odparł Kuba; djabeł go opętał na ludzką niedolę.

— Z djabłem byłoby jeszcze pół biedy; ksiądz proboszcz wygania djabły, ale szwabskiego czorta kropidłem nie wypędzisz, chyba nie kiścią jeno trzonkiem zamalujesz go po pysku.

— I to nieraz, nie dwa! — dopóki w nim krzta duchu, jeszcze weźmie cię na rogi; powieś go, a przed wisielcem nawet ludzie uciekną; nuż się oderwie?

— Niechby jeno wisiał; jużci postronków krzepkich u nas nie brak; i za nogi nie jedenby pociągnął.

— Nie stracha się on szubienicy, złodziejska krew! — nim go powieszą nie jednemu dopiecze, a choćby na śmierć cię ubił, z sędziami zaszwargoce i przyznają mu sprawiedliwość. Biegaj do Pana Boga ze skargą; jeżeli grom go nie zatłucze, ludzie mu nie poradzą.

— Poradzilić już nie jednemu; w Matce Najświętszej ucieczka, że i na tego psa znajdzie się łyko.

— Biedna Małgośka! — Wtrącił wójtów parobek, zamęczą ją, zamarnują; takiego rozboju nikt we wsi nie zapamięta; im widzi się że dziewkom naszym do dworu jak muchom do miodu. W zeszłą niedzielę, ekonomowa nie mogła nadziwić się że Maryna od Jaśka pastucha, wypraszała się ode dworskiej służby.

— Prawdać to, że byle którą wzięli do dworu, dziad

później o nią nie zapyta; wżdyć i sama nieboga chodzi po dziedzińcu jak za pogrzebem. Darmo nadziewają na nią białe rańtuchy i krasne zaściążki i siła wszelakiego zbytku; weselsza im w chałupie gruba sukmana niż we dworze barwiste odziewki. Pańska strawa na dobre im nie wychodzi — pamiętacie przed dwoma laty?

— Córkę od piastunki Krystyny? — Ba któżby jej nie pamiętał.

— Jakiej piastunki? — Zapytał ciekawie młody wyrostek, który obliczem na dzieciaka jeszcze zakrawał.

— Jakiejże innej? — Piastunki samego pana grafa Krystyny z Nadhajec, żony dużego Stacha co przystał do werbunku.

— Ha ha! — Rzekł Mateusz nawołując dawne jakieś wspomnienie — tego łotra co go oskarżali że podpalił karczmę w Polance; pomnę! — Jeszczem sam był parobkiem.

— Chytry lis, daj go katu! — Gdyby nie był dernął do cesarskich, dotądby może po uszy siedział w kryminale. —

Ostatnie słowa gromko wypowiedziane wzbudziły ruch w przeciwnym kącie izby, gdzie dwaj urlopnicy zrażeni bezskutecznością swoich zachodów, dopijali w milczeniu resztek niewdzięcznej półgarncówki. Wachmistrz pierwszy raz wypuścił z ust lulkę, powstał, ziewnął, wyciągnął się i z niechcenia niby przystąpił do grona, gdzie wszczynała się rzecz o losach córki zawerbowanego podpalacza.

— I cóż jej złego było we dworze? — Rzekł silnie zepsutym polskim językiem; chleba i odziewku miała podostatkiem; jużcić lepiej wypasać małego panicza niżeli paść bydło.

— Bóg wie czy lepiej, panie żołnierzu — mówił Kuba. Krystynie nie zbywało ani na kaszy ani na okrasie; była we dworze nad czeladzią czem rządca nad nami. Wysłali ją później, po śmierci nieboszczki Starościny, do Zawałowskiego folwarku na gospodynię; przeniosła się z dziewczyną, rozkazywała ludziom gdyby pani, ale sprawiedliwie mówiąc, miała siła zmiłowania; najbiedniejszemu było przy niej dobrze. Na raz wszystko djabli wzięli. —

Wachmistrz namarszczył brwi, przecierał ogorzałe czoło;

opowiadanie Jakuba nasuwało mu na myśl dalekie jakieś, mgliste wspomnienia, na pół zatarte kolejami cesarskiej żołnierki, długą pielgrzymką, długim pobytem w oddalonych krajach.

— I cóż się z nią stało? uczepił półgłosem; pan ją wypędził — za co?

— Pan jej nie wypędził; przydał nawet zasług, mówili, ale dziewczynę zabrał do dworu.

— Córkę?

— Kogóżby jak nie córkę; jedną ją tylko miała. Krystyna rzuciła folwark, ostawiła dwie pełne skrzynki; uciekła do Nadhajec, z gospodyni na wyrobnicę.

— I teraz żebrze chleba w Nadhajcach?

— Panie świeć nad jej duszą; nie potrzebuje już żebrać.

— Umarła?

— Łońskiego roku; gajowy powiadał że nie było komu i za co pochować.

Wachmistrz wyłamywał palce ze stawów, przeszedł się kilka razy po izbie, zaczął znów spokojnie napychać fajkę, zapalił, wypuścił kłąb dymu i rzekł przez zęby:

— A dziewczyna, czy dotąd we dworze?

— Przed dwoma laty widzieli ją ludzie, nie we dworze, daleko het za dworem, w osobnym domie. Pan pobudował jej dom, po wierzchu niczego, ale we środku, mówili, cały od złota i srebra, gdyby kościół. Teraz dom stoi pustką; dziewczyna przepadła jak kamień w wodę.

— Wypędzili ją, czy zmarła? — Cóż przecie?

— Nie wiadomo. Zkąd my gromada mamy znać co się dzieje we dworze? Ot tam, na przypiecku siedzi Piotruś; on służy przy kuchni, snać więcej zna od nas.

— Gadaj jeno Piotrusiu — rzekł jeden z parobków, uderzywszy po czuprynie drzemiące pacholę; gdzie podziała się dziewczyna od Krystyny piastunki? — Dworscy ludzie muszą wiedzieć.

— Jaka dziewczyna? — Odparł kuchcik; we dworze nie ma żadnej dziewczyny. Kucharzowa córka oddawna za mężem, za tkaczem z Prostyni.

— Czort ci plecie o kucharzowej córce, kocmołuchu! —

Od maleńkości pomywasz pańskie miski; nie raz i nie dwa słyszałeś o dziewczynie z nadrzecznego domu, u zagajnika.

— Het za wierzbami, pod samym lasem? zapytał Piotruś.

— A jużci że nie gdzieindziej. Co prawią o niej we dworze?

— O Nastusi?

— O Nastusi, ospalczc! wtrącił przytłumionym głosem wachmistrz; mówże kiedy starzy pytają! —

Kuchcik podrapał się w głowę, obejrzał do koła, wzruszył miłosiernie ramionami i rzekł:

— W domu u zagajniki nikt nie siedzi, dziewczyna przepadła.

— Gdzie? — Jak! —

— Bóg ją wie; ludzie nie wiedzą.

— Łżesz urwipołciu! nie bez tego aby ludzie nic o niej nie rozpowiadali, jak zejdą się wieczorem.

— Gadają i nie mało, ale kto z nich ma prawdę?

— Cóż tedy gadają?

— Zawsze jedno obracają jak na rożnie. Przed wczoraj jeszcze, deszcz lał gdyby z cebra; zeszli się do kuchni pokojowi, stajenni, siła różnego narodu. Był i cieśla co mu żona umarła na przeszłe Trzy Króle. Stary Michał ogrodnik, przyniósł dla Szwabichy sałaty, marchwi i dwie wiązek pietruszki; usiadł i jęli między sobą goworzyć. Paweł ze stajni mówił że dziewczyna snać była czarownicą, że oczarowała pana grafa i potem, jednej nocy, szmyrk, na łopacie przez dymnik.

— Jakto? — Zapytał Mateusz; Paweł żywemi oczyma widział ją na łopacie?

— Nie; słyszał jeno od szewca ale szewc zawżdy pijany; dwoi się mu w ślepiach. Michał klnie się że wpadła w wodę, że sama się utopiła.

— Kiedy? — Czy Michał widział jak skakała do wody?

— Nie; ale przysięga że tejże nocy co na drugi dzień nikogo w białym domu nie było, słyszał plusk niby ludzkiego ciała, a słyszał na pełne uszy bo miesiąc świecił nie gorzej słonka w południe. Snać mówi prawdę, bo sam kucharz powiada że dziewczyna musiała się utopić.

— Ciało przecie musieli wyciągnąć? rzekł wachmistrz.

— Nie wyciągnęli, nie znaleźli; poszła od razu na dno i więcej nie wróciła.

— Jużcić że na dnie została — prawił Kuba; zmarła bez spowiedzi; djabeł nie ksiądz ją pochował.

— Tak to być musi, mówił dalej kuchcik, bo z dziewek w czeladniej izbie, żadna za sto złotych nie przeszłaby nocą wedle białego domu. Coś pokutuje w zagajniku, jęczy po krzakach, pluszcze w wodzie; gospodyni raz biegła tamtędy nocą, zły duch zastąpił jej drogę, targał za fartuch; wpadła do kuchni biała jak chusta. Sam gajowy, ze strzelbą, o północy, tamtędy by nie przeszedł. Franciszek z kredensu mówi, że ile razy grzmi to zawsze nad białym domem, a co kruków i wron na dachu siedzi! — Sam pisarz z gorzelni by nie policzył. —

Większa część obecnych przeżegnała się krzyżem; kilka głębokich westchnień przerwało głęboką ciszę. Roztłuczone szyby skrzypiały na pordzewiałych zawiasach, wiatr niemi dzwonił lub może duch topielca w okna karczmy łopotał.

Jeden wachmistrz ani się przeżegnał, ani westchnął do Boga; gryzł lulkę choć mu oddawna już była zagasła, wpatrywał się w oblicze kuchcika, widno jednak myślał o czem innem; oczy stanęły mu słupem, powiek nawet nie zmrużał. Nagle, wykręcił się żołnierskim zwrotem i parsknął śmiechem aż się szyby zatrzęsły. Zgromadzenie drgnęło; śmiech ten, w podobnej chwili, miał w sobie coś djabelskiego.

— Pleć bajki nieboże — wołał urlopnik, temu, kto dość głupi aby ich słuchał, aby im wierzył. Dziewczyna utopiła się i ciała jej nie znaleźli dla tego, że przy wylocie duszy, księdza nie miała przy sobie! Co mi za dowód. — I któregóż topielca ksiądz spowiada przed śmiercią, a każdego przecie znajdują? I ją pewnieby znaleźli, tylko że ten kto ją pchnął w wodę, strzegł się ludzkiego oka i sam ją pochował.

— Któżby ją miał chować? rzekł Bartłomiej; zakrystjan ani dziady kościelne nie wiedzą o niczem.

— Kto? — Ten kto chciał zbyć się jej z karku.

— I któż taki? ozwała się gromada.

— Czemu dopytujecie? — Przerwał Mateusz; jeżeli dziewczynę pogrzebał kto w niepoświętnej ziemi, to jużcić nie żaden inny, jedno poganin, Szwab, rządca nasz.

— Wżdyć Szwab a nie kto inny, powtórzyli chórem chłopi.

— Szwab — wasza prawda! dodał kuchcik; pamiętam — dziewka od niego powiadała że w sam Wielki Piątek jadł z okrasą.

— Patrzcie go rozbójnika! — Czemu się dziwić że z djabłem za panbrat.

— Szwab albo i nie Szwab, rzekł Jakób Paprotnik; nie bronię ja tego złodzieja, jeno powiadam że go tu jeszcze wtedy nie było. Dziewczyna przepadła w lecie, a on nastał dopiero na przednówku.

— W lecie czy w zimie, zbójca zawsze zbójcą; czy nie słyszeliście jak wczoraj ukradł Samkowi dziewuchę i zbił mu kobietę? —

Wachmistrz postąpił ku ciżbie; drugi urlopnik z rozognionem obliczem stał mu za plecami.

— Do miljona djabłów! — Krzyknął, musieli wam blekotem zaprawić gorzałkę; we łbach wam się poplątało. Rządca porwał Małgośkę — zgoda! ależ Krystynie nie rządca ukradł dziewczynę. Ten kto ukradł ten i zatracił. Któż ją wywiózł od matki, kto dom pobudował?

— Cieśle pobudowali, ale cieśla tutejszy człek spokojny, uczciwy.

— A cieśli kto zapłacił, czyjemi pieniędzmi?

— Pan cieśli zapłacił, pieniądze pan tylko ma; pan daje.

— Widzicie więc sami, kto zgubił dziewczynę od piastunki Krystyny. Szczekacie na rządcę, na dozorców jak gdyby złe nie szło najprzód ode dworu. Gdyby pan pierwszy nie nagrzeszył, rządca ani byłby pomyślał wziąść jednemu z was dziewkę. Pana jeno nastraszcie a tęgo, to i rządca się upamięta. —

Gromada słuchała opuściwszy głowy; rozumowania wachmistrza trudno odeprzeć, skądinąd atoli ująć pana w obroty, rzecz była wówczas w Galicji niezwykła, rdzennie sprzeczna

z duchem polskiego ludu. Chłop, nienawiść, żal, zemstę, zużywał jeszcze na Niemcu jako na wszechprzyczynie krzywd jego i wszelakiej boleści. Długie lata upłynęły zanim między djabłem czyli Niemcem a sobą, dostrzegł na drodze, magnata. Tymczasem oczywistość i zdradzieckie podniety, zewsząd kołatały mu do przekonania.

Drugi urlopnik zabierał się do poparcia wymowy wachmistrza, gdy w tem, w oknie karczmy zjawiła się postać gromadzie blisko znajoma.

— Won chamy z izby do domów! — Krzyknął zgrzytliwy głos zepsutą polszczyzną — niechno jutro o świcie który nie stanie do obławy, policzę mu gnaty nahajem! —

Dozorca rzuciwszy takowe wezwanie znikł w nocnych ciemnościach; chłopstwo pojrzało po sobie, zatknęło ręce w kieszenie, klnąc i złorzecząc pod nosem, rozeszło się do chałup.

Niebawem światło w karczmie zagasło; chrapanie dwóch urlopników wyciągniętych na ławie, z regularnością zegaru odmierzało nocne godziny.

Nazajutrz, o świcie, otwierały się kolejno drzwi każdej chaty; gromada, chmurna, milcząca, rojem sypała się ku wielkiemu gościńcowi; ławnicy, wójt i dwóch dozorców, pędzili ją do lasu. Małe chłopcy z grzechotkami zdążali co siły za dorosłymi, zdaleka bowiem w przedrannych tumanach, czerniła się na koniu postać srogiego rządcy.

W parę godzin później, na dziedzińcu pałacowym ruch wszczął się niezwykły; zajeżdżały bryczki, powozy; stajenni wyprowadzali wierzchowe konie, dojeżdżacze sforowali smycze, wyciągali naprzód, aż wreszcie cała zgraja panów, domowych i służebników, ruszyła ku kniejom.

Poranek był szary, dżdżysty; ciężkie wilgotne powietrze w posępnych całunach wisiało nad polem; na skraju widnokręgu słońce zawalone obłokami krwawiło się siną czerwienią; dzień sam przez się nie dodawał wesela, ale każdy z gości miał go w sobie podostatkiem; nie jeden słońca nie potrzebował, żył z niem w otwartej niezgodzie, przenosząc blask świec jarzących nad światło powszednich promieni.

Gospodarz sam jeden widocznie nie w swojem był uspo-

sobieniu. Próżno nadrabiał wolą, witał gości uprzejmie, krzątał się, wydawał rozkazy, z uśmiechem przyjmował żarty; usta otwierały się do wesela, ale zmarszczki nie znikały mu z czoła, niepokój nie ulatywał z wejrzenia.

Po długiej nieobecności, pierwsze chwile na wsi spędzone, obudziły w nim więcej goryczy niż uciechy z powrotu do miejsc rodzinnych. Może na myśl koniecznego pobytu w samotnej okolicy, zdjął go żal Wiednia, świetnych towarzystw i miejskich roskoszy; może rzeczywiste troski majątkowego położenia na własnej dopiero ziemi stanęły mu w całej zgrozie przed wyobraźnią; może inne jeszcze, głębsze daleko i dotkliwsze wspomnienia wywołał w nim widok pałacu, ogrodu, rzeki, domku bielejącego w oddali? — Cokolwiek bądź, bliźsi znajomi, zwłaszcza zaś nieodstępny i przyboczny towarzysz, dostrzegli że Wilczek potrzebował zapomnieć o sobie, że należało pomódz mu w rozgonie natarczywych a nieznośnych korowodów złej myśli.

Juljusz przyzwyczajony do podobnych zmian w przyjacielu, wiedział jaką poruszyć w nim strunę aby duszę, z rozdźwięku na strój wprowadzić; umiał na pamięć wszystkie zagięcia, wszystkie słabości wrażennego tego umysłu, postanowił zatem poświęcić się dla dobra ogółu i powrócić gościom Wilczka takiego, jakim wszyscy znali go i kochali. Siadł z nim do kabrioletu, zaciął konia, pomknął jak strzała naprzód; sam rodzaj ten jazdy wywierał na Wilczku uweselające skutki; niegdyś, nie jednej troski zbawiał go rozhukany koń; nie jedną wrzawę w duszy, głuszył w nim szalony warkot kół wypuszczonych na wyścigi z wiatrem. Wilczek, w krainie szału czuł się w prawdziwej swojej ojczyźnie; zwyczajne życie było mu zawsze nudną gościną, którą dotąd umiał skracać lub całkiem omijać.

Tym razem jednak, wątek zaradczych środków zdawał się nagle urywać; ani polot dzielnego konia, ani przyjazne słowa towarzysza, nie zdołały rozsępić mu oblicza; błędnie przed siebie spoglądał, z założonemi na piersiach ramiony rzucał niesforne odpowiedzi, lub częściej zapadał w głuche milczenie. Dreszcz gorączkowy nim wstrząsał tak, że Juljusz siedzący obok, uczuł kilkakrotne drżenie ramienia i nie mógł się

wstrzymać od uwagi nad zdrowiem przyjaciela, od zapytania o przepędzonej nocy.

Wilczek zbył go ogólnikiem snać dla uniknięcia dłuższej rozmowy, ku której nie czuł się w tej chwili sposobnym; nie wyznał mu że całą noc przepędził na rozmowie z Lumpmanem, że sprawozdanie rządcy twardy klin zabiło mu w głowę, że tłum innych trosk, których sam nie śmiał nazwać przed sobą, do reszty go ku ziemi przygniatał.

Juljusz poprzestał dalszych obrotów, zaciął konia; łowy miały trwać do wieczora; przed powrotem do domu, przyrzekał sobie wynaleźć balsam na tajemne bole drogiego mu serca.

Towarzystwo stanęło u kresu wycieczki.

Obławnicy, naganiacze, skurczeni w pół od rannego chłodu, nieruchomie przytuleni do ziemi, okryci, kto płachtą, kto łachmanem starego kożucha, oczekiwali na hasło.

Głos Lumpmana zerwał wszystkich na nogi. Nadleśny Heryng ostawił knieje i powyznaczał strzelcom stanowiska. Kilku zawołanych między gośćmi myśliwych dobijało się o korzystniejsze miejsca, inni ślepo oddawali się pod rozporządzenia Nadleśnego, ostępywali na przeciw obławie krawędzi lasu; Wilczek pozostał na miejscu, Juljusz zaś tuż przy nim obrał stanowisko.

Nastąpiła chwila milczenia, każdy opatrywał strzelbę, rozglądał ścieżki, przesmyki, wyłomy, nadstawiał ucha, badał szmer liści, gdy w tem z przeciwnej strony ostępu puszczono psy w gęstwinę i wraz ozwał się hałas grzechotek i zabrzmiały zgiełkliwe nawoływania obławy.

Chór chłopskich głosów i psich ujadań odbijał się po lesie, spłoszone ptastwo trzepotało między gałęźmi; tu i owdzie rozległo się klika pojedyńczych wystrzałów. Strzelcy utkwili w knieję wzrok niespokojnego oczekiwania, ale nagle, psy zdawały się skręcać w bok ku jarom a za niemi i głos chłopstwa coraz oddalał się, słabnął, zawracał w przeciwną stronę i zamiast donośnych krzyków przypływał długim, przeciągłym jękiem.

Zagorzały jaki łowiec, kapitan Skałka naprzykład, byłby w pień przeklął nieszczęsny wybór stanowiska; Wilczek atoli,

słysząc oddalającą się obławę, opuścił spokojnie kurki i wsparty na strzelbie, poglądał w las wzrokiem strzelca calo krwi niechciwego.

Juljusz wzruszył ramionami na znak że próżno było spodziewać się łupu; zarzucił broń na plecy i gwiżdżąc przez zęby wiedeńskiego walca, kroczył ku przyjacielowi.

Wilczek stał blady i chmurny; poranna mgła przejmowała go do kości, głowa snać płonęła mu, zdjął był bowiem czapkę, ręce przecież zacierał i podzwaniał lekko zębami.

— Chłodno za katy — rzekł Juljusz z niechcenia — i do tego jak na złość psy obróciły w przeciwną nam stronę; jeżeli dalej tak pójdzie, z próżnemi rękami wrócim i domu.

— Drudzy od nas szczęśliwsi — odparł Wilczek; czy słyszysz wystrzały? — Tem lepiej! zwierzyna w zmowie z gospodarzem — idzie na gości.

— Zapewne — byle tylko nie wpadła na pudlarzów, inaczej, obrót ten słuszniej należy przypisać instynktowi własnego bezpieczeństwa niż gościnności. Przeklęte sarny! — Zwąchały nasze dwie dubeltówki; lis musiał je ostrzedz.

— Na mnie, rzekł Wilczek, śmiało dziś mogą wychodzić; nie mam ani oka ani ręki; wiatr jakiś wieje mi po piersiach, krew ścina w żyłach. —

Juljusz dobył w milczeniu z torby sporą oplataną flaszkę, nadpił trochę i podał przyjacielowi. Wilczek uchwycił ją z gorączkowym pośpiechem, przytknął do ust, przechylił głowę i długo pełnem gardłem ciągnał w siebie ognisty napój.

Towarzysz odebrawszy kordjał napowrót, potrząsł naczyniem; żaden bełkot nie odpowiedział na nieme to zapytanie; z pełnej flaszki wódki gdańskiej pierwszego numeru, nic zostało ani kropli.

Juljusz podniósł brwi, wywrócił spodnią wargę w znak zadziwienia, pojrzał ukradkiem na przyjaciela, Wilczek wstrząsnął się jak gdyby dotknięty rozpalonem żelazem; krasny rumieniec powlókł mu jagody; czoło zachodziło czerwienią, oczy zapłonęły żarem piekielnej jakiejś uciechy.

— Znakomity z ciebie lekarz mój Juljuszu — rzekł prostując wysmukłą swą postać; w jednej chwili odjąłeś mi niemoc; broń tylko Boże recydywy, w Aptece bowiem jak widzę,

nie ma już ani kropli lekarstwa. Teraz śmiało możemy czekać nie tylko na sarny ale na wiewiórki. Załóż się o pięćdziesiąt obrączkowych że pierwszej którą spostrzeżem, w sam łeb kulę wpakuję.

— Zakładać się z tobą? — Za kogo mię bierzesz? Zostawiłem kilkaset dukatów; jeżeli ci o nie chodzi, palnij mi między oczy z obu luf i nie dalej jak o dwa kroki. Wszystko od razu zagrabisz. Nie widzę w czem ci trudniej wświdrować kulę mnie niż wiewiórce. —

Wilczek uśmiechnął się; pochlebstwo trafiło mu do serca.

— Możesz być spokojnym, rzekł, o twoje dukaty. Choćbym najtrafniej strzelał, nie wygram złamanego szeląga, chyba założysz się że do wieczora, wróbel nawet nie wpadnie nam na strzał. U siebie, nie mam szczęścia; wiadoma rzecz!

— Rozstrzygniemy to za powrotem przed trybunałem króla Faraona. Założymy mały banczek, niechaj się młodzież pali. Tylkoż na miłość boską, mój Władziu, otrząśnij się trochę z tych kwasów, które wcale nie przypadają ci do twarzy. Cóż ci dolega? — Wracasz do kraju, przyjmują cię jak marnotrawnego syna; przyjeżdżasz do siebie na wieś, znajdujesz wszystko w doskonałym porządku jak gdybyś wczoraj był dom opuścił. Chyba że dawne dziwactwa plączą się jeszcze po głowie i żal ci że w domku nad rzeką nie zastałeś nikogo. —

Wilczek uderzył gwałtownie kolbą o ziemię, poskoczył krok naprzód; usta drżały mu od gniewu.

— Do miljona szatanów! — Zawołał — tyle razy prosiłem cię, abyśmy o tym przeklętym wypadku nigdy nie wspominali. Stało się! — Postąpiliśmy oba jak — ale mniejsza o to, każdy z nas jest najlepszym sędzią samego siebie. Wiesz dobrze że nigdy nie wszczynam w tym przedmiocie rozmowy. Uciekam przed własnem wspomnieniem; bez tego, dość siebie nienawidzę, dość sobą pogardzam. Za cóż mam ciągle sam siebie przeklinać, tem bardziej że każde na wiatr rzucone przekleństwo, fatalny los wnet urzeczywistnia? Ha, gdyby cud jaki cofnął mię o kilka lat wstecz! — Głowę miałbym dziś chłodną, spokojną. Zaklinam cię Juljuszu, jeżeli chcesz oszczędzić mi przykrości, nie wspominaj mi nigdy — nigdy!

— Przebacz Władziu — nierozważne słowo! Nie myślałem abyś dotąd, ubiegłe dzieje tak żywo brał do serca. Ja miałbym chcieć umyślnie przykrość ci sprawiać? — Czyliż mię nie znasz? — Napróżno tyle lat przeżyliśmy razem. Nigdy cię nie zawiodłem, i dziś, w nagrodę długiej przyjaźni, znajduję w tobie zwątpienie, skryte jakieś troski, które upornie na dno serca tłoczysz, jak gdyby twoje frasunki i do mnie nie należały. Nie ma co mówić; wielem skorzystał! — Mgła się podnosi; słońce nam nie dopisało. Nieznośny czas! —

Wilczek stał zadumany, wyciągnął rękę ku Juljuszowi, i za całą odpowiedź krzepko go uścisnął; wyraz gniewu na twarzy ustąpił uczuciu znękania i smutku.

— Głupstwo popełniliśmy oba! rzekł; po co było wracać do kraju, po co dobrowolnie rzucać się w to piekło nudy, gorzkich pamiątek, kłopotów i niepokojów o przyszłość? — Rok jeden lub dwa lata, w Wiedniu, ztamtąd na ostatnią zimę do Paryża, a potem — komu uczta nie smakuje, ten ma prawo wstać od stołu. Wszystko albo nic! — Kto przyzwyczajon do życia, ten musi żyć wedle zwyczaju lub wcale nie żyć; pośrednie drogi dla podłych i dla tchórzów.

— Dla tego też żaden z nas nie będzie pomiędzy niemi szukał wyboru. Idzie tylko o to, aby nie pozwolić zepchnąć się z wielkiego gościńca. W naturze, obok trucizny rośnie lekarstwo; mądry je znajduje, ciemny prześlepia. Cóż cię zatrważa? — Wczoraj jeszcze byłeś wesoł jak ryba. Czy sen jaki złowrogi zmordował cię tej nocy?

— Nie zmrużyłem oka; nie kładłem się wcale.

— A to dla czego — przed polowaniem, umyślnie chciałeś się zmęczyć? — Zasłabłeś może i szlachetnym zwyczajem, nie raczyłeś mię przebudzić?

— Bynajmniej. Kazałem zawołać Lumpmana; zagadałem się z nim aż do świtu.

— Rozumiem, zgaduję! — Czemużeś od razu mi nie powiedział! Noc przepędzona na gospodarskiej gawędzie! przyznaję — jest czem znękać Herkulesa. Gdyby przynajmniej, na pociechę, był ci wyśpiewał co, gdzie kiedy i ile ukradł?

— Nie słuchałem go z poszczególnych rachunków; pokazywał mi główne hypoteczne wykazy i szereg rocznych wydatków na same procenta. Lumpman nie mógł wiele ukraść; może nic nawet nie ukradł.

— Zapewne! ze swego dołożył — nie prawdaż? Ha, któż ostoi się przeciw ludzkim językom? — Wieść głosi że uczciwy człowiek mający w kieszeni sto złotych, nie powinien spać w jednym pokoju z Lumpmanem. Nie pierwszy to raz, cnota, niewinność, padają ofiarą zdradliwych potwarzy. Lumpman, od ciebie, prosto pojedzie do Rzymu, na świętego. Zamawiam sobie pięć palców prawej jego ręki na relikwie, na ochronę od złodziejów.

— Lumpman jest człowiek zręczny i pilny. Nie jestem spowiednikiem i nie znam tajemnic jego sumienia — dość jednak obejrzeć się po dziedzińcu, po wiosce, po gospodarstwie aby uznać. że nie poprónował podczas mojej nieobecności. Uważałeś jak wszędy biało, czysto, porządnie? —

Juljusz znowu zanucił ulubionego walca.

— Nie wierzysz? — Dla przekonania cię nie mam pod ręką dowodów; powtarzam wreszcie że mowa toczyła się nie o szczegółach zarządu, ale o rzeczach bynajmniej nie zależących od rządcy. Już odtąd, podobno ani Lumpman, ani żaden najzręczniejszy złodziej nic u mnie nie ukradnie.

— Co słyszę — wynalazłeś bez mojej wiedzy nowy rodzaj pułapek na złodziejów?

— Nieochybną pułapkę — masz słuszność — używaną oddawna przez tych wszystkich którzy, według przysłowia, nie boją się rozboju.

— Ha ha — wyborny żart! — Zapominasz mój Władziu że gdzie oko właściciela przez szkło nic nie dojrzy, tam nocny zdobywca potrafi jeszcze łup wyśledzić. Golizna, jak wszystko na świecie, jest względną. Resztki pańskiego majątku więcej warte od niejednej szlacheckiej fortuny. Kto panem się urodził ten na szczątkach puścizny lepiej wyżyje, niż najtłuściejszy zagonowiec na dorobkowych wioskach. Wreszcie, nie spodziewam się aby wyraz: szczątki, resztki, ostatki — stosował się do twoich interesów. —

Wilczek stał zadumany.

— Nie mylą cię twoje przeczucia — rzekł po chwili; o ostatkach tam mówić można gdzie są jeszcze ostatki. Słuchaj Juljuszu — nie mam przyczyny taić przed tobą prawdy; jestem zniszczony — zniszczony powiadam ci, w całem piekle tego wyrazu.

— Nie podobna!

— Komedji, Bóg widzi, grać przed tobą nie myślę; oszczędź mi długich wywodów, cyfer, szczegółów. Sam Lumpman nie domyśla się stanowczości zagrażającego mi ciosu; wie on zaledwie połowę. Cóż u ciężkiego licha — umiem przecie rachować tak dobrze jak ty, jak każdy znający cztery działania. Położenie moje jasne jak na dłoni; majątek poszedł z dymem! nic mi nie pozostaje — nic, chyba — —

Wilczek przytknął do ust lufę swojej dwururki; zmrużył oczy jak gdyby w istocie oczekiwał śmiertelnego wystrzału.

Juljusz ujął go za obie ręce, buchnął hałaśliwym śmiechem.

— Tym razem— mówił ściskając mu dłonie — zakładam się o życie że chybisz. Kula próżne tylko czerepy rozbija, pełnej głowy się nie ima. Połgłówki jedno w łeb sobie palą, i słusznie czynią; przepołowionej gałki nie ma czego żałować. Na honor! świat słusznie zwie cię zepsutem dzieckiem. Lada bobo w paluszek, lada kuku w nóżkę, wnet z kwitkiem odprawiasz zwykłą dzielność, słaniasz się, opuszczasz ramiona, jak gdybyś rzeczywiście nie jedną ale dziesięć kul miał w mózgu. Wierzaj mi Władziu, każ sobie krwi nieco upuścić, weź kilka zimnych kąpieli — masz gorączkę.

— Niewczesne żarty Juljuszu; żaden z nich nie wyciągnie mię z przepaści. Myślałem że można z tobą poważnie się rozmówić. Cóż chcesz abym począł? — Wracajmy lepiej każdy na swoje stanowisko.

— Jak nie żartować, jak nie śmiać się do rozpuku? — Nie sypiasz po nocach, poważasz się występować przedemną blady, z zaczerwienionemi oczyma; sam kujesz sobie urojone jakieś zgryzoty, wtedy właśnie gdy należy zebrać zupełną przytomność umysłu; gdy sława całej okolicy na tobie polega, gdy nam trzeba zwyciężyć lub zginąć.

— Nie rozumiem cię, nie mam dziś głowy do zagadek.

— Chory jesteś — nie ma wątpienia. Za powrotem, pozwolisz mi posłać po lekarza, albo sam poradzisz się Skałki. Kapitan mówił mi kiedyś, że w pułku ściśle żył z felczerem; musi mieć pewne doktorskie wiadomości. Jak to — mamże ci tłumaczyć rzeczy, które szkolnym nawet dzieciom odbierają dziś sen i apetyt? — Węgierskie huzary Arcyksięcia Karola, przymaszerowały do Lwowa. Giulaj i Ujhazy przechwalają się na całe gardło że na zaprzężnych koniach prześcigną galicyjską szlachtę. Każdy z nich ciągnie za sobą angielskie szkapy krwi czystej jak brylant, i dżokejów chudych jak bretnale. Rozumiesz że junactwa te ciebie mają na celu, ciebie, pogromcę Węgrów, Niemców; ba, nawet Angielczyków! Nasi drwią z huzarskich przechwałek, wiedzą że jeszcze Polska nie zginęła póki ty żyjesz.

Bądź zdrów — kłaniam uniżenie! Wracam do Lwowa i tam rozpowiem, że ty zamiast gotować się do walki, występkujesz treny i łzami się zalewasz.

— Co mówisz Juljuszu? — Giulaj prowadzi angielskie konie; zkąd wiesz? — Folbluty czy huntery? — Czy widziałeś którego?

— Widziałem siwą klacz na stalowych nogach, z szyją jak u łabędzia; trudna z nią będzie sprawa; wygrała już kilkanaście zakładów, dwa podobno w Derby, ostatni w New-market.

— Piekło! przekleństwo! — Oszaleję z rozpaczy! — Kromwell sprzedany — bez tego, między nami mówiąc, szwankował trochę na tylne nogi. Rozwadowski, sławny znawca, kupił go z zamkniętemi oczyma; niechaj się pomknie — uwięzgnie na pierwszym płocie. Ujhazy ożeniony z Angielką, dostaje konie z pierwszej ręki. Stało się! — Wracajmy — na miłość boską, rozejdźmy się na nasze stanowiska. Nie ma o czem mówić, wszystko stracone!

— Nic nie ma straconego niegodziwy Jeremiaszu. Wracajmy tylko — zgoda! — Nie na stanowisko ale do rozumu. Giulaj i Ujhazy woziwodom konie darują. Górą Galicja i Lodomerja! Najprzód, mości hrabio — w tobie nadzieja!

— Oszalałeś! — Piechotą wyjdę na pole?

— Jak chcesz, byleś na polu konia wziął między nogi.

Pamiętasz w Wiedniu, u lorda Albermarle, gniadego ogiera Lightninga?

— Ze strzałką na czole? — Widzę go dotąd przed sobą.

— Co o nim sądzisz?

— O lordzie?

— Ze strzałką na czole? — O ogierze, do stu szatanów!

— Kanclerz — książę — cesarz wszystkich koni! Nieboszczyk Godolfin nie wart mu owsa zwozić do stajni.

— Cieszy mię że nie straciłeś dotąd pamięci. Lightning najdalej za cztery tygodnie musi zarżyć przy naszym żłobie.

— Na mnie kolej mój przyjacielu lodem ci głowę okładać. Albermarle śpiewał tysiąc funtów, coś około podwójnej summy naszych obrączkowych dukatów.

— Będzie je miał.

— Zkąd — od kogo?

— Od ciebie.

— Przestań Juljuszu; raz już mówiłem że nie mam dziś głowy do żartów.

— Ja zaś jeszcze powtarzam że Albermarle zacnym jest mężem i lordem, jeżeli za ogiera żąda tylko dwa tysiące dukatów. Zostawiłem kilka groszy na banku u Eskelesa; rozrządzaj niemi według upodobania. Odbijemy się na zakładach chociażby Lightning u kresu mety miał zadrzeć kopyta.

— Ależ — —

— Żadnych wymówek, albo kwita z przyjaźni! Za kogoż mię bierzesz — czyliż co moje to nie nasze?

— Dziękuję ci, rzekł Wilczek, z tęsknotą podając mu rękę; przyjacielskie poświęcenie ma także swoje granice. Dwa tysiące dukatów — po tem wszystkiem co dla mnie uczyniłeś — com ci już winien! Wyrzucasz mi niepokoje, zgryzoty — chcesz wiedzieć główną ich przyczynę? — Zliczyłem dziś w nocy twoje wierzytelności; sam nie wiem jak im nastarczę. Ha, przeklęta myśl! — Gdybym, sprzedawszy wszystko, grosz jeden miał pozostać ci dłużnym! —

— Bądź spokojny — nie sprzedasz dla mnie garści ziemi. Mam jeszcze trzy tysiące dukatów w rulonach; chciałem kupić większy majątek — nie mogłem dobić targu. Jeżeli raczysz

przyjąć je na hypotekę i posłać zarazem po ogiera, wystawisz mi kwit na okrągłe sto tysięcy złotych. —

Wilczek przeżegnał się; twarzą wyrażał ostatni stopień zadziwienia.

— Nie traćmy marnie słów — rzekł ze zmarszczonem czołem. Uważałbym się za ostatniego z ludzi, gdybym miał korzystać ze szlachetnej twojej ofiary. Interesa poszły ci pomyślnie; masz pieniądze — jak każdy je ma — dla siebie. Nie widzę dla czego chcesz rzucać je w przepaść?

— Mylisz się mój Władziu; samemu po pieniądze rzucić się w przepaść — prędzej rozumiem. Łaski mojej nie potrzebujesz, ja również z łaską nie śmiałbym wyjeżdżać. Umiem cenić mamonę i przysięgam że z wierztelności moich szeląga nie stracę. Bierz — nie pytaj. Żałuję że nie mam więcej gotówki i że jestem z tobą w ścisłych stosunkach przyjaźni. Gdym był ci obojętnym, może prędzej zaszczyciłbyś mię twojem zaufaniem. Zechciej tylko, a w całej Galicji nie znajdziesz lichwiarza, kapitalisty, któryby nie powierzył ci ostatnich swoich funduszów. —

Dziwny z ciebie człowiek; za powrotem, przekonam cię czarno na białem że stoję niżej zera.

— Co do mnie, nie potrzebuję wracać aby ci dowieść, że przy iskierce dobrej chęci, możesz skąpać się w złocie jak szczupak w szafranie.

— Na Boga, Juljuszu, miej litość nademną! Porzuć ton delfickiej wyroczni; jeżeli masz co do powiedzenia, mów szczerze, otwarcie i prędko.

— Żądasz abym powtarzał oklepane rzeczy? — Przypomnij sobie — w dzień naszego ztąd wyjazdu — przed dwoma laty — na chwilę przed pamiętnym wypadkiem o którym zaręczam, że nigdy nie wspomnę, rozmawialiśmy długo i rozsądnie. Zwierzałeś mi tego samego rodzaju kłopoty; wskazałem ci nieochybne środki. Później, za granicą, często o nich wspominałem, następnie napomykałem we Lwowie; teraz, nadszedł czas — trzeba wziąść się do dzieła. —

Wilczek utkwił oczy w niebo, szukał po wspomnieniach; nic nie znajdował.

— Darmo — ciągnął dalej Juljusz; widzę że chorej głowie

nie dość na słowie. Muszę z latarnią cię prowadzić — inaczej nie wybrniesz z obłędu. Od razu przystępuję do rzeczy. Dziś nie masz nic; jutro, możesz stanąć pierwszym panem nie tylko w Galicji ale w cesarstwie. Jedynym warunkiem tej szczęśliwej przemiany — jest — małżeństwo. Musisz ożenić się i to nie tracąc czasu — ożenić natychmiast. —

Wilczek wzruszył ramionami, odwrócił się, jak gdyby nic nie miał do odpowiedzenia na powszednią, czczą, bezzasadną radę.

— Odchodzisz — milczysz? — Sam sobie kamień wiążesz do szyi; chcącemu nie dzieje się krzywda.

— I cóż mam lepszego począć? — Przekonany jesteś że dajesz mi radę; lepiej uczynisz dowodząc, że w ziemi są kopalnie złota; prawda że są, ale gdzie — jak je otworzyć? — Małżeństwo! Natychmiast? — Wyborny żart! — Zgoda — gotów jestem. Ten dąb będzie nam ołtarzem; błogosław nas arcykapłanie hymenu i wracajmy do domu; wierzyciele zatańcują nam na weselu.

— Źle z tobą mój Władziu, odparł Juljusz krzyżując ręce; ogłuchłeś na rozsądne słowo. Zastanowić się, wysłuchać nawet nie umiesz.

— Nad czem mam sie zastanawiać? — Prawisz mi o małżeństwie, o skarbach Mogoła; wszczynasz rozmowę którą pierwszy utniesz, skoro ci postawię jedno główne a jasne zapytanie.

— Postaw tysiąc zapytań — na wszystkie odpowiem. Słów na wiatr nie rzucam. Chcesz wiedzieć z kim cię pragnę wyswatać? — Wezwij pamięć na pomoc, przypomnij pilnie czy podczas ostatniego pobytu we Lwowie, na nikim nie zatrzymałeś myśli?

— Na nikim.

— Nie spostrzegłeś żadnych oczu ścigających cię bezustannie, żadnej twarzy w oknie ile razy przyjeżdżałeś ulicą ku krakowskim rogatkom?

— Widziałem wiele oczu a tem samem i twarzy, ale przysięgam że nie wiem o kim mówisz.

— W teatrze, na przechadzkach, czyje oblicze płonęło za spotkaniem twojej osoby — kto na ostatnim balu wybierał cię najczęściej do figur?

— Niech przepadnę jeżeli pamiętam!

— Ha, niewdzięczny Koloandrze, Minotaurze na dziewicze serduszka, gdybym był kobietą, zginąłbyś z mojej ręki! Biedne dziewczę! — Jestem pewny że nie sypia po nocach, że usycha z miłości. U kogo, w wigilję wyjazdu byliśmy na wielkim obiedzie — przy kim siedziałeś, czyj bukiet pieściłeś zwodzicielu? — Panicz się wypiera, panicz niewinny jak baranek — nic nie wie, nic nie pamięta. Ha łotrze, schwytałem cię na gorącym uczynku! Przyznaj się do winy, przysięgnij poprawę i zadość uczynienie, albo tu oto, na wierzchołku tego dębu, skończysz Waść sromotną śmiercią. —

Wilczek śmiał się na całe gardło.

— Panna Karolina Dahlman! — Jasnowłosa córka bankiera! — Zakochana we mnie na zabój! — Nie sypia i kawy sześć razy na dzień nie pija? — Serce pęka mi z żalu! — Trzymajcie mię! — Juljuszu — soli, eteru — octu siedmiu złodziei — zemdleję z wzruszenia! — Odpocznij mój przyjacielu — musiałeś kaducznie zmęczyć sobie wyobraźnię! —

Juljusz założył ręce na piersiach — surowo nachmurzył oblicze.

— Nieprzyzwoite żarty — rzekł, i śmiech nie w porę. Dla tego że ty nic nie widzisz, ja mam być ślepym? Mówię z głębokiego przekonania, z pozorów dowodnie sprawdzonych. Proszę cię więc, porzuć śmieszne wybuchy i wykrzykniki; weź rzecz na rozum.

— Daruj mi Juljuszu — nie mogę własnym uszom wierzyć. Powiadasz że sentymentalna Niemka — —

— Nie mówię o sentymentalnej Niemce, ale o jedynaczce bankiera Dahlmana; o jedynaczce — rozumiesz mię?

— Niestety, aż nadto cię rozumiem i nie rozumiem zarazem. Przypuściwszy nawet że panna Karolina nie ma ku mnie nieprzezwyciężonego wstrętu, cóż ja winienem biciu jej serca, w czem mię obchodzą tkliwe jej uczucia? — Nie chciałbyś przecie abym ja —

— Nie chciałbym abyś ty, zaszczyt naszej okolicy, przyjaciel pierwszej w Europie młodzieży, poufały najwyższych dygnitarzów w Wiedniu — nie radbym, powtarzam, abyś poszedł z torbą; lub nikczemny szaleniec, z rozpaczy w łeb sobie

wypalił. Mówisz mi o sprawozdaniu Lumpmana, o bilansie twego majątku; nie nauczysz mię w tym względzie nic nowego. We Lwowie, za granicą jeszcze, bez regestrów i wykazów, mogłem przekonać cię że prócz długów nic ci nie pozostaje. Nie wszczynałem sam przykrej rozmowy, nie chciałem cię dręczyć, tembardziej że położenia nie uważałem za stracone. Los podaje ci nie tylko ratunek ale nowe, nieprzebrane źródło pomyślności. Staniesz wyżej i świetniej niż kiedykolwiek, chyba że dobrowolnie założysz ręce i w gnuśnej bezwładzy poddasz się sromotnej doli.

— Córka bankiera, Juljuszu, i towarzystwo wiedeńskie! nie pojmuję jak jedno z drugiem zdołasz pogodzić?

— Na miłość bożą — nie ty przecież będziesz się nazywał Dahlmanem! — Panna Karolina weźmie od ciebie tytuł i nazwisko.

— Tego by tylko brakowało! — Z Dahlmanów, hrabina Wilczkowa — jak ci to brzmi w uszach?

— Jedyna córka miljonowego ojca — jak ci te wyrazy przemawiają do serca?

— Esterhazy, Fürstembergowie, Lichtensteiny, Dietrichstein — za boki porwą się od śmiechu.

— Zapewne; skoro cię obaczą w wytartym surducie i nie mającego za co przejechać się podłym fiakrem.

— Teść mój bez wątpienia, na drzwiczkach wyprawnej karety, z jednej strony każe zawiesić kwartę, z drugiej łokieć.

— Lepiej jeździć w karecie niż chodzić piechotą; łatwiej znieść dawne wspomnienie łokcia i kwarty niż obecną rzeczywistość o żebraczej torbie.

— Sprobuj pokazać się z Dahlmanem w przyzwoitym salonie; człowiek ten nawet za swoim kantorem nie ma żadnego obejścia.

— Dahlman wyliczy córce przynajmniej dwa miljony gotowego posagu.

— I sprowadzi się do mnie na mieszkanie, i zapowietrzy mój dom wszystkiemi swojemi kupieckiemi stosunki.

— Po najdłuższem życiu ojca, który zaczyna djabelnie krucho wyglądać — nieborak, krótką ma szyję, krew często

uderza mu do głowy — panna Karolina oddziedziczy około trzech swoich posagów.

— Tak dalece że gdyby mi przyszła chętka, mógłbym dalej prowadzić dom handlowy pod firmą: Dahlman, Wilczek i Spółka.

— Pałac we Lwowie przy którym arcybiskupia kamienica szałasem, i dom w Wiedniu, na Leopoldsztadzie, o dwóch piętrach, z trzema gankami, z ogrodem, ze stajnią na dwanaście koni.

— I ze sklepem na dole; żona moja musi w godnem siebie miejscu przyjmować gości.

— We Lwowie i w Wiedniu, oba domy umeblowane z książęcym przepychem.

— Szkatuła Dahlmana, jak widzę, sprawiła na tobie mój Juljuszu silne wrażenie; szkoda że w tej chwili o co innego nam chodzi, niż o inwentarz ruchomości i nieruchomości bankiera.

— Mylisz się — o nic innego nam nie chodzi. Cała rzecz zatacza się na inwentarzu; o reszcie nie warto mówić, nad resztą grzechem łamać sobie głowę.

— Dość czasu będzie na to po weselu — nieprawdaż? — Gdy jaki Żyd parszywy, zabłąkany z szachrajstwem w lwowskim naszym pałacu, zamiast do teścia wpadnie do zięcia. Wyobrażasz sobie słodycz podobnego spotkania — przy dawnych znajomych, przy cudzoziemcach? — Gdzie przyzwoity człowiek, którego by jeden wypadek takiego rodzaju na wieki nie zgubił? — Kto mi wreszcie zaręcza że bankier gotów z radością przyjąć —?

— Przesądy! mój drogi — nie na wiek nasz, nie na zwyczaje. Z miłości pojąć za żonę córkę jakiego mieszczucha lub przekupnika? — Oczywiste szaleństwo! Świat słusznie się oburza — ale związek uzasadniony na innych, ważniejszych, na głównych względach — nikogo nie razi. Sam widzisz że wszystkie salony na roścież otwierają się przed Dahlmanem. Cóż takiego towarzystwo w nim ceni? Na honor, nie osobę! — Osoby, nikt nie wpuściłby do przedpokoju. Dahlman ma inne przymioty, znakomite przymioty które w niczem nie ustępują urodzeniu, tytułom, godnościom. Świat czołem bije

przed przymiotami, nie troszczy się o osobę, znosi dla nich nieprzyjemny widok kramarza. Postępowanie twoje, w razie gdybyś ożenił się z bankierówną, we wszystkiem zgadza się z postępowaniem świata. Żenisz się nie z handlarzem, nie z jego córką, ale z przymiotami, które w szacunku opinji zajmują dziś pierwsze miejsce. Małżeństwo twoje wzbudzi następujące uczucia: w przyjaciołach radość, w obojętnych podziw, w niechętnych zawiść bez granic. Powiedz sobie raz na zawsze że porządek społeczny jest wojną, że między ludźmi jak między zwierzętami, jedno żyje kosztem drugiego, jedno pożera drugie. Natura dla wszystkich ustanowiła jednakowe prawa. Ludzkość jest wielką szajką opryszków, która zabijając się, gubiąc, niszcząc nawzajem, żyłaby pomimo to w najdoskonalszej zgodzie i wygodzie, gdyby kilku odszczepieńców rozchorowanych na cnotę i sumienie, nie drażniło, nie przeszkadzało, nie stawało ciągle w poprzek przyrodzonym jej skłonnościom. W wojnie ten zwykłe bierze górę, kto dzielniej uzbrojony — w dzisiejszym zaś stanie rzeczy wiesz gdzie spoczywa siła, co nazywa się orężem. Wreszcie, co do wstrętów twoich ku konszachtom z handlarstwem, mogę cię uspokoić. Slyszałem za pewne, że Dahlman syt łupów pragnie zamknąć kantor, że chce odpocząć na wawrzynach, zrzucić z siebie kupiecką skórę i przedzierzgnąć się w przyzwoitszy kształt. Bankier oddawna kołace w Wiedniu o tytuł barona. Stosunki twoje, krewnych twoich, zwłaszcza zaś Sokolnika, mogą ułatwić mu zachody; co więcej — zapewnić ci jego przychylność i zamienić na karecie łokieć i kwartę na koronę o siedmiu gałkach. Sam teraz przekonywasz się że djabeł nie taki straszny. Trochę zimnej krwi i cierpliwości, a gwiazda nasza słonecznym blaskiem jeszcze się wyiskrzy. — Cóż mości hrabio? —

Wilczek oczy wbił w ziemię i milczał; rozglądał snać w myśli logiczność rozumowań przyjaciela, dumał jak oprzeć się potędze jego wywodów, a może jak uledz przystojnie konieczności.

Do koła las tonął w ciszy; głuchy tylko szmer liści lub zaczepki wiatru z wierzchołkami drzew, kołysały niezaprzątnięty słuch. Zdaleka, niby ciemne jakieś wspomnienia, do-

chodziły w błędnych odgłosach coraz to mniej wyraźne pogonie psów, pojedyńcze lub gwoli echom okolicy, rotowe niby wystrzały.

Juljusz czekał na odpowiedź, gotował się do nowej szermierki, ufny w niezwalczoną dzielność swoich wniosków. Wilczek sam nie wiedział jak zacząć, gdy wtem niespodziany wypadek w inną stronę zwrócił uwagę obu zapastników. Ku środkowi lasu, nagle, straszliwy zgiełk przerwał ciszę. Niepodobna było zdala rozeznać przyczyny hałasu — coś niby okropne przekleństwa i śmiech jakiś zgrzytliwy i wniebogłośne krzyki o pomoc, jęki rozdzierające, rozpaczne nawoływania, zmięszany chór trzech głosów, dwóch, wreszcie jednego który ostatni zapanował nad ciszą, darł się i wył przeraźliwie, pędzony z ochrzypłego gardła nieopisaną męczarnią, nadludzkiem cierpieniem.

Wilczek i Juljusz spojrzeli po sobie badawczo, osłupieli; bolesny krzyk coraz gwałtowniej ich dochodził, wyobraźnia tysiącem bezładnych przypuszczeń mignęła im przed umysłem. Straszne jakieś nieszczęście uderzało w zgromadzenie myśliwych; bez wątpienia jeden z łowców padał ofiarą strzeleckiej nieostrożności, obławnik, domowy, lub co gorsza gość, a w ostatnim razie który z przyjezdnych przyjaciół; nie każdy bowiem miał równe prawo do spółczucia towarzystwa i gospodarza.

Drasnięci jedną myślą, zarzucili strzelby na plecy, poskoczyli oba w gęstwinę ku miejscu zkąd głos się rozlegał; parli się jeden przez drugiego, krzepkiemi ramiony torowali sobie między gałęźmi drogę, gnani niecierpliwym niespokojem i trwogą.

Im głębiej pogrążali się w las, tem jęk coraz słabiej, ale coraz wyraźniej i bliżej ku nim się przedzierał.

W tejże samej chwili, z przeciwnej strony, przybliżał się łomot drzew, trzask krzewiny, gwałtowne szamotania z gęstwią.

Podbiegli, rozeznali niebawem stuk końskich kopyt i wkrótce, zjawił się im pośród zieleni, uwikłany między gałęzie, łeb konia, z rozdętemi nozdrzami, z uchem od przestrachu w strączek ściśniętem, z zatrwożonemi oczyma i poplątaną uzdą.

W pobliżu, krzyk mdlejący od chwili, wyzwany niby ostatniem wysileniem, przedzgonnym jękiem, rozbił się o drzewa, i nagle wszystko ucichło, i szmeru liści słychać nie było i wiatr wystraszony odgłosem ludzkiej niedoli, uciekł daleko gdzieś na płaszczyzny.

Cisza ta, straszniejsza od wszelkiej wrzawy, zwiastująca ostateczne spełnienie przypadku, krew ścięła im w żyłach. Wilczek wstrzymał się zadyszany; włosy mu powstały, przycisnął obie dłonie do piersi; serce nieznośnie w nim kołatało.

Juljusz otarł znój z czoła, skinął obojętnie głową na znak skończonej tragedji i wolnym krokiem ruszył dalej za wyśledzeniem węzła przerażającej zagadki. Poszukiwania ich długo spełzały na niczem; próżno badali śladu ludzkiej stopy, nareszcie gęstwina poczynała rzednieć, tu i owdzie świeciły odarte świeżo z kory lub połamane gałęzie, jeszcze kilka kroków dalej — drzewa kołem tuliły się ku wnętrzu lasu, zostawując w pośrodku mchem tylko i trawą zarosły wzgórek, najeżony wypalonemi pniami starych dębów: smętne niby, tajemne uroczysko Peruna, zbiegłego w głąb borów przed chrześciańskim Bogiem.

Juljusz pierwszy wydarł się z gęstwiny, zatoczył śledczemi oczyma; krzykiem zadziwienia i zgrozy przywołał zdążającego za nim towarzysza.

Wilczek przyśpieszył kroku, dopytywał zdaleka, ale Juljusz zdjęty niespodzianym widokiem, sam jeszcze nie umiał zdać sobie sprawy.

Wdeptana silnie trawa, drzazgi połupanych kijów, rdzawe, błyszczące jeszcze plamy krwi zakrzepłe na kępach mchu — świadczyły o upornej walce.

Na przeciwnym schyłku wzgórka, głową do ziemi nogami ką wierzchołkowi, leżała ofiara, trup na wznak rozciągnięty ale tak strasznie pomordowany że na pierwszy pogląd, trudno było odgnąć kim był za życia.

Głowa wyglądała nakształt spluskanego w krwi węzła sosnowych korzeni, mózg żółtawą miazgą błyszczał rozpryśnięty na trawię, pogruchotana czaszka sterczała z pod zlepłych włosów, w twarzy wywiercone, wyłupane dziury wzdymały

stężałą posoką, strzaskane kości w ramionach i w nogach, jeżyły się z pod zdartej w szmaty odzieży. Odzież to była szlachecka, wykwintna — sukno cienkie, dostatnia bielizna, ba nawet porwany na szyi złoty łańcuszek i w bocznej kieszeni zegarek, wywnętrzony z kółek i z sprężyn, miara czasu dla posiadacza zbyteczna, od chwili gdy zaciekłość ludzka otworzyła przed nim wieczne otchłanie.

— Jeden z gości! — Kto taki? — Zawołał podnosząc nogą mniej uszkodzoną część twarzy. — Kto był na koniu? —

Wilczek pochylił się ku ziemi, rozpoznał na skrwawionych szczękach rudy zarost i wraz przypomniał maść konia; pojrzał bacznie na składy ciała, na krótkie nogi, na brzuch opasły — powstał i rzekł:

— Nikt z gości, dzięki Bogu. Oddycham! — Co teraz począć?

— Któż taki?

— Nie poznajesz go? — Lumpman!

Juljusz z wstrętem cofnął nogę, wypogodził oblicze, czekał dalszych objaśnień.

Lumpman! — Powtarzał Wilczek — zabity! — Dla czego, przez kogo? — Oczywiście nie przez złodziejów; byliby uprowadzili konia, zabrali zegarek. — Dziwna! — Niepojęta! —

— Nie spodziewaliśmy się upolować tak grubego zwierza, odparł Juljusz; winszuję ci łowów a więcej jeszcze obławników; trzeba przyznać że dzielną masz obławę.

— Jakto — myślisz że który z moich chłopów? —

— Bynajmniej! — Ja zabiłem Lumpmana albo też Niemiec sam się tak zajadle oszpecił. Między nami mówiąc — rządca twój nie musiał we wsi miodem smarować języków; galicyjska wendeta! — Postęp nie lada! — Chłopi twoi zamiast pracy w polu, czytają zapewne anegdoty o Korsyce.

— Patrz jak się nad nim pastwili! — Ile ran! — Ile uderzeń! —

— Prawda! — Zewsząd wyganiali mu duszę — bali się aby nie ożył. Niepotrzebnie wpatrujesz się w trupa; wzrokiem go nie wskrzesisz, a sam stracisz apetyt do mięsa i nie będziesz mógł zasnąć.

— Miałem po co wracać na wieś! — Rzekł Wilczek z go-

ryczą; piękne czekało mię przyjęcie. To dopiero początek — a co dalej?

— Dalej? — Nic! Mniej jednym złodziejem na świecie. Ostrzegałem cię abyś nie przyjmował Lumpmana — nie chciałeś wierzyć. Wreszcie, kto wie czy nie lepiej że tak się skończyło? — Łotr byłby nie mało przyczynił się do twojej zguby. Opatrzność uprząta ci jedną zawadę. Sam powiedz czy nie mam słuszności zwąc cię zepsutem dzieckiem Fortuny? W czepku się urodziłeś — na honor!

— Kommissje — zjazdy — sądy — wykupy! — Cały szereg przeklętych następstw.

— Drwij z tego! — W czemże ciebie obchodzi zabójstwo Lumpmana? — Odprawisz sąd na folwark i słyszyć o nim nie będziesz. Kilku chłopów powieszą, kilku zasadzą do kryminału — tem lepiej! — Hultajstwo przytuli uszy i na długo się uspokoi. Do stu piorunów! — Nikogo nie widać. Brakuje tylko, aby jaka podejrzana dusza zeszła nas znienacka krzątających się wedle trupa. Daj róg — zatrąbię. —

Wilczek stał z założonemi na piersiach rękami; bezwładny, opętany strasznym widokiem, nie mógł zdjąć oczu z ofiary.

Juljusz podniósł mu ramię, wziął róg i pełną piersią na gwałt zatrąbił.

Przyłożył dłoń do ucha; wystrzelił z obu luf i znowu zadął.

Tym razem mnogie głosy odpowiedziały na odzew; bieżono zewsząd, wołano, pytano i wkrótce goście, strzelcy, domowi, obławnicy, cała czereda, cisnęli się jeden przez drugiego wspinali na palcach, zaglądali przez głowy — każdy chciwy widoku, ciekawy wieści, trwożny, mnożący zapytania, nie czekający na odpowiedź.

Tuż wytrysnął jak z pod ziemi, mandatarjusz, rządowo-policyjna osoba i jako taka, wtrawiona do wietrzenia krwi, zjawiająca się nieochybnie wszędy, gdzie sprawa trąciła cesarską grabieżą, kajdanami lub szubienicą.

Krucza postać przedstawcy władzy, zwróciła powszechną uwagę; zdawało się że urzędnik z urzędu posiada i wytłumaczy tajemnicę; ucichły gwary w oczekiwaniu na prorocze jego wyrazy.

Mandatarjusz stwierdził tożsamość trupa i rządcy Lumpmana, ale zamiast jasnowidnych wniosków, sam obejrzał się do koła, jak gdyby od którego z obecnych czekał na objaśnienia lub spowiedź.

Nikt ust nie otwierał.

Z różnych wiosek hrabiego spędzona na obławę ludność, wodziła po sobie osłupiałemi oczyma; każdy zarówno nienawidził ciemiężcę w duszy, żaden atoli nie mógł pochwalić się spełnieniem miłej wszystkim zemsty. Sama mnogość zebranej zewsząd gromady, utrudniała wykrycie prawdy.

Mandatarjusz rzucił kilka zapytań. Chłopi wzruszyli ramionami; kilku z nich a między tymi znajomi nam Samko, Damian i Stach narzeczony Małgośki, zbliżyli się do trupa, powątpiewając głośno ażeby takowy, za życia zwał się Lumpmanem; drudzy jednak, dworscy zwłaszcza i dozorcy, ten po odzieży, tamten po sygnecie na palcu, ów po zegarku, wyraźnie rządcę rozeznali w nieboszczyku.

Mandatarjusz zaciął usta, wypatrywał śladów krwi na rękach i na sukmanach; cudzoziemska krew nigdzie nie przystała do polskich łachmanów — uczepiał podstępne dopyty, zapowiedział wreszcie sądową komisję, która wzwyczajona do obrotów z rozbójnikami i w obecnym wypadku, nie mogła nie dotropić się zbójeckiej szajki.

— Kto zawinił a milczy — prawił cesarski urzędnik miotając między gromadę przenikliwe wejrzenia — ten podwójną karę poniesie, gdy prawda wyjdzie na wierzch; kto zna zbójców a nie wyjawia, ten srodzej będzie karany od samych zbrodniarzy; kto dobrowolnie się przyzna, na tego spadnie wyrok o połowę lżejszy; kto doniesie, ten otrzyma nagrodę. Żaden się nie odzywa? — Koniecznie chce się wam kija i więzienia? — Zapowiadam że jednego i drugiego sąd nie będzie skąpił. Ty, co z podełba patrzysz — mów co wiesz! — Szubienica nieboraku patrzy ci z oczu, jeżeli jedno słowo zataisz.

— Jużcić kiedy Wielmożny Pan pyta, wygadam wszystko co wiem, odparł potulnie parobczak wsparty rękami i brodą na sążnistej pałce. —

Wyraz tajemnej radości wypełzł na twarz mandatarjusza; obecni ciekawie nadstawili słuchów.

— Mów — spiesz się! — Wiesz co cię czeka, zapłata lub kije! — Krzyknął urzędnik — co masz do powiedzenia?

— Zeszłej niedzieli, rzekł parobczak — rządca, panie daj mu wieczny odpoczynek, przyjechał był nad wieczorem do naszej wsi, do Polanki. Pan dozorca oto świadkiem. Kazał zwołać gromadę i nakazał obławę; potem, wsiadł na bryczkę, uchylił czapki i powiedział: «bywajta zdrowi dzieci.» Wojciech furman jego, co łońskiego roku dwa razy się topił, zaciął po boku Ickową siwą kobyłę co pan rządca kupił ją na Wielkonoc u Icka młynarza; my pokłoniliśmy się ku ziemi i pojechał.

— Dobrze; potem, przyszliście na obławę, i cóżeś widział w lesie?

— Potem kazali nam hukać; hukaliśmy, łomotali kijami po krzakach. Jasiek od sołtysa powadził się z ławniczukiem o kromkę chleba; porwali się za kudły i wodzili; ledwo ich mogliśmy rozbroić.

— Nie oto rzecz chodzi. Pytam czy widziałeś pana rządcę w lesie, z kim, gdzie i kiedy?

— Pana rządcy — żaden z nas na oko nie widział. Dozórca pędził nas od chróśnika, wedle księdzowej włóki. Nadleśny był u nas; koń mu kulał — snać licho podkuty. Od śmierci starego Kuźmy kowala nikt konia po ludzku nie podkuje. Ale co pana rządcy, nie widzieliśmy od niedzieli.

— Cóż więc wiesz o jego zabójstwie?

— Co ja mam wiedzieć Wielmożny Panie? Nic nie wiem; niech mię choroba zatłucze jeżelim co słyszał.

— Błaźnie! — Krzyknął urzędnik — kręcisz jak lis przed psami; zaczekaj — inaczej ty zaśpiewasz. Ostatni raz pytam po sprawiedliwemu, kto wie o zbójcach i za co pana rządcę zabili?

— Wżdyć i on ludzi mordował Wielmożny panie; nosił wilk długo, ponieśli i wilka, wtrącił zgarbiony we dwoje starzec, żebrak jak się pokazywało z kostura i z przewieszonej na nim torby.

— Kogo mordował? — Wrzasnął inkwirent — podnieś no łeb do góry! Ha, niegodziwcze, powiadasz że ludzi mordował, złorzeczysz mu jeszcze po śmierci! Rozmówimy się bliżej. Sołtys! w dyby tego hultaja — odstawić mi go pod strażą! Czyś tylko ty stary buhaczu nie umoczył przypadkiem ręki w dzisiejszej sprawie?

— To Hryćko! stary pastuch, zawołała gromada — nie dowidzi i złamaną ma rękę; muchy by nie odgonił — ledwo nogi powłóczy. Siedział nad rowem i pasł bydło.

— Stary czy młody, pastuch czy bydlę — jeżeli niewinny nic mu nie zaszkodzi przesiedzieć kilka misięcy w turmie. I tego także z kosemi oczyma, i tych dwóch co się tak szczerze za nim ujmują — związać natychmiast i odprowadzić do wsi. Żywo! — Za jednego wszyscy mi odpowiecie. Ha łajdaki — smakuje wam cudza krew — posmakują i waszej. Dalej — naprzód, w drogę! —

Mandatarjusz rozdał do koła kilka kułaków; dozorcy wzięli się do wykonywania jego rozkazów podczas gdy chłopstwo, ponure, zmarszczone, ze spuszczonemi głowami, nizało na nić strwożonej wyobraźni sąd, szubienicę, kryminał, kajdany, więzienie i śledcze męczarnie.

Gromada rozchodziła się w milczeniu, tłumiąc przekleństwa i złorzeczenia duszy Lumpmana, który nadoskwierawszy jej tyle za życia, śmiercią jeszcze wpędzał lud w ostatnią głębinę rozpaczy i nieszczęścia. Niemiec trupem swym umiał biedakom dokuczyć, zanim do piekła zawleczon; ztamtąd nawet wróciłby upiorem, aby resztki życia z swych ofiar wysysać.

Ale jeżeli wieś smutnie, posępnie wyciągała z lasu, towarzystwo dworskie nawzajem, nie mogło chełpić się zbyt wesołem usposobieniem. Gospodarz zwłaszcza, pomimo wszelkich usiłowań nadrobienia miną, widocznie był zwarzonym.

Za życia Starościny a bardziej jeszcze za rządów jego matki, nie trafiały się na wsi podobne zdarzenia; lud inną miał powierzchowność, innym spoglądał wzrokiem. Wilczek od dawnych lat, pierwszy raz na obławie stanąwszy w obec gromady, nie mógł ukryć przed sobą bolesnego wrażenia, jakie na nim sprawiły wychudłe, groźne oblicza chłopów, postacie

okryte łachmanami, dzika ich obojętność, a nawet tu i owdzie szyderskie uśmiechy na widok strasznie pomordowanego trupa. Oczywiście lud musiał cierpieć; nędza i ucisk rozwijały w nim zbójeckie skłonności — gdzie atoli leżała przyczyna wynaturzenia chłopa polskiego — kto był głównym winowajcą? —

Wilczek uciekał przed odpowiedzią.

Powrót do pałacu odbył się w powszechnem milczeniu; każdy miał przed oczyma ofiarę niesłychanego rozbestwienia człowieczych namiętności; głód nadto zaczynał gościom dokuczać, wiadomo zaś że Polak o głodzie, staje się dziwnie nieprzystępnem stworzeniem. Szczęściem, stół czekał zastawiony; towarzystwo, w zaspokojeniu żołądka pogrążyło przykre wspomnienia, zgryźliwe uwagi; skoro zaś wesołość wzbraniała się wzbić do góry śmiałemi skrzydły, uderzano jej na pomoc w kielichy. Krążyły jedne po drugich częste a pełne, wyrywały się zachęcające toasty, gospodarz pierwszy dawał przykład. Juljusz nigdy nie wyiskrzył tyle ostrego dowcipu; śmiano się ale ucinanym śmiechem, rozmawiano ale niesfornym gwarem.

Skałka napróżno przytaczał zadziwiające dzisiejszego poranku strzały, wyliczał wady i zalety psów, rozpowiadał cudowne dowody swojej zręczności; słuchano go z roztargnieniem.

Dzieduszycki wychwalał swoje konie, Borkowski nucił bachiczne piosnki, Mier znajomy z dziwactw, kręcił się jak fryga i pienił ze złości za każdem słowem; końskie rodowody, wesołe śpiewki, wybuchy Miera, zwijały się płazem; dżdżyste łowów powietrze ciężyło każdemu na mózgu.

Juljusz dał znak do powstania od stołu; towarzystwo przeniosło się do salonu, gdzie rostawione zielone stoliki obiecywały gorętsze zajęcie.

Nadzieja i tu zawiodła gościnne oczekiwania gospodarza. Gra wlokła się kulawo; los za nikim stanowczo się nie oświadczał. Młodzież wyginała się bez energji, sam Juljusz z półprzymrużonemi oczyma rzucał, ziewając, bankierskie karty; strudzone ciało polowaniem nie rozrywki domagało się ale spoczynku.

Jeden z obecnych wtrącił wzmiankę o łóżku; reszta chórem odpowiedziała na wezwanie. Służący poodprowadzali gości do wyznaczonych pokojów; niebawem światła w pałacu pogasły; goście i domownicy usnęli snem głębokim.

W jednym tylko pokoju świeca dłużej gorzała; jednych tylko powiek całodzienne utrudzenie nie mogło od razu zamknąć.

Wilczek, w samotnej komnacie przechadzał się szybkiemi kroki; tłoczył czoło gorącą dłonią, jak gdyby silił się w ład uszykować rozprzężone myśli, stawał przed oknem, dzwonił w szybę, poglądał w ciemne od chmur i nocnych kirów niebiosa.

Wiatr z smutnym jękiem wałęsał się po ogrodzie; świerki i wysmukłe topole chyliły ku sobie korony, pogrążone w grobowych jakichś dumaniach; psy folwarczne nieznośnie wyły w oddali, dręczone chłodem lub może przeczuciem złowrogich wypadków.

Wilczek rzucił się nierozebrany na łoże, aby u poduszki wyżebrać jedną choć chwilę wytchnienia, jedną chwilę ulgi dla rozpalonej głowy. Światło draźniło mu źrenice, widok przedmiotów od kolebki niemal znajomych budził w nim gryzące wspomnienia. Zagasił świecę; przed pamięcią, przed myślami, przed samym sobą ukrył się w ciemność.

Powoli dziwna niemoc spłynęła mu na członki; czuł się na jawie i w zupełnej bezwładzy zarazem. Straszne majaki występowały mu przed wyobraźnią, zmora rozszalałej krwi siadała na piersiach, łoże i dom cały kołysały się jak okręt śród burzy. Niepojęte dźwięki grały mu w uszach; wrzawa obławników, huk broni, skowyczenie psów, jęki mordowanego człowieka, zgrzytliwe pośmiechy Juljusza, i kształty jakieś fantastyczne snuły się przed nim w upiornych korowodach. Tłum chłopstwa, z zatoczonemi rękawy pluszczący się w ludzkiej krwi, twarze zaognione wściekłością i rozbojem, trup Lumpmana podarty w sposoczone kawały, zapamiętałe wiedeńskie pohulanki i zjawiająca się nagle pośród nich Nastusia, z wiankiem na głowie, z białem zastygłem obliczem, z posiniałemi rękami — szła ku niemu, poprzedzona zadusznem grobów powietrzem, topiła w nim dwa zimne ostrza osłu-

piałego wzroku — już miała wesprzeć mu na czole lodowatą dłoń, gdy znowu widmo rozwiewało się w mgliste opary i w przeciwnym kącie pokoju stawała postać starej wieśniaczki. Piastunka Krystyna zasłoniwszy pół twarzy fartuchem, rzucała mu z pod oka gniewne wejrzenia. Tymczasem podłoga się pod nim otwierała; wybuchał jasny podziemny ogień, oblewał ściany czerwonemi płomieńmi — wżerał się mu pod powieki jak gdyby tamtędy chciał przedrzeć się aż do mózgu.

Wilczek nie mógł wytrzymać dłuższej męczarni; zerwał się i równemi nogami stanął na środku pokoju.

Przetarł oczy; piekielny sen ciągle go ścigał. Ściany, w istocie, stały w płomieniach; krwawe światło strumieniami lało się przez okna.

Podbiegł i wyjrzał; nie umiał zdać sobie sprawy — oczom własnym nie mógł uwierzyć.

Na dworze igły można było zbierać. Niebiosa stały w ogniach; czerwona łuna opasywała widokrąg, do koła dym gęstemi kłęby wywijał się, unosząc w obłoki roje trzeszczących iskier; z chmurnego zamętu tu i owdzie błyskały płomienie. Dalekie krzyki, nawoływania i jęk kościelnego dzwonu, okropnie wtórowały przerażającemu obrazowi.

Drzwi otwarły się z łoskotem; wpadł wybladły służący, zatrzymał się, ledwie mógł wyjąkać słowa:

— Panie! — Gore — pożar — wszystko w ogniu! —

Wilczek nie dosłyszał ostatnich wyrazów; już był na dole, w przedsionku gdzie całe towarzystwo zerwane ze snu, wylękłe, zgiełkliwie dopytywało się o przyczyny i szczegóły klęski.

Wybieżono na dziedziniec. Łuna z dwóch stron biła na pałac; od wjazdu, płonęły stodoły, spichrze, dworskie zabudowania; od ogrodu, w oddali, gorzał jak świeca domek Nastusi.

Wszyscy hurmem sypnęli się ku płomieniom; walka z niszczącym żywiołem obudziła powszechną energję.

Wilczek objął dowództwo nad zastępem; obecność jego, donośny głos, rzadka przytomność umysłu, ład wprowadziły w pomięszaną ciżbę. Kto żył, spieszył do ognia; rozstawiono

koleje z wiadrami, łamano zajęte płomieniem dachy, osłaniano mokremi płachtami przyległe budynki. Goście, domownicy, lud wiejski, wyprzedzali się w dzielnej pomocy; wszystkie siły ratunku skupiono w jedno miejsce. Wilczek surowo zabronił zajmować się ocaleniem domku w ogrodzie, postanowił poświęcić go na pastwę płomieniom — dla nierozdzielania sił, jak mówił — a może też i dla innycch tajemnych powodów których przed nikim nie wyznał.

Śród łomu i trzasku, dymu, płomieni i rozżarzonych popiołów, ukazywała się wyniosła postać pana włości, grzmiał głos jego rozkazów, groźnie świeciły roziskrzone oczy, i gawiedź posłuszna, na oślep waliła się w niebezpieczeństwo, w morderczy żywioł, który rozbity zapędem człowieczej woli, zaczynał zwijać ogniste swoje proporce.

Szala zwycięztwa przechyliła się na stronę ludzkich usiłowań.

Nad rankiem, przyduszony płomień gdzieniegdzie tylko pełzał po zgliszczach, dym czarnemi płachty kopcił się jeszcze nad ziemią; tu i owdzie tliły głownie, ale ważniejsze budynki były ocalone. Pożar zniszczył próżną, szczęściem, stodołę i folwarczną wozownię; obory, owczarnie i spichrze uratowano.

Domek Nastusi spłonął do szczętu. Zdaleka, między zielenią, jak upior, jak trup wyniesiony z kostnicy, sterczał szary, ogryziony płomieniem dymnik, smętny mogilnik rozpustnych uciech magnata i nieszczęsnej doli wiejskiej dziewczyny. Śród dogorywającego pogorzeliska, słup ten, groźnie, rozpacznie odbijał się na niebios błękicie, rozkrywał i gruzami wypisywał tajemną historję domku, dopominał się u okolicy o pożałowanie i zemstę.

Wilczek zrozumiał ukryte znaczenie strasznego hieroglifu; wzdrygnął się, odwrócił oczy, przywołał dozorcę i rozkazał aby kilkunastu ludzi z motykami, do wieczora, śladu mu nie zostawiło z rumowisk. Wypalone miejsca miały być natychmiast pokryte świeżą darnią; ogrodnik otrzymał polecenie przesadzenia żywcem rozrosłych krzewów i drzew na grunt dotknięty pożarem.

Wilczek odetchnął na samą myśl zrównania z ziemią bo-

lesnych pamiątek; przypadek dziwnie mu wygadzał, uwalniając go od natrętnego widoku domku sieroty.

Przypadek! — Miałżeby w istocie przypadek być jedyną przyczyną klęski?

W pierwszej chwili gwałtu, gdy głównie szło o zapanowanie nad ogniem, gdy wszystkie myśli i siły wytężały się ku temu jednemu celowi, nie było czasu dopytać się ani dobadać prawdy. Skoro atoli minęło niebezpieczeństwo, uwaga pobiegła ku wnioskom; goście, domownicy i sam gospodarz, wzięli stróżów nocnych w obroty, pilnie zważając na każde ich słowo.

Stróże nie umieli dać zaspakającej odpowiedzi; jeden przysięgał że w chwili gdy obchodził wioskę, nagle ujrzał płomień na dachu wozowni; drugi klął się, że wracając od karczmy ku pałacowi, stodoła z dwóch rogów razem zapłonęła; inni równie ciemne dawali tłumaczenia; żaden nieszczęsnym trafem, nie znalazł się w stanowczej porze tuż przy zażegniętych budynkach — z samego atoli rozpołożenia pożaru wypadało, że na prosty przypadek nie podobna było składać winny, tembardziej że ogień w tymże czasie zajął gospodarskie zabudowania i znacznie odległy a oddawna niezamieszkany domek Natusi.

Złość ludzka oczywiście była jedyną sprawczynią klęski. Ale kto podpalił, z jakich powodów, gdzie kryła się nić zbrodniczego zamachu, w jakim związku znachodziło się zabójstwo Lumpmana z podłożonym ogniem? — Każdy wpadał na tysiączne domysły, nikt wątku prawdy nie dostrzegał, nie jeden nadzieję wykrycia zbrodni kładł w sądownictwie; byli i tacy którzy głęboko wierzyli że sąd z niczem odjedzie.

Z dworskich, kuchcik tylko mógł był wprowadzić na pewne poszlaki. On jeden późno wróciwszy z karczmy, w obawie pięści kucharza, spędził resztę nocy na szorowaniu rądli; on pierwszy dostrzegł płomień, wybiegł na dziedziniec, wpadł do ogrodu i ujrzał zdaleka, mknące od domku dziewczyny, w pole, na przełaj, dwie postacie, z których jedna kaducznie przypominała mu urlopnika wachmistrza.

Wystraszony, pędził napowrót do kuchni, gdy w tem, z przeciwnej strony, ogień wypełznął na strzechę wozowni.

Chłopiec pomknął ku gumnom, przyczaił się u płotu; kilka innych postaci chyłkiem zmykało ku wiosce, z tych jednak żadna nie wyglądała na urlopnika; podkasane sukmany i baranie czapki wyraźnie oznajmiały chłopów.

Spostrzeżenia te acz mgliste, niepewne, mogły były wszelako pomódz do wydobycia na jaw zagadki, ale kuchcik, nieraz przy ognisku, nasłuchał się do woli o niewygodach świadczenia przed sądem; wiedział że komisja łakoma wyznań, dobijała się o nie wszelkiemi sposoby, wtedy nawet gdy świadek przysiągłszy na bożą mękę, nic więcej nie miał do powiedzenia. Piotruś troskliwy o własną skórę, zacisnął zęby roztropnie, przysiągł sobie nie mięszać się do żadnego innego prócz do kuchennego ognia.

Tymczasem pożar dogasał, zmęczenie natomiast owładało całonocnych, dzielnych pracowników. Przyniesiono wiejskiemu ludowi wódki, polecono mu ostateczne wytłumienie zabłąkanych iskier; służba i goście, wycieńczeni na siłach, jeden za drugim dążyli na spoczynek.

Wilczek wracał ostatni; nie chciał słuchać pochlebnych uniesień z jakiemi rozwodzono się nad zadziwiającą jego odwagą, nad sposobnościami do przywodzenia ludziom w ważnych wypadkach. Sczerniały od dymu, okryty popiołem, wszedł samotnie do swego pokoju; wyzwane walką siły nagle wypowiedziały mu posłuszeństwo, rozkurczyły się wytężone nerwy — padł jak bez duszy na łóżko, legł nie snem lecz letargiem, nie spoczynkiem ale niemocą, bezwiednem przedłużeniem najawnych udręczeń.

Zmrok poczynał już gęstnieć, noc zapadała, gdy ocknąwszy się po długiej bezwładzy, gospodarz zebrał myśli, spojrzał na zegarek, przypomniał że gości miał w domu, że od rozłączenia się z nimi przy ogniu, dzień cały upłynął.

Porwał się żywo, zbiegł na dół; kilku tylko towarzyszów zastał posępnie rozmawiających z Juljuszem; reszta nie chcąc mu obecnością powiększać kłopotu, spisała na arkuszu wesoły, pożegnalny list i rozjechała się do domów. Ostatni nawet, oddawna kazali już zaprzęgać; niespokojni atoli o zdrowie przyjaciela postanowili czekać z odjazdem do jego przebudzenia.

Wilczek półgębkiem ich zatrzymywał, na jeden jeszcze nocleg zapraszał — w duszy rad był że go zostawiano samego; obowiązki gospodarza dopiekały mu w tej chwili rozpalonem żelazem.

Niebawem pusto było w pałacu; pan domu, wsparty na ramieniu Juljusza, zadowolnionem okiem ścigał ostatnią uježdżającą bryczkę.

Turkot kół tonął w oddali; Wilczek błędnemi oczyma poglądał przed siebie na wyszczerbiony pożogą szereg zabudowań — zadrżał konwulsyjnie i prędkiemi wyrazy rozkazał służbie natychmiast gotować się do wyjazdu. Po tylu zaszłych wypadkach, odrażał go dłuższy pobyt na wsi. Morderstwo Lumpmana i tuż w ślady za niem podłożony ogień, zdawały się otwierać przed nim pasmo coraz straszniejszych zamachów. Obecność jego może ściągała na rodzinną siedzibę nieszczęścia; umyślił wydrzeć się czemprędzej nieubłaganemu przekleństwu, naglił o wyjazd jak gdyby gnało go całe piekło.

Juljusz nie wchodził nawet w przyczyny gwałtownego postanowienia; sam niechętnie byłby marnował dłuższy czas na wsi; potakującym wzrokiem patrzył na rozsypkę towarzystwa, przyjmował Wilczka w swoje objęcia, uwoził go tam, gdzie zdaniem jego ważniejsze sprawy obu ich powoływały.

Przyjaciele w milczeniu wskoczyli do powozu, konie ruszyły z kopyta; Juljusz przez drogę dał folgę swoim zamiarom, rozważał, układał w myśli wypadki, stawiał w przyszłości skutki, dociekał w teraźniejszości ich sprężyn.

Nazajutrz wieczorem, zapylony powóz zatrzymywał się we Lwowie. Juljusz zmieniwszy odzież, wyszedł natychmiast na miasto; Wilczek, orzeźwiony nieco podróżą, wyzwolony z przykrych widoków, pierwszy raz uśmiechnął się do nadziei wytchnienia, do chwili spoczynku.

Znalazł w istocie spoczynek dla ciała; zmiana siedliska, ruch miejski, który od niejakiego czasu zaczynał mu być niezbędnym do życia, powróciły go wkrótce do sił.

Trudniej szło ze spokojem dla duszy.

Oprócz wspomnień dotkliwych, straszna rzeczywistość wy-

stępowała mu ciągle przed umysł. Dochodził go zdaleka szatański gwar wierzycieli — jeszcze pół roku najwięcej, jeszcze kilkadziesiąt przeklętych dni, z których każdy tak prędko upływał a z świetnego pańskiego bytu, łachman nędzny mu tylko zostawał. Wilczek byłby djabłu duszę zaprzedał i szablą później zwrot cyrografu wyrąbał, byle do Wiednia lub dalej uciec od pozwów, processów, wywłaszczeń majątku i ostatecznej zatraty.

Nie było o czem wyjechać za granicę. Juljusz obiecywał mu pomoc ale kładł swoje warunki; Wilczek mógł prędzej znieść zagubę niż upokarzające poddanie się samowładztwu Juljusza. Rady przyjmował, słuchał ich niekiedy, między radą atoli a niewolnictwem, leżała niezgłębiona otchłań pańskiej godności i dumy.

Juljusz przewalający się na złocie, uchodził tylko za bogacza; Wilczkowi równie trudno było przestać być panem jak człowiekiem.

Wbrew zwyczajom, tym razem nie otworzył domu na roścież; przykazał nie przyjmować nikogo, wymówił się chorobą i zamknął na kilka dni u siebie, spragniony samotności i chciwy swobodnej myśli, która miała dopomódz mu do wyłamania się z niepomyślnych obrotów.

Wilczek czuł się panem swego położenia tam, gdzie odwagą lub wstępnym bojem można było się przebić; ku chytrym wykręcaniom się przeciwnemu losowi nie miał żadnej zdolności, nie umiał płaszczyć się ani uginać; pojmał upadek albo zwycięstwo — z wstrętem odwracał oczy od wszelkich z nieszczęściem układów.

Takim przynajmniej trybem kroczył dotąd przez życie — czyli dalej potrafiłby zboczyć z przyrodzonego sobie kierunku? — Sama konieczność i następstwa wypadków mogły zawyrokować. Ztąd też i przyszłość nie objawiała mu żadnej nadziei ratunku; wręczne siły nie zdołały ostać się przeciw oczywistej zatracie — zguba nieochybnie musiała nastąpić.

Przeszłość natomiast, wystąpiła przed nim w jaskrawych barwach, w głębokich wrażeniach.

Pozostawała mu młodość, zapas dzielnych sił, popęd ku życiu — ku różnemu wszelako od tego jakie dotąd prowadził.

Przesyt hałaśnych ucicch ogarniał wszystkie jego władze, niesmak i czczość hucznych roskoszy dokuczliwie dawały się mu we znaki; błędne jakieś poczucia obowiązków obywatela, Polaka, majaczyły mu przed sumieniem — w samolubnem życiu, osadzonem jedynie na rozszalałych namiętnościach, bezowocnem, ba nawet zgubnem często dla drugich, nikczemne dusze mogły tylko znachodzić zadowolnienie.

Pora była wejść w samego siebie, wyszlachetnić swą istotę we własnych oczach, pokazać światu że kto umiał być pierwszym w pogoniach za szałem, ten skoro zechce, nie pozwoli wyprzedzić się na drodze zacnych usiłowań.

Czas było odrodzić się — zacząć inne życie.

Wilczek spojrzał na rozłożone przed sobą papiery, na złowrogie szeregi liczb wypisujące mu groźny wyrok Baltazarowej biesady.

Zapóźno! — Po niewczasie sny błogie marzyć, układać zbawienne zamiary!

Wszystko stracone!

Precz z płonną nadzieją, głupców pociechą — niechaj pełni się przeznaczenie! Dalejże — wchodźcie hurmem troski, zgryzoty, nieszczęścia! — Skazany czeka was z uśmiechem pogardy na ustach, z rozpienionym w dłoni kielichem! — Bierzcie go jak waszą własność, tylko czemprędzej do dzieła! — Przyzwoitemu człowiekowi zginąć wolno; targować się, nudzić — nie wypada.

Wilczek widząc się od kilku dni samotnym u siebie, wybuchnął śmiechem nad pustelnicznemi swemi napady, zamrużył oczy na przyszłość — cokolwiek los mu gotował — postanowił do ostatniej chwili drwić z jego pocisków i nieść jak zwyle, dumną i wesołą głowę przed światem.

W mieście zaczynano pilnie dopytywać się o pobudki jego odosobnienia; mnodzy przyjaciele, z każdym dniem zaciętszy szturm przypuszczali do drzwi. Wilczek sam sobą znudzony, z radością wracał do dawnych zwyczajów.

Przesilenie to łatwem było do przewidzenia dla każdego bliżej oznajomionego ze zmiennym charakterem przywódcy galicyjskiej młodziczy. Juljusz oczekiwał niezawodności przewrotu z niezawodnością nocy po dniu, nie starał się bynaj-

mniej przerywać przyjacielowi naturalnego rozwoju myśli, tem bardziej że sam potrzebował uprzątnąć wprzód niektóre zawady, usposobić grunt do przyjęcia ziarna ważnych dla obu zamiarów.

Od powrotu do Lwowa, ścigał wszędy jak cień za Dahlmanem, zakradał się mu w łaskę, skarbił pochlebstwem jego przychylność, rozpowiadał z niechcenia, przy bankierze, świetne w Wiedniu Wilczka stosunki, przyjaźń jaką zaszczycali go pierwsi dygnitarze cesarstwa i sam książę kanclerz; wziętość, znaczenie i wpływy jakie młody polski magnat potrafił zjednać w towarzystwach stolicy; przytaczał anegdoty żywe, zabawne, dowodzące poufałości Wilczka z poplecznikami tronu, blasku jaki roztaczały wrodzone jego zalety i znakomite urodzenie — rzecz dziwna na pozór! — znawstwa nawet na handlu i szczególnej przebiegłości w przemysłowo gospodarczych interesach.

Towarzystwo wtórowało mu jednozgodnie. Lwów dla samego przekonania o swojej wartości, musiał potwierdzać zdanie stolicy; Wilczek w Wiedniu był tylko gwiazdą; w Galicji, jasnem następstwem i stopniowaniem pojęć, błyszczał jak słońce.

Opłakiwano nadwerężone jego zdrowie, wzdychano za polepszeniem; każdy ubiegał się o pierwsze odwiedziny ulubieńca samego księcia kanclerza.

Dahlman, łapczywie pnący się na szczeble wykwintnego tonu, obyczajem spanoszonych, donośniej od wszystkich łączył swój głos do powszechnego chóru; sam u drzwi Wilczka złożył już był dwa wizytowe bilety, łaskawie przyjmował względy Pyladesa jego Juljusza, który, zwłaszcza od powrotu z Wiednia i od złożenia w jego kassie znacznych kwot, nabrał w bankierskich oczach niepospolitej wartości. Słowo ludzkie i bez tego miało pewne znaczenie, ale z ust człowieka rozrządzającego sutym zapasem gotówki, mogła płynąć tylko święta, niezaprzeczona prawda.

Dahlman z miłem uczuciem brał publicznie pod rękę Juljusza, rad pokazywał się z nim na przechadzkach i pozwalał otaczać wyraźną grzecznością i szacunkiem nielada. Juljusz

i jedną i drugim, opychał go bez miary. Biegle przemyślany zamiar rozwijał się z niesłychaną pomyślnością; należało przystąpić do dzieła, kuć żelazo póki gorące, ze wszystkich razem baterji rozpocząć morderczy ogień.

Wilczek mniej upornie obstawał przy swojem osamotnieniu. Juljusz upatrzył porę, powtórzył mu dopytywania o zdrowie i pochlebne słowa Dahlmana, natarł obcesem na przyjaciela i porwał go wieczorem w odwiedziny do lwowskiego pieniężnika.

Bankier nie posiadał się z uciechy, żałował w duszy że kilka tylko nieznacznych osób uczestniczyło poufałej uprzejmości z jaką Wilczek odpowiadał na jego przyjęcie; sam zapytany o córkę, oświadczył z uśmiechem że młoda gospodyni dowiedziawszy się o miłych dla całego domu odwiedzinach, z większą zapewne niż kiedykolwiek przyjemnością zejdzie na dół do herbaty.

Juljusz potrafił wtrącić nawiasem uwagę, że Wilczek wyszedł dziś z domu wbrew radom lekarza i przyjaciół, ale że niepodobna go było utrzymać, tak dalece ciężył mu na sercu święty dług odwiedzin i troskliwości bankiera.

Dahlman klepał się po kieszeniach, pobrząkiwał pieniędzmi, pękał od śmiechu — tym bowiem zwykle sposobem gdy mu brakowało na słowach, wyrażał wewnętrzne zadowolnienie.

Nieobecność panny Karoliny silnie wygadzała Wilczkowi. On, który z dumnem czołem rostrząsał dostojne tłumy towarzystw stolicy, on którego przytomność umysłu rozjaśniała się z wagą wypadku, położenia, z niebezpieczeństwem — teraz, po pamiętnej na polowaniu rozmowie z Juljuszem, wstępował w progi bankiera drżący, zmięszany, jak gdyby zakradał się z niecnemi zamiary, jak gdyby lękał się być schwytanym na gorącym uczynku. Na grzeczności Dahlmana z trudnością znajdował odpowiedzi, potakiwał Juljuszowi, słaniał się na nogach lub wpadał w niegodne swego dowcipu ogólniki. Blade jego oblicze i rozgłoszona słabość wybornie mu tym razem posłużyły do wytłumaczenia niepojętego w innych warunkach rozprzęgu myśli. Bankier z tem żywszem

spółczuciem przyjmował pożądanego gościa, zatrzymał go na cały wieczór, a nie chcąc trudzić rozmową, poprowadził do wistowego stolika.

Juljusz niewiadomo dla czego, wymówił się od kart; partja i bez niego była zupełną — prosił o pozwolenie przypatrywania się grze Dahlmana, który uchodził w mieście za gracza rzucającego się z niesłychanem szczęściem w tak zwane impassy.

W głębi duszy, inne zapewne ukrywał cele, dla których wygodniej mu było nie przykuwać się do jednego miejsca.

Niebawem, zaszemrał lekki krok niewieści; jedynaczka bankiera weszła do salonu.

Panna Karolina Dahlman nie zastanawiała wzroku na pierwsze wejrzenie; bliżej się w nią wpatrzywszy, jeszcze nie było nad czem się zastanawiać. Wysoka, szczupła, twarz miała nieposzlakowanej regularności, włosy jasne i gładkie, oczy bladobłękitne, stworzone do rozróżniania kolorów — innego wyrazu trudno było w nich upatrzeć. Że była żywą a raczej żyjącą, nie podpadało wątpieniu; przenosiła się z miejsca na miejsce, wstawała i mrużyła powieki, odpowiadała na zapytania, wydawała służbie lakoniczne rozkazy, rumieniła się nawet, gdy kto z niezwykłych gości pierwszy raz do niej przemawiał. Zdolności ku innym wzruszeniom niepodobna było w niej odgadnąć; zdawało się, że gdyby ziemia do dna się zatrzęsła, panna Karolina, jak posąg, byłaby zapadła w otchłań nie ugiąwszy nawet kolan.

Strój jej niczem nie nęcił, niczem nie raził; wiarogodne osoby naznaczyły jej kolory właściwe jasnowłosym postaciom. Dziedziczka bankiera znała tylko trzy barwy: białą, błękitną i różową; najdroższa w mieście modniarka samowładnie rozrządzała resztą szczegółów.

Wpływ ojca na gotowalnię córki zdradzały klejnoty, djamenty, które Dahlman z uczuciem niewysłowionej dumy rozwieszał na swej jedynaczce.

Panna Karolina z posłuszeństwa dla ojcowskiej woli byłaby chętnie, spokojnie wdziała na głowę chociażby chińską pagodę.

Zdanie ojca było dla niej jednym z głównych warunków

do życia; potrzebowała nieustannie czuć się na niem opartą, odwoływać się do jego wyroku we wszystkich prawie szczegółach powszedniego bytu.

Przykładne to zaufanie w rodzicielskiem doświadczeniu, wzywalało ją od kłopotów samodzielnej myśli, własnych postanowień, wstępnego działania i nadto, darzyło niezachwianym spokojem, obiecywało długą ochronę oblicza od przedwczesnych zmarszczków. Wnioskując systematycznie, panna Karolina mogła trwać równie długo jak dobre zegarki Breguet'a; wiadomo zaś że zegarkom Breguet'a regularnie nakręcanym i starannie utrzymywanym, trudno naznaczyć kresu.

Błoga ta spokojność cichej, stojącej wody, rozlana na jej licu, znalazła znawców i wielbicieli.

Nie mogło być inaczej; imię panny Karoliny stało połączone dwoma równoległemi kreskami czyli znakiem porównania z ostateczną cyfrą aktywów na bilansie bankiera. Juljusz widział w niej Galateę oczekującą na Prometeusza, podziwiał angielski rodzaj piękności, wybornie przypadający do smaku ludziom zamiłowanym w folblutach i w hunterach. Wilczek pzzez długi czas, nie pamiętał nawet jak wyglądała.

Za wkroczeniem młodej gospodyni, goście powstali; grzeczność nakazywała przerwać milczącą rozrywkę, Dahlman atoli miał koronę w ręku, zabierał się do dania wielkiego szlema, wstrzymał więc kawalerskie grających zapędy i wist potoczył się dalej.

Juljusz odsunął się od graczów, poszedł zabawiać pannę Karolinę, pomagać jej w przyrządzaniu herbaty. Przyzwawszy w pomoc co najwymuskańsze ogólniki, co najłatwiejsze do pojęcia dowcipy, co najzabawniejsze anegdoty, rozbudził, rozweselił sąsiadkę, wywołał na jej usta szczery uśmiech, dopytał się kilku złożonych odpowiedzi.

Po chwili półgłośnej rozmowy, powstał, zbliżył się do zielonego stolika; gra rosła w zaciętość, bankier dopuszczał się niesłychanych impassów; los sypał mu w dłonie kozer i figur bez liku.

Zaciągało się na długie posiedzenie.

Juljusz wtrącił uwagę że konieczne natężenie umysłu w sprawie z tak silnym przeciwnikiem jakim był Dahlman, mogło szkodliwie zaskutkować na wątłe jeszcze zdrowie przyjaciela; ofiarował się zastąpić go, przejąć grę na siebie a wyjednawszy ogólną zgodę, siadł naprzeciw bankiera, Wilczkowi zaś zaniechał zbliżenie się do gospodyni domu.

Panna Karolina pomimo obojętności swojej, poglądała przecie z pod oka na bożyszcze lwowskiego towarzystwa, a nawet pierwszych domów stolicy, jako głosiła sława.

Młody graf wydawał się jej jedną z tych uroczystych postaci, opatrzonych stęplem powszechnego podziwu, o której przymiotach nie wolno było powątpiewać pod zarzutem gminnego smaku. Ztąd też w każdem słowie, w każdem obejściu znakomitego gościa, widziała ideał wykwintnego tonu, doskonałość nad wszelki wyraz. — Rozmowa z człowiekiem podobnej wagi, myśliła nieraz w duszy, musiała być nader trudną; wyrównać mu w dowcipie, w blasku — było niepodobna; milczeć lub wyrwać się z niewczesną odpowiedzią? — Córka bankiera na samą tę myśl drżała z obawy.

Szczęściem, Wilczek siedział przy kartach, zbliżeniem się nie zagrażał; panna Karolina ochłonęła z pierwszego wrażenia, nabrała odwagi i rada z odwleczonego niebezpieczeństwa, swobodnie dała pociągnąć się rozpowiadaniom Juljusza.

Powoli, zwykły spokój wracał jej duszy; ugłaskana jedwabiem słów zręcznego towarzysza, zaczynała wzmagać się w zaufanie, częściej zwracać wzrok ku zielonemu stolikowi, żałować może nawet, że młody panicz oddawał się wyłącznie nudnej, milczącej rozrywce.

W tejże chwili, Juljusz wykonał głęboko przemyślany obrót. Ruch wszczął się przy stoliku; Wilczek powstał, popatrzył jakiś czas na grę i z niechcenia niby, zbliżył się ku gospodyni domu.

Panna Karolina spuściła oczy, imbryk zadrżał jej w ręku; byłaby chciała skryć się pod ziemię przed nierozważnie wywołanem spotkaniem. Wilczek atoli wcale nie miał na myśli lśnienia mieszczańskiej dziewczyny wyostrzoną rozmową; sam czuł się w dziwnem usposobieniu, sam potrzebował

otuchy; przystępował nieśmiało jak gdyby za obecność swą żądał przebaczenia.

Choroba jego, powszechnie wiadoma klęska pożaru, podały pannie Dahlman wygodne tło pierwszej zaczepki. Wilczek porywczo chwycił gałązkę ratunku, wdał się w szczegóły wypadku, przeszedł w łagodny opis frasunków wiejskiego życia i trosk osamotnienia; rzucił się w proste opowiadanie wymagające raczej spółczucia, niż czynnego uczestnictwa i był pewnym że znalazł takowe w utkwionych mu w obliczu oczach córki bankiera.

Prysły pierwsze lody; panna Karolina przekonała się że święci garnków nie lepią, że z ludźmi z wielkiego świata łatwiej było zrozumieć się, niż ze wszystkiemi kupieckiemi znajomościami jej ojca, które na zewnątrz handlarskich przebiegów i rubasznych targowych sprawozdań, odstręczały czczością swego nastroju.

Poufała grzeczność obejścia hrabiego, swobodnie czas pędziła przed sobą; młoda gospodyni nie postrzegła się, kiedy wybiła północ, z niemiłem zadziwieniem ujrzała towarzystwo wstające od stolika, gdzie Dahlman cały rozjaśniony weselem, zapisywał dowody biegłości swej i niesłychanego szczęścia.

Bankier dziękował Wilczkowi za odwiedziny, sam wypędzał go do domu, do łóżka, trząsł się od śmiechu i znowu dziękował i znów śmiał się na całe gardło. Wszyscy byli zadowolnieni; dwaj nawet przeciwnicy Dahlmana, niemiłosiernie ograni, uśmiechali się kwaśno, dla przeświadczenia o obojętności na niefortunne losy.

Juljusz wychodząc, szepnął bankierowi do ucha kilka słów zaprosin na obiad, nazajutrz, in gratiam powrotu przyjaciela do zdrowia; otrzymał w odpowiedzi serdeczne uścisnienie ręki i konwulsyjny wybuch śmiechu, którego hałaśny odgłos na ulicy jeszcze ścigał odchodzących.

I któż nie zgadnie że nazajutrz, bankier, w szczupłem gronie wybranych z arystokracji i z urzędnictwa lwowskiego, zasiadał na pierwszem miejscu; że ku niemu co chwila obracała się rozmowa, że zdaniom jego przysłuchiwano się z głęboką uwagą i poklaskiwano bystrości jego sądów, że wnoszono

jego zdrowie i z wdzięcznym pokłonem odpowiadano na jego toasty.

Dahlman pławił się w obłokach lubo upajających kadzideł, zwał Wilczka po imieniu, klepał Juljusza po ramionach, sam sobie nie wierzył że był zbogaconym handlarzem; wpadała mu niekiedy do głowy dziwaczna myśl, czyli nie należało mu uważać się za podrzutka, za tajemniczy zakład miłości którego z Arcyksiążąt?

Przypuszczenie to nie było bezzasadnem, raz dla pewnych pańskich zachceń, dla tętna oczywiście niepospolitej krwi jaką bankier w sobie poczuwał, następnie dla szczególnego podobieństwa w rysach, zwłaszcza zaś w nosie i w ustach, jakie każdy na pierwsze wejrzenie spostrzegał między lwowskim pieniężnikiem a rodziną lotaryngskich Habsburgów!

Po obiedzie, gdy rozeszła się większa część zaproszonych, Juljusz wspomniał o konieczności wynalezienia we Lwowie łaskawego domu, któryby nakształt pałacu księcia kanclerza lub hotelu posła angielskiego w Wiedniu, otwierał się co wieczór dla kilku poufałych przyjaciół i lubowników gry w wista.

Dahlman wyruszył z ofiarą swoich salonów; Juljusz prędzej jeszcze pospieszył z przyjęciem ofiary. Plac boju był zdobyty; ostateczne zwycięstwo nie mogło umknąć biegłemu dowódcy wyprawy.

Wilczek bezwładnie dawał się unosić wpływom powiernika; zaczynał może poznawać, że w porównaniu zagrażającego mu ciosu, lekarstwo nie było zbyt gorzkiem; wdrażał się w codzienne posiedzenia u bankiera, w rozmowy z jego córką, której potulna dobroć i niezachwiany spokój, samem przeciwieństwem nęciły istotę jego skołataną gwałtownemi wzruszeniami.

Błogi wypoczynek, pół jawu, pół drzemania, spływały mu na duszę w obecności panny Karoliny; powracał do sił, zacierał w pamięci bolesne wspomnienia, i przyszłość widział pogodniejszą i na przeszłość przestawał poglądać przez tumany rozszalałej krwi. Myśl o przekołysaniu życia podobnym trybem wcale go nie odstręczała; każda ostateczność miała swoje powaby. Kto długo w szale samym znajdował roskosz,

ten na krok stał od rozlubowania się w letargu. Czas wreszcie miał swoje prawa; młodość z natury hulaszcza, musiała kiedyś się ustatkować; dojrzałemu wiekowi nie przystawały opętane igraszki; ludzie zaś, dojrzewali jak owoce nie wedle liczby dni, ale stosownie do skwarów pod jakiemi wzrastali. Wilczek pod względem moralnym, oddychał dotąd istnem powietrzem równika; Juljusz wykładał mu i rozwijał tę przenośnię z niezwyciężoną logiką.

Rzeczywistość bliskiej a nieochybnej zaguby majątku, dzielnie popierała jego rozumowania; Wilczek poczynał marzyć o o małżeństwie, jako wędrowiec skołatany długim symumem, o cichej oazie.

Panna Karolina nie zaczepiała myśli o tak dalekie cele; jej wystarczało siły marzenia zwykle tylko do wieczora; przyszłość była dla niej zagadką, nad rozwiązaniem której nie należało daremnie suszyć głowy. Częste odwiedziny młodego magnata pochlebiały jej próżności; cieszyło ją że znakomity gość dom ojca jej wybrał i przełożył nad wszystkie; z widocznym uśmiechem zadowolnienia słuchała zazdrosnych powinszowań i uwag lwowskich dam nad nowym trybem życia hrabiego Wilczka. O istotnych powodach uprzejmości i względów panicza, długo nie miała żadnego przeczucia; małżeństwo nie snuło sie jej nawet po myśli — czekała zapewne, aż ojciec da jej znak że czas zastanowić się nad wyborem małżonka. W każdym atoli razie, córka bankiera znała dość ład społeczny i światowe zwyczaje i umiała zdać sobie sprawę z szranków jakie ją przedzielały od dziedzica pierwszego w kraju nazwiska.

Skądinąd, usilne zalecanki Wilczka, niektóre jego słowa, poufały i ujmujący zarazem sposób obejścia, zwłaszcza zaś częste a przezroczyste prześladowania, wnioski i zaczepki Juljusza, poczynały osłabiać w niej mieszczańską pokorę. Panna Karolina zamykała oczy, skłaniała głowę między dłonie, lękała się samej sobie uwierzyć, odpędzała szalone nadzieje, utwierdzała się przeciw gorzkim odczarowaniom.

A jednak dziwne rzeczy zdarzały się nieraz na świecie.

Przed niedawnemi czasy przedstawiano w niemieckim teatrze tragedję Szyllera: «Intryga i Miłość.» Tam także,

syn znakomitej rodziny poświęcił dla uczucia blask świetnego nazwiska, zakochał się na zabój w miejskiej dziewczynie i byłby z nią żył szczęśliwy, gdyby nieubłagany ojciec nie był mu w poprzek zajechał i zniszczył los dwojga zajmujących istot.

Wilczek sam jeden był na ziemi; nikt nie miał prawa sprzeciwiać się jego woli, mógł dowolnie sobą rozrządzać i co więcej, powagą stanowiska zmuszał wszystkich do chylenia czoła przed każdem, choćby najdziwaczniejszem postanowieniem.

Cóż wreszcie znaczyły głaszczące jego poglądy, bladość rozlana na licu, tęsknota w oczach, tłumione westchnienia, tysiące grzecznych starań — co znaczyła nagła przemiana życia, rozbrat z hucznemi uciechy — co wyrażały myśli, upodobania i chęci zwrócone na wręcz przeciwną drogę, niezawodność codziennych odwiedzin? —

Postępowanie to miało bez zawodu ważne swoje przyczyny, nie podobne do wynalezienia gdzieindziej tylko w krainie głębokich uczuć.

Podobnej treści zagadka krążyła w tej chwili po umyśle Dahlmana; bankier atoli z większą pewnością przystępował do wywikłania prawdziwych wniosków.

Wilczek niewątpliwie zalecał się mu do córki, naprzód jako do dziewczyny rzadkiego rozumu, niezaprzeczonych zalet i z powierzchowności — wcale niczego. Karolcia przypominała matkę, ś. p. Dorotę z Sandwirblów Dahlmanowę, córkę zamożnego garbarza z Ołomuńca. Z ojcem dziewczę miało wiele podobieństwa w oczach i przymiotach duszy, jako to w dowcipie, w gospodarności i w znawstwie na interesach.

Bankier więc, jak powiadam, odgadywał prawdę ale postanowienia swego naprzód nie układał; przyzwyczajony do działania wspartego na faktach, nigdy zaś na przypuszczeniach, czekał na wystąpienie z odezwą ze strony interesowanych. Tymczasem szeroko korzystał z wygód jakie mu przynosiły zalecanki magnata do córki, przyjmował grzeczności, pozwalał sobie pochlebiać, łaskawie dawał się zapraszać, coraz donośniej i poufalej głos zabierał, chłonął w siebie lube kadziło i roskosznie kołysał pawią próżność dorobkowicza.

Życie to przypadało mu do smaku; rad byłby wyciągnąć je w nieskończoność, tembardziej że drogie onegoż słodycze spływały nań bez żadnych kosztów, wydatków, brzęczących powetowań.

Wprawdzie, Dahlman nieraz spostrzegał że usiłowano go wybadać, że wyciągano go na słowa, że żądano aby w zamian za wyświadczone względy raczył odkryć dno swojej myśli — ale usilne nawet nakręty Juljusza nie trafiały do celu; bankier udawał że niczego się nie dorozumiewa, że wcale nieciekawy wyjaśnienia rzucanych mu dwuznacznych słów. Znaglony czasem podstępnym obrotem o wyraźną odpowiedź, uciekał do zwykłego wybiegu, wybuchał grzmiącym śmiechem, skręcał z niechcenia rzecz na całkiem odmienne szlaki, nie bacząc na niecierpliwość, jaką wzniecały do koła uporne jego fortele.

Dziecinna ta gonitwa, płocha gra w chowanego, oczywiście, długo trwać nie mogły; prawda, prędzej czy później musiała na jaw wypełznąć.

Dahlman, dla wszelkiego bezpieczeństwa zarządził tajemne śledztwo nad majątkiem zalotnika.

Włosy powstały mu na głowie, dreszcz zgrozy przebiegł po kościach.

Wilczek siedział w długach po uszy — ba nawet i nie po uszy! — Z głową w nich tonął.

Gdyby bankier był słuchał pierwszego głosu serca, pierwszego krzyku rozumu — jednym zamachem byłby wypędził z domu świętokradcę, który odłużoną swoją osobą poważał się bezcześcić dom jego, świątynię kredytu i niezachwianych aktywów.

I z takim to wyrzutkiem społeczeństwa, bankier poufalił się, za pan brat przestawał, brał go publicznie pod rękę, zapraszał na obiady i sadowił na pierwszem miejscu! — Gorzka ironja — wstyd nieopisany, gdyby się dowiedziano na giełdzie! — Miałżeby ostatni kramarz silniej czuć własną godność, aniżeli Dahlman i Spółka —?

Nie darmo atoli moraliści prawią o zgubnym wpływie namiętności, porównywając je do rozhukanych wiatrów, pędzących na rafy wątłą łódkę żywota. Porównanie to każdy z nas

lubił w dwunastym roku życia. — Co do mnie, przypominam sobie straszne wrażenie jakie sprawiały na mojej wyobraźni fale te, łódź, wicher i burza; zdało się mi że natchnienie człowiecze nic szczytniejszego wynaleźć nie zdoła. W szesnastym roku, komuż ta sama burza nie przenosiła się do serca, nie wyła w piersiach, nie czuchrała włosów, nie targała uczuciem, kogoż nie zwieszała nad przepaścią zwątpienia, nie wyrzucała na brzegi dzikiej tęsknoty? —

Później — i te nawałnice zwietrzały, a dziś — dziś, mówię po prostu że Dahlman pogardził głosem handlarskich pryncypjów, że dał uwieść się syrenie mody i nakłonił ucha zdradliwym próżności poszeptom — że oszołomiony kołowacizną magnaterji, niewdzięcznie wyparł się świętych cyfer kupieckiego sumienia.

Nie uległ wprawdzie bez oporu; walczył sam z sobą, cierpiał, gryzł się wewnętrznie — z jednej strony wleczon przez rozsądek i doświadczenie, z drugiej targany przez nieprzezwyciężoną słabość.

Bankier cierpiał, powtarzam, cierpiał atoli po gladjatorsku, z uśmiechem na twarzy.

Myśl, że człowiek ogołocony z kredytu zalecał się do Karolci, krew mu pędziła do mózgu; obliczem pomimo to nie zdradzał najmniejszego wzruszenia — z pozoru niepodobna było odgadnąć jakie niepokoje kołatały mu duszę.

Innym razem, gdy sam przed sobą chciał się usprawiedliwić, wpadał na odmienny tor uwag.

Nieszczęsny ten wywłaszczeniec w niedalekiej przyszłości, nadużywał jego łaski — łaski moralnej, ma się rozumieć, o pożyczce bowiem dotąd ust nie otworzył; ależ ostatecznie co zacz był ten człowiek? — Hrabia Wilczek! — Świetne nazwisko, znakomity ród, przyjaciel, jak wieść głosiła, samego księcia kanclerza — poufały znajomy wielkich dygnitarzy cesarskiego dworu, człowiek wysoko ceniony w pierwszych towarzystwach stolicy, pan z krwi i z obejścia, magnat, przed którym miejscowe władze z pośpiechem uchylały kapelusza.

Dahlman na samo wspomnienie tylu potęg, kłaniał się, choć nikogo przed nim nie było; podwajał ku Wilczkowi uprzejmości, jak gdyby pragnął przebłagać go za wymarzone

jakieś uchybienia, serdeczniej jeszcze śmiał się na widok dostojnego przyjaciela; usiłował w mówić w siebie że obrzydłe mu passywa hrabiego były bezzasadną miejską plotką, której człowiek z jego doświadczeniem nie powinien był dać się uwodzić.

Usposobienia córki, skłonność jej lub obojętność ku zalotnikowi, mało go obchodziły; bankier był przekonanym że posłuszne dziecko wykona ojcowskie rozkazy, w wykonaniu tychże rozkazów znajdzie jedyne szczęście.

Tymczasem opędzał się zaczepkom i czekał — czego? — Może szczęśliwej chwili, natchnienia, zbawczej myśli, któraby zabezpieczyła mu zewsząd korzyści i zewsząd zasłoniła go przeciw stratom.

Ha, gdyby Wilczek mógł jakim cudem przekonać go o bajeczności grzechów swej hypoteki, gdyby mógł wygrać wielki los na loterji! — Nieoceniony chłopiec! — Słał mu u nóg całe towarzystwo, dom w modę wprowadził; od niejakiego czasu tłoczono się do jego salonów; wiele ważnych osób zawadzało na dole o kantor, gdzie bankier wciągał je w zyskowne dla siebie przedsięwzięcia — jak go było nie kochać, jak za nim nie przepadać! —

— «Onegdaj, mówił mi zięć mój, hrabia Wilczek. —» «Spotkamy się dziś na obiedzie u córki mojej hrabiny. —» «Książe kanclerz obiecał do chrztu trzymać wnuczka mego młodego hrabiego.» — «Jakże się ma córka pańska, hrabina, i hrabia zięć, i młoda hrabianka? —»

Dahlman od zmysłów odchodził na pieszczące dźwięki podobnych frazesów i zapytań, przewracał się w krześle, głowę na poręcz przechylał, dzwonił pieniędzmi w obu kieszeniach — ale czemże był sam nawet brzęk talarów w porównaniu z boską harmonją słów, jakie obłęd próżności szeptał mu do ucha? —

Trzeci miesiąc upływał od pierwszego po powrocie spotkania Wilczka z Dahlmanem; stanowisko zalotnika coraz się wyjaśniało, z każdym dniem stawało wyraźniejszem, choć żaden przedwstępny, zaczepny krok nie miał dotąd miejsca.

W mieście zaczynano, z początku półgębkiem, wreszcie na całe gardło, gwarzyć o zamiarach Wilczka; jedni zaręczali

drudzy nie wierzyli, tamci płonęli oburzeniem, ostatni, praktyczni, niczemu się nie dziwili; wszyscy jednak od rana do nocy nie umieli nic innego rzucić na pastwę żarnom języka.

Juljusz niecierpliwił się dochodzącemi go zewsząd pogłoskami, przeklinał zwłokę, nalegał na przyjaciela o uderzenie stanowczego ciosu, nie dawał mu wytchnienia. Wilczek sam pragnął wyrwać się z niepewności; oddawna wziął był położenie swoje na rozum i utwierdził w duszy zamiar zdobycia ręki panny Karoliny. Wracając do domu z codziennych odwiedzin, często przysięgał sobie że nazajutrz, otwarcie rozmówi się z bankierem; dzień nadchodził, biła godzina zwykłego spotkania — Wilczek nie czuł w piersiach dostatecznej odwagi, zżymał się, witał upragnionego teścia odrębnemi od rzeczy słowy i żegnał nic nie zdziaławszy.

Podobne wahania i niepojęty brak śmiałości, zagrażały nieskończoną przewłoką, a może nawet i zupełnem zniweczeniem zamiaru.

Juljusz poznał że przyjaciel sam nic nie postanowi, że trzeba przygotować mu drogę, za rękę niemal zaprowadzić go do ołtarza; radził mu więc aby użył poważnego jakiego pośrednictwa, aby udał się do tego z krewnych, któremu swadźba należała z prawa.

Wilczek nie miał na podorędziu bliskich powinowatych; jedynym do którego najwłaściwiej wypadało się odezwać był Sokolnik; magnat atoli od dwóch lat bawił w Wiedniu i dla żadnych powodów nie byłby chciał zjechać do ojczyzny, mniej mu przyjemnej od cesarskiego miasta.

Nieobecność jego wszelako, nie przeszkadzała pośrednictwu; oba przyjaciele wystowali do dygnitarza list w którym Juljusz starał się jak najzręczniej pogodzić obowiązki urodzenia z koniecznością wydarcia się nieuchronnej zatracie. Pismo, od początku do końca pieniło się szumowiną pańskich frazesów o własnej godności, o niezatartem uczuciu dostojeństwa rodu, o nieocenionym zaszczycie pokrewnych związków; dalej, napomykało z niechcenia korzyści, jakie wypłynęły by dla świata i dla zainteresowanych, gdyby za pośrednictwem możnych stosunków, udało się wyrobić Dahlmanowi tytuł barona. O głównym powodzie hymenu, list wspominał ubo-

cznie, Sokolnik jednak był człek domyślny; łatwo mógł sam odgadnąć gdzie leżał węzeł sprawy i jak go należało rozplątać. Wiadome były powszechnie dostatki Dahlmana, dostatki których niepodobna było lepiej użyć, wyszlachetnić, jak na podźwignięcie z upadku i odświeżenie znakomitego w herbarzu nazwiska. Tym tylko sposobem bankier mógł uzyskać przebaczenie dla swoich bogactw i pobłażania dla osoby.

Odarte z przywilejów i z uroku możnowładztwo, zepchnięte z dawnej powagi na lokajskie ławy cesarskich i książęcych przedpokojów, musiało pod zagrożeniem śmiercią, podeprzeć się na głównej podstawie nowoczesnej potęgi — na pieniądzach. Zamożna kasta mieszczan, po workach srebra i złota wdzierała się do nieprzystępnej dotąd warowni rycerskiego gniazda. Oblegający głodem zwykle brali załogę.

Sokolnik był jednym z tych ludzi którzy jak widzieliśmy, nie tracą darmo czasu na płonne targi i sprzeczki z koniecznością. Gdzie trzeba było uledz, zamykał oczy, ulegał; z dwojga złego mniejsze umiał wybierać.

Postanowienie Wilczka wydało się mu lekarstwem na biedę, gorzkiem ale stanowczem; próżno było gdzieindziej szukać ratunku — przeciwnie — należało wszelkiemi sposoby upożytecznić jedyny środek zbawienia jaki los przedstawiał zaszarganemu paniczowi.

Sokolnik podumał w czem z swojej strony mógłby zachęcić bankiera do zawieszenia córki na jednej z gałęzi genealogicznego drzewa rodziny Wilczków, podumał, zastanowił się, klasnął w dłonie rad z wypadku swoich rozmyślań, i w kilka dni potem Dahlman odbierał list następującej treści:

«Szanowny Panie!

«Dawne i ścisłe między nami stosunki przyjaźni, któremi chętnie wszędy się zaszczycam, ośmielają mię do otwartego odezwania się w sprawie ze wszech miar blisko mię dotyczącej.

«Znając łaskawą pańską dla domu mego przychylność i świadom upodobania, jakie Pan znajdujesz we wręcznem przystępowaniu do rzeczy, pozwolę sobię krótkiemi słowy objaśnić cel niniejszego pisma.

«Spowinowacony ze mną hrabia Władysław Wilczek, zawiadomił mię przed kilkoma dniami o zamiarze swoim zawarcia związków małżeńskich, naprzód dla ustalenia własnego szczęścia, następnie dla przeszkodzenia wygaśnięciu znakomitej rodziny, której krewny mój ostatnim jest potomkiem.

«Wiek mój i związki krwi, sprawiły że hrabia Wilczek uznał za rzecz stosowną zapytać mię o radę i zażądać mego pośrednictwa, w razie gdybym pochwalał jego zamiary.

«Radzić młodzieży, Szanowny Panie, trudno tam, gdzie jak widzę, przemówiło już głębokie, niezwalczone, dozgonne uczucie; pośredniczyć natomiast łatwo, gdzie głos serca zgadza się tak dalece z wnioskami rozumu.

«Z radością przyjąłem na siebie ten ostatni obowiązek, przekonany że stara nasza przyjaźń dostatecznie mię upoważnia do odezwania się o rękę panny Dahlman dla mego krewnego.

«Postanowienie o losie jedynego dziecka, nader ważną jest rzeczą, zwłaszcza dla równie czułego ojca jakim Pan jesteś. Wiem ile w podobnym razie względów należy mieć na uwadze; sam przeszedłem przez te frasunki i siła zużyłem rozwagi zanim skutek pomyślny, przewyższający wszelkie nadzieje uwieńczył moje zachody. Nie ośmielałbym się przeto brać udziału w sprawie tak dalece stanowczej dla ojca i dla córki, gdybym był mniej przeświadczonym o rzadkich zaletach hrabiego Wilczka, o rękojmiach jakie charakter jego przedstawia dla warunków szczęścia panny Dahlman.

«Z mojej strony, skoligacenie z Panem, który dzięki pracy i niepospolitym zdolnościom, potrafiłeś zdobyć w kraju tak świetne stanowisko, otoczyć się powszechną czcią i szacunkiem — skoligacenie to, powtarzam, będę uważał za szczególny zaszczyt i jedną z drogich pociech schyłku dni mego życia. Gdybym nawet mógł stracić pamięć osobistych z Panem stosunków, wystarczyłoby mi wspomnieć na chlubne a częste wzmianki, jakich Pan jesteś przedmiotem w pierwszych towarzystwach stolicy.

«Przed niedawnemi czasy, książę kanclerz, który raczy niekiedy obracać ku mnie łaskawe słowo, troskliwy o dobro

poddanych JCMości, nie mógł odchwalić się przysług jakie zabiegłość Pana wyświadcza krajowemu przemysłowi i władzy.

«Podobnym zasługom, rząd, oprócz wdzięczności, winien nagrodę i bez wątpienia nie mylę się skoro Panu powiem, że przy zręcznem użyciu wpływów moich i gorliwych starań, księga cesarskiej szlachty wzbogaciłaby się w pańskiej osobie jednem więcej nazwiskiem, zwłaszcza też w razie gdyby książę kanclerzz dowiedział się o zamiarze połączenia panny Dahlman z ostatnim dziedzicem dobrze mu znanej rodziny. Przeczucia moje w tym względzie, opierają się na tylu niezbitych dowodach, że czekam tylko na pańską odpowiedź, aby natychmiast przedsięwziąć właściwe kroki i w krótszym niżeli Pan spodziewasz się, czasie, wyprawić z Wiednia słusznie należny mu dyplom barona.

«Racz Pan rozrządzać mną według upodobania i chciej przyjąć wyraz szczerego szacunku, z jakim zostaję życzliwym przyjacielem i sługą.»

Bankier odczytał raz i drugi, zamknął się w swoim gabinęcie, nie kazał wpuszczać nikogo.

Nadchodziła stanowcza chwila; niepodobną było dłużej zwlekać; należało dać wyraźną, ostateczną odpowiedź.

Dyplom barona! — Co rzeknie lwowskie mieszczaństwo — jak przyjmą wiadomość giełdowi wspólnicy w Krakowie, w Brodach, w Wiedniu, w głównych niemieckich miastach? — Nędzne mieszczaństwo, skazane na dozgonne czapkowanie za kantorem przed lada utytułowanym. Dopieroż to będzie powinszowań, pokłonów — a ile skrytych zazdrości, ile obłudnych uścisków! —

Ha, Bóg z nimi — niechaj się zżyma poziome kramarstwo! — W czemże gniewy przekupniów zdołają ubliżyć godności barona? — Każdy z równym sobie przestaje; szemrania przedpokojowej ciżby rozbiją się o próg salonu.

Tytuł barona! — Akt urzędowy opatrzony własnoręcznym podpisem cesarza? — Sokolnik przysięga że go wyjedna, przysięga ale zarazem kładzie warunek wydania Karolci za swego krewnego.

Wczoraj jeszcze doniesiono nowe szczegóły o rozpacznem

jego położeniu. Pokazuje się że wszystko co do grosza zmarnował, przehulał — któż potrafi zaręczyć, że taki sam los nie czeka mozolnie zebranych dostatków przyszłej hrabiny? Pan młody przyzwyczajony do szalonego, hucznego życia, poradziłby kopalniom Potozu. Co wtedy po tytule; co po zaszczytach; gdzie godność, której nędza nie obedrze z blasku i nie rzuci na pośmiewisko?

Dalejże — trochę zimnej krwi, rozumu, postanowienia! — Tytuł, czcze słowo, dym, mara, w porównaniu z rzeczywistością gotówki!

Dahlman namarszczył czoło, westchnął głęboko, zabierał się do odprawy długo kołysanych, lubych sercu marzeń. Jeszcze raz się zastanowił, znowu ugrzązł w dumaniach; z trudnością przychodziło mu oswoić się z myślą bankructwa na tyloletnich, drogich nadziejach.

Na czemże ostatecznie zahaczała się sprawa? — Na kilku workach pieniędzy? —

Do stu szatanów — Dahlman miał ich podostatkiem! — Pora mu było zakosztować owoców pracy, pozwolić sobie kupna takich nabytków, które najzupełniej zadowalniały jego zachcenia.

Jakaż wreszcie zagrażała mu strata? — Majątek w każdym razie musiał dostać się córce, zabezpieczenie zaś onego przeciw marnotrawstwu zięcia, zależało od czujności i stosownych środków przedsięwziętych przez ojca. Śmiało więc, naprzód! — Karolcia będzie hrabiną, bankier baronem — spełnione nadzieje! — Czas otrząść się z poziomych rodzinnych stosunków, z niesmacznych wspomnień początkowego rzemiosła; czas zająć miejsce między ludźmi, do których towarzystwa bankier w głębi duszy czuł się stworzonym.

Wilczek otrzyma pomyślną odpowiedź.

Wyrok nieodmiennie wydany. Z wykonaniem atoli, nie ma czego się spieszyć; wypada wprzód pilnie rzecz obmyśleć i zagrać na pewne.

Obietnice, zobowiązania pańskie, nie warte trzykroć zaprostestowanego wekslu. Oddawna już łudzono Dahlmana wyzyskaniem dyplomu, ile razy zwłaszcza potrzebowano jego pomocy. Przyrzeczenia spełzały na niczem; zapominano o

nich wraz z zaspokojeniem żądań. Dziś, w równie ważnej sprawie, byłoby nieprzebaczonem głupstwem wystawiać się na podobne zawody. Należy unikać z Wilczkiem wszelkich uczepek o małżeństwie, wyprawić czemprędzej odpowiedź do Sokolnika i czekać wypełnienia uroczystych obietnic. Jeżeli magnat pokaże się rzetelnym, jeżeli dotrzyma jedynego a koniecznego warunku, bankier święcie stawi się na słowie; ślepa uległość zobowiązaniom, to jego zwyczaj, to druga w nim natura. Dość przejść się po giełdzie, po ostatnich we Lwowie kramach, aby uznać wartość słowa wyrzeczonego przez naczelnika pierwszego na cały kraj handlowego domu.

Dahlman siedział już nad papierem i wykręcał odpowiedź w ten sposób:

«Jaśnie Wielmożny Hrabio!

«List JW. Pana datowany 12. grudnia, doszedł mię 17. tegoż miesiąca, o czem zawiadamiając, mam zaszczyt, co do samejże treści pisma; wyrazić się jako następuje:

«Zamiary hrabiego Wilczka względem mojej córki, jak również pośrednictwo w tej mierze JW. Pana, są dla mnie nader pochlebnemi. Gdyby ostateczna odpowiedź odemnie zależała, sprawa w tej chwili byłaby już skończoną; na wagę złota cenię uczucia, jakie wzbudza we mnie myśl zabezpieczenia tym trybem losu mego dziecięcia. Wiadomo jednak JW. Panu że w podobnych zdarzeniach, ojciec bywa tylko doradcą; główny kierunek przedsięwzięcia należy do córki. Nie traktowałem z nią jeszcze w tym względzie, niepodobna mi zatem zdania jej w rubrykę niewątpliwości zaciągnąć, według prawdopodobnych wszelako domysłów z pewnością prawie mogę zaręczyć, że wola moja zgodną się pokaże z własnem jej postanowieniem.

«Z mojej strony, ośmieliłbym się położyć jeden tylko warunek który JW. Pan, sam czuły i przywiązany ojciec, pojmiesz ze wszech przyczyn.

«W razie, gdyby zaszczytny dla mnie związek przyszedł do skutku, wyznać winienem, że z trwogą myślę o następstwach jakie dla spokoju mojej córki mogłby wyniknąć ze znanej

porywczości charakteru hrabiego Wilczka. Lekkomyślny ten szafunek kapitałem życia, dobrowolne narażanie się na niebezpieczeństwo, z bronią w ręku, oprócz ciągłych trosk, mogłyby ją nadto wystawić na wczesne owdowienie, na ciężką chorobę, na śmierć nawet, biorąc w uwagę tkliwe serce, jakie córka moja odebrała z rąk łaskawej natury.

«Powaga pokrewnych stosunków, wiek i wpływ mądrych rad JW. Pana, potrafiłyby zapewne skłonić hrabiego Wilczka do wyrzeczenia się nieszczęsnych upodobań, do piśmiennych nawet w tej mierze zobowiązań, których dotrzymanie nie byłoby mu trudnem, dziś, gdy po urzeczywistnieniu zamiarów wypadnie mu przestać do samego siebie tylko należeć; gdy nadto wedle ostatnich moich spostrzeżeń i sam hrabia Wilczek, zdaje się poczuwać wstręt ku usterkom pierwszej młodości.

«Racz JW. Pan osądzić do jakiego stopnia obawy moje dają się wesprzeć na oczywistych dowodach i jakie środki zdołają najdzielniej posłużyć ku uspokojeniu takowych. Z tego co rzekłem, przekonywasz się JW. Pan że warunkom moim nie trudno będzie zadość uczynić.

«Co do otwartego przyjęcia oświadczyn i czynnego przystąpienia do przedślubnych przygotowań, jeżelim dobrze zrozumiał treść listu JW. Pana, wnoszę że należałoby może wstrzymać się zupełnie aż do przysłania mi wiadomego dyplomu, za który zawczasu, chciej JW. Pan przyjąć najżywszą moją wdzięczność.

«Pośpieszam więc, w tym razie jako i we wszystkich, stosować się do światłych sądów JW. Pana, i z niecierpliwością oczekując odpowiedzi, mam zaszczyt zostawać uniżonym Jego sługą.

Gottlieb Dahlman et Comp.»

Bankier wyprawił list i wierny swoim postanowieniom, założył ręce, pilniej jeszcze niż dotąd wystrzegał się spotkań sam na sam z Juljuszem lub z Wilczkiem, czekał na odpowiedź, na znak według którego miał zaprzecznie lub twierdząco się odezwać.

Sokolnik tymczasem, otrzymawszy odpowiedź Dahlmana

doskonale zrozumiał wagę ostatniego paragrafu, udzielił jej Wilczkowi; sam zaś wziął się do dzieła, tem gorliwiej, iż znając z bliska bankiera, pewnym był że tenże nie zatarguje kota w worku, że w żadnym razie nie zechce wymienić posażnej córki za samą obietnicę dyplomu.

Juljusz wpadł na podobneż wnioski, odgadł myśl Dahlmana i uznał konieczność wstrzymania zaczepnych kroków aż do nadejścia pożądanego pargaminu.

Uzyskanie dyplomu nie było zbyt trudnem przy massie wpływów i stosunków, jakiemi zaszczycali się w stolicy Sokolnik i przyszły zięć Gotlieba Dahlmana.

Uderzono na raz we wszystkie sprężyny, zakołatano do wszystkich salonów, nie przepuszczono nawet przedpokojom. Wilczek w gorących wyrazach odezwał się do przyjaciół obojej płci, zaczerpnął nadto pełną ręką w kieszeni Juljusza i posłał Sokolnikowi znaczną summę dla przyspieszenia sprawy podarkami, zaprosinami, właściwie umieszczoną brzęczącą gotówką.

Magnat rozmnożył się w dziesięcioro; od rana do nocy uginał krzyża, kurczył się we dwoje, wydzwaniał na wszystkie tony piosenkę o zasługach bankiera, o przywiązaniu jego do rządu, do księcia kanclerza, do cesarskiej rodziny. Sokolnik dał w tym razie dowody niepośledniej uczynności, pokazał że umie czuć obowiązki pokrewnych węzłów, że dla szczęścia bliskich swemu sercu, umie się poświęcać.

Świątynia tytułu otwarła wreszcie podwoje dla nowego lewity; nazwisko Dahlmana zaległo w złotej księdze austrjackich przywilejowców. Gubernator miasta Lwowa otrzymał rozkaz uroczystego wręczenia bankierowi upragnionego dyplomu. Stugębna wieść atoli, dniem wprzódy roztrąbiła zaszczyt, jakim w nieprzebranem miłosierdziu cesarz Jegomość raczył ozdabiać Galicję; okoliczne miasta zastrzęsły się z wzruszenia i podziwu; na giełdzie lwowskiej przez cały dzień odłożono na bok swarliwe szachrajstwa, udzielano sobie nawzajem pogłoski, wznoszono ręce do nieba, zdumiewano się nad szczęściem człowieka, który od początku zawodu, we wszelkich przedsięwzięciach fortunne tylko losy spotykał.

Jeden z magnatów apostolskiej korony, znajomy później

w krwawych dziejach austrjackiego wstecznictwa, książę Windischgraetz, zwykł był często powtarzać, że u niego człowiek zaczynał się dopiero z baronem. Dykteryjka ta, wówczas już powszechnie wiadoma, głęboko niegdyś oburzała Dahlmana; później atoli po wręczeniu mu dyplomu, bankier jął wpadać na myśl, że czeski magnat nie zupełnie się mylił, że w istocie, człowiek wtedy tylko czuł się w pełni własnej godności, gdy z każdym członkiem ludzkiego społeczeństwa jak z równym sobie mógł przestawać. O równości tej w stanie mieszczańskim marzyć było niepodobna; w możnowładzkich tylko szeregach, człowiek nie miał upokorzenia za każdym krokiem przed wyższymi się uniżać, co więcej, sam nabierał prawa z góry poglądania na zdawkową gawiedź.

Bankier ofuknął jednego z podwładnych rachmistrzów, który w temże oka mgnieniu, gdy świeżo ubaronowany patron, wracał z dyplomem od gubernatora, poważył się przedstawiać mu do zatwierdzenia żydowski jakiś rachunek; świeży dygnitarz zgromił i wystraszył kupczyka, choćby dlatego jedynie aby dać mu poznać, z kim odtąd w jego osobie hołota miała do czynienia.

Zaledwie przemyślnik znalazł się w swoim gabinecie, aliści rój pieszych zaczernił przed jego drzwiami; powozy zajeżdżały jeden za drugim, wychłaniając przybyszów z powinszowaniami, z nadzieją pierwszego powitania nowego dostojnika.

Na czele uradowanej lub udającej radość czeredy, wtargnął Wilczek.

Drzwi przed nim tylko się otwarły; reszta ciżby musiała poprzestać na udowodnieniu swej czołobitności, złożeniem u odźwiernego nazwisk. Baron obiecywał sobie zawdzięczyć znajomym zaprosinami na walną uroczystość, tymczasem jednak pragnął sam na sam pozostać z moralnym wierzycielem swego dyplomu i jako człek rzetelny, naprzód wypłacić się, dotrzymać święcie zobowiązań, następnie dopiero z czystem bilansem sumienia oddać się radości i zabawie.

Wilczek w krótkich wyrazach wynurzył baronowi powinszowanie, uścisnął mu rękę, ale oznaki te nie wystarczały rozfalonej duszy bankiera; tłumione uczucie szczęścia dopominało

się wywnętrzenia. Baron padł w objęcia grafa, pocałował go z dubeltówki w oba policzki, przytulił do serca z dawną mieszczańską siłą, aż żebra w nim zatrzeszczały.

Wilczek oczy na wierzch wysadził, chciał już protestować, baron atoli sam zdziwiony niezwykłym napadem krzepkości, opuścił ramiona i rzucił się w krzesło, wskazując drugie podobneż gościowi.

— Jesteśmy sami — rzekł z iskrzącym uśmiechem; kazałem nikogo nie wpuszczać. Możemy z sobą pomówić otwarcie; wszak wiesz panie Władysławie, że znalazłeś we mnie szczerego przyjaciela — że nie ma rzeczy w świecie której bym ci odmówił, że nawzajem — liczę na twoją przyjaźń.

Bankier uciął głos, nie wiedział jak zacząć; Wilczek obcesem zagabnięty, szukał po głowie stosownej uczepki i wyraźnie zmęczony, jąkał zaręczenia o wzajemności uczuć, o głębokim szacunku, o gotowości swoich służb.

— Nie wątpię, odparł Dahlman, nie wątpię; u ludzi przyzwoicie urodzonych co na sercu to na języku. Dam wreszcie dowód zaufania jakie pokładam w wartości naszych stosunków, odwołując się do sądu kochanego pana w sprawie żywotnie mię obchodzącej; uprzedzam tylko że zdanie to będzie wyrokiem, który poprzysięgam spełnić co do joty; radzę więc sędziemu wziąść rzecz na pilną uwagę.

— Jestem gotów, rzekł Wilczek, ośmielony rubaszną dobrodusznością i grzmiącym śmiechem bankiera — w wydaniu wyroku, jakikolwiek on będzie, posłucham tylko głosu sumienia.

— Tem lepiej; powtarzam dane słowo. Jestem przekonany że na dobre mi wyjdzie nieograniczone moje zaufanie. Idzie o rzecz ważną; nie taję. Jak sam widzisz, panie Władysławie, z każdym dniem przybywa mi na głowie siwizny; zaczynam poczuwać ciężar wieku. Od dziecka prawie wprzągłem się do pracy, nie szczędziłem trudów ani zachodów; los uczciwie wynagrodził moje usiłowania, aleź i losu nadużywać nie należy. W naszym stanie, czyli raczej w kupieckim, noga łatwo może się pośliznąć; czas przytem wypocząć, zakosztować owoców tyloletnich kłopotów. Jak sądzisz — gdybym zlikwidował rachunki i zamknął dom handlo-

wy? — Pytam otwarcie — co myślisz o podobnym zamiarze?

— Wilczek osłupiał na chwilę; nie tego spodziewał się pytania. Bankier pochylony, z rękami wspartemi na kolanach, patrzył mu w oczy, jak gdyby chciał w nie wskoczyć, i czekał na odpowiedź.

— Wypocząć? — Zapewne; na wypoczynek nigdy nie zawcześnie; człowiek raz tylko żyje na ziemi. Wyznać wreszcie muszę że sprawa to czysto handlowa; nie mam w tych rzeczach doświadczenia; w istocie, sam nie wiem co odpowiedzieć.

— Cha, cha, cha — darmo! — Obiecałeś, musisz dotrzymać słowa. Zamknąć dom lub prowadzić dalej? — Radzę się twego przeczucia, a może nawet i własnego interesu, podobno bowiem — jeżeli — się nie mylę — wypadnie mi złożyć rachunki przed tobą — jakbym je złożył przed synem — gdybym miał syn rodzonego w twoim wieku.

— Panie Dahlman! — Tyle dobroci! — uprzedzasz pan moje życzenia. Po tem co usłyszałem, wolno mi będzie zapewne odezwać się, wynurzyć najgorętsze życzenia i nadzieje mojego serca?

— Jak nie ma być wolno, kochany Władziu? — Przebacz że cię tak poufale nazywam; czyliż nie jesteś we własnym domu? Mam i ja wzrok nie od parady; widzę co dzieje się pod moim dachem; oddawna uważam że nie sama przyjemność mojego towarzystwa zwabia cię w nasze progi. Rzecz zwyczajna! Chowam na wydanie dobrą i nie szpetną dziewczynę; zgodzisz się że na świecie, wiele gorszych od mojej córki?

— Panna Karolina jest aniołem dobroci; szczęśliwe życie, któremu przyjdą w pomoc znakomite jej zalety, i gdybyś pan udzielił mi prawa do powzięcia podobnych marzeń, gdybym był pewny, że potrafię uzyskać łaskawe przywolenie szanownego ojca — panie Dahlman, pożegnałbym się z życzeniami; nie pozostałoby mi nic do żądania.

— Co do mnie, odparł bankier — jedno tylko słowo mam do powiedzenia. Jeżeli — jak wreszcie spodziewam się i wnoszę — córka przystaje na związek, który pod wszel-

kiemi względy zaszczyt naszemu domowi przynosi, ojciec schyla głowę przed wyborem swego dziecięcia. Niechajże dzień dzisiejszy dopełni miary szczęścia! — Oto moja ręka panie Władysławie, albo raczej zięciu mój, jeżeli miłym ci ten wyraz. —

Nastąpił znowu upadek we wzajemne objęcia i długie uściśnienia; bankier śmiał się do rozpuku, Wilczek atoli, zamroczył nagle wyjaśnione dotąd oblicze, przysunął się ku stołowi i kreśląc ołówkiem, dla zaprzątnięcia wzroku, bezładne jakieś znaki, rzekł niepewnym choć poważnym głosem.

— Rzecz tak bystro, tak niespodzianie się rozwiązała — wybacz mi pan jeżeli nie miałem czasu uprzedzić go o pewnych ważnych szczegółach, które mniej pomyślnie może wpłynęłyby na jego postanowienie. Honor nakazuje mi nic przed panem nie taić — jeszcze nie odeszliśmy od ołtarza.

— I cóż takiego? — Przerwał wesoło baron przewidując wyznanie — dziecinne jakie przeszkody, skrupuły delikatnego sumienia, zobowiązania zaciągnięte w latach burzliwej młodości? — Dalejże — naprzód z temi trudnościami! — We dwóch możeć damy im radę.

— Interesa moje — majątek — niegdyś świetny — dziś — nie mogę ukrywać — w opłakanym stanie. Powinienem był naprzód o tem wspomnieć; w porównaniu z dostatkami panny Karoliny, z mojej strony, nader mało, a może nawet nic nie przynoszę. —

Bankier zerwał się z krzesła, gwałtownym ruchem pogrążył ręce w kieszeniach; chciał udać oburzenie, ale uśmiechu z ust spędzić nie umiał.

— I cóż dalej? — Zawołał — i nic więcej? — Cha, cha — wybornie! — Widzę że zawczasu muszę przygotować się na stosowanie peror kochanemu zięciowi. I któż tu wspomina o pieniądzach? — W sprawach serca, uczucia, jakiż z przyzwoitego towarzystwa człowiek pobiegnie naprzód do hypoteki? — Z głodu nie pomrzemy — mogę ci przysiądz; jeżeli zaś majątek twój był niegdyś świetnym, postaramy się wrócić mu należyty blask. Tylkoż na miłość boską, panie Władysławie, przyrzecz mi, że nigdy nie wspomnisz o interesach, ani zatroszczysz się o rzeczy których uporządkowanie, z prawa,

z wieku i z doświadczenia, na mnie samym polega. Chwalę troskliwość o pieniężne względy — sam dałem jej liczne dowody, wyznam przecie że w tym razie, daleko zostawiłeś mię za sobą. Od czasu jak zaszczycasz nas twemi odwiedzinami, nie pomyślałem o kwestji majątkowej; odgadywałem że córka moja wpadła ci w oko, ale nigdy nie zastanowiłem się czy nam miljony czy pusty worek przynosisz. Kochasz moją dziewczynę; my kochamy cię wzajemnie; łączysz w sobie rzadkie przymioty — czegoż więcej potrzeba? Ja w człowieku duszę cenię — serce, moralność, wychowanie, rozum, to mi prawdziwa zasługa! o resztę nie pytam i nie dbam, zwłaszcza gdzie idzie o szczęście mojego dziecka.

— Szlachetne słowa panie Dahlman, tłumaczą one wysoki szacunek jakim świat pana otacza. Dla mnie, samego na ziemi, bez rodziny, bez bliskich krewnych, niesłychany to los znaleźć w jednym dniu tyle drogich związków. Wierzaj pan, że potrafię zadość uczynić powinnościom mego serca; przyrzekam nadto że we wszystkich praktycznych kwestjach życia, odwołam się do rad mojego teścia i takowe gorliwie i pilnie wypełnię. —

Bankier umilkł, zamyślił się — z kolei widno, miał także ważną jakąż uwagę do nadmienienia; szukał wątku po głowie i rzekł po chwilowym przestanku:

— W interesach, dopóki przynajmniej nie staniemy na czysto, rady moje nie będą bez korzyści; przywykłem rozgmatywać najsilniej zaplątane węzły, sądzę zaś że z massą podobnych, przyjdzie nam mieć do czynienia. Mniejsza o nie; gdzie nie dadzą się rozwikłać tam je rozetniemy. Skoro jednak raz już wszczęliśmy rozmowę przyjacielską, niechajże każdy z nas wyjawi ostatnią myśl, pokaże dno serca; lepiej zrozumieć się zawczasu niż później narażać na przykre skutki nieporozumienia. Rzecz między nami ułożona, wprzód atoli nim się dopełni, pragnąłbym panie Władysławie, położyć ci jeden warunek, albo raczej wymódz na tobie przychylenie się do jednej mojej prośby. Uprzedzam że nie wymagam nic niepodobnego; warunek dla ciebie łatwy, dla mnie konieczny pod względem spokoju, szczęścia mojego, a zwłaszcza też mojej córki.

— W takim razie, rzekł Wilczek, dość go wymienić; jakakolwiek będzie treść, możesz pan uważać ją za przyjętą, za dopełnioną.

— Przyjmuję z wdzięcznością zapewnienie i dziękuję za mnie i za moją córkę. Prośba moja posłuży ci za dowód wagi jaką przywiązuję do naszych związków. Każdy wiek ma swoje upodobania, panie Władysławie. W młodości, człowiek rad goni za niebezpieczeństwem, igra z życiem któremu nie przypuszcza granic. Zabawki te dadzą się usprawiedliwić w tym kto sam żyje na ziemi, kto po sobie nie zostawia nikogo; czyja śmierć może wzbudzić żal przyjaciół ale nikogo nie okrywa grubą żałobą. Małżonkowi, ojcu, igraszki podobne nie przystoją. —

Dotąd w Galicji gdzie tylko mowa o pojedynku, można zaręczyć że hrabia Wilczek w nim celebruje. Zręczność i szczęście umieją także wypowiadać służbę; przedsięwzięcia handlowe, oparte nie na przypadku ale na ścisłem wyrachowaniu często zawodzą; cóż dopiero rzec o spotkaniach gdzie według przysłowia człowiek strzela a los kule roznosi?

Posłuchaj drogi mój zięciu: pod nieustannem zagrodzeniem ciosu łatwo mogącego w ciebie uderzyć, córka moja nie znajdzie rękojmi szczęścia; ja sam napróżno szukałbym chwili spokoju — interesa nawet nie dadzą korzystnie się urządzić, jeżeli główna ich sprężyna ciągle będzie narażaną na potrzaskanie. W imię zatem tylu świętych względów, zaklinam cię — daj mi zapewnienie, że odtąd zaprzestaniesz tych strasznych zaczepek, że nie zechcesz więcej słyszeć o pojedynkach.

— Pojmuję pańską troskliwość, odrzekł Wilczek z uśmiechem, wyznać jednak muszę że w obecnej chwili jest ona zbyteczną. Rzecz jasna, że dopóki człowiek sam jeden pędzi czas przed sobą, póty nic go nie przywiązuje do życia; nie dba o nie, rzuca niem jak przedmiotem bez zastosowania, bez rzeczywistości. Tęsknota i nuda pchają go do wzruszeń; trzeba przecie czemś serce zapełnić. Dziś atoli, gdy serce moje zajęte jednem tylko uczuciem; dla innego nie ma już przystępu. Sam wreszcie, jeżeli mam prawdę wyjawić, czuję się

zmęczonym dotychczasowym trybem życia, sam pragnę wypoczynku, spokoju, chcę odetchnąć, odrodzić się w czystem przywiązaniu, w pożytecznej pracy. Rozpędź pan troski: upoważniam go uroczyście, skoro usłyszysz o jakim pojedynku w Galicji, zaręczyć, przysiądz że Wilczek żadnego w nim nie ma udziału.

— Hm? — Westchnął bankier niezupełnie przekonany — z dawnemi zwyczajami nie łatwo w jednym dniu wyrzec się współki; gorącej krwi jednym podmuchem nie wystudzisz. Słowa twoje panie Władysławie, dodają mi zaufania — nie przeczę; byłbym atoli daleko spokojniejszym, gdybyś chciał wyraźnie mi przyrzec, święcie zaręczyć, że w żadnym wypadku nie chwycisz broni w rękę, że uszanujesz życie twoje i szczęście twojej żony i pomyślny obrót naszych interesów.

— Ależ panie Dahlman, podobnego zobowiązania żaden człowiek honorowy przyjąć nie zdoła. Są w życiu wypadki, są położenia z których inną drogą wybrnąć nie można. Nie dawać powodu, ustępować, unikać zaczepki — rozumiem i przyrzekam; ale dotknięty do żywego w mojej godności, sam wyzwany, zaczepiony — dla czci nazwiska, dla honoru rodziny, powinienem — —

— Daremne obawy! — Ciebie nikt nie zaczepi; prędzej Sine, Eskelesowi, lub Rotszyldom zaprotestują weksel. Świat zna aż nadto kapitał odwagi, jakim rozrządzasz i szczęście nieodstępne ci w podobnych zajściach; nie lada kto zajrzy ci w oczy — wreszcie, czyliż nie jesteś powszechnie kochanym, czyliż nie liczysz tylu przyjaciół ilu znajomych? — Nie, nie — zaczepki nie należy się lękać; pod tym względem, jestem zupełnie spokojny.

— Pod wszystkiemi względami zaniechaj pan frasunku. Związałem się przyrzeczeniem; jeszcze raz je powtarzam i zaręczam że żadnej chwili życia o niem nie zapomnę.

— Zgoda — dobrze, ale czy nie lepiej byłoby ubezpieczyć się przeciw przypadkowi w sposób jak można najpewniejszy. Dla żywych charakterów, nigdy dość hamulca. Wszakże tu idzie o spokój twojej żony, o własne twoje szczę-

ście, kochany panie Władysławie. Wierzaj mojemu doświadczeniu i przebacz naleganiom; gdybyś chciał zatwierdzić zobowiązanie kilkoma wyrazami na piśmie, kamień odwaliłbyś z mej piersi, rozpędziłbyś tę jedyną, lekką chmurkę naszego życia. Słowa ulatują, łatwo wpadają w zapomnienie, skoro jednak człowiek rzetelny się opisze, dwa razy pomyśli zanim przełamie umowę. Co myślisz? — Oto papier i pióro — kilka wyrazów — pokażę je Karolci; rozpłacze się z radości.

— Skrypt na spokojność! — Czemuż nie na stęplowym papierze? — Odrzekł Wilczek wesoło. Na Boga, kochany teściu, w pieniężnych interesach pojmuję podobne rękojmie; człowiek umiera, zobowiązania jego ciągną się jeszcze za grobem. W obecnej jednak sprawie, zostawmy zwyczajnym ludziom piśmienne zobowiązania. Między nami, nie ma świętszej umowy nad dane słowo i uściśnienie ręki. —

Hrabia wyciągnął obie dłonie; baron przypomniał sobie że nowy zaszczyt wymagał po nim nowych zwyczajów, że należało czemprędzej wyzuć się z obejścia trącącego mieszczaństwem; pokazał że umie nastroić się do wysokiego tonu; nie nalegał więcej i ostatniem uściśnieniem zakończył rozmowę.

Panna Karolina niezwłocznie dowiedziała się o szczęściu jakie ją czekało; padła ojcu do nóg, zapłakała jak przystało na uczciwą dziewczynę w podobnych zdarzeniach, odeszła do siebie wypromieniona radością nie tyle z tytułu, jak z związku, który urzeczywistniał niepewne przez tak długi czas a drogie jej marzenia.

Porwana uczuciem ku przyszłemu małżonkowi, przemyśliwała czyliby nie wypadało ofiarować mu w zakład miłości pierścionka z próbką bursztynowych swych puklów; jedna atoli z doświadczonych przyjaciółek zapewniła ją że podarki tego rodzaju wychodziły już z mody, i że w każdym razie należały nie mężowi ale kochankowi i to wówczas tylko, gdy zawistne losy rozłączały na wieki dwa serca, skazane na spopielenie straszliwym ogniem dozgonnego uczucia.

Panna Karolina uznała z westchnieniem słuszność uwagi, zaprzątnęła przedślubne niepokoje szczegółami bogatej wy-

prawy. Wilczek uniknął szczęśliwie włosianego pierścionka, gotował się że swojej strony do małżeństwa mającego wkrótce nastąpić, podczas gdy baron wziąwszy na pilną uwagę zabezpieczenie posagu córki, z zwykłą sobie gorliwością i doświadczeniem, zaczynał pleć kąkol długów na hypotecznych łanach hrabiego zięcia.

XV.

I któż powróci owe błogie czasy niczem niezakłóconego spokoju, porządku społecznego mądrego i oznaczonego ściśle jak regulamin półkowy, zgody i uczciwych pojęć, gdzie każdy religijnie pilnował miejsca naznaczonego sobie od Boga, gdzie na kolebce dziecka można było los jego do ostatnich chwil życia wypisać, gdzie zasadę dziedzictwa umiano zarówno szanować w zbytku jak w nędzy, a piętno urodzenia, co do świętości, nie ustępowało czci jaką wzbudzała głowa namaszczona bożym talizmanem monarszej oliwy? Chłop i pracownik, przyjmowali niewolę i gorzką biedę za słuszną karę grzechu pierworodnego; pan, umiał być tem czem się urodził i wypełniać obowiązek godnego siebie, dostojnego życia; rząd doskonale pojmował że był koniecznem wcieleniem mądrości i siły, za wszystkich miał rozum i przeciw wszystkim miał siłę; w prawo ślepo wierzono dla tego, że było wydrukowanem i ogłoszonem; nikt bezbożnie nie poważał się roztrząsać litery zakonu; Monarcha, namiestnik Jehowy, jak On, mądry, nieomylny i wszechpotężny, otwierał ziemię pod bluźniercami, srogo karał złych, z dobrych i z posłusznych wybierał podatek.

Takim ładem trzymały się ogniwa społecznego łańcucha, łańcucha zaprawdę, którego jeden koniec przesąd składał w rękach Opatrzności, podczas gdy drugi zapuszczał na dno piekieł i szczękał nim ku postrachowi buntowników przeciw prawowitości ołtarza, tronu i szubienicy.

Niestety! minęły czasy złotego snu duszy; sklepienie przez tyle wieków wykuwane, zaświeciło szczelinami, choroba jakaś, opętanie, kołowacizna, spadły na ród człowieczy. Szatan zakradł się do mózgów, wykrzywił oczy; wzrok ludzki wszystko widzi opacznie; nawiedzone języki wrzeszczą o zbrataniu, o równości plemion na ziemi, o tożsamości praw do życia, o walce upartej za wolność, którą zwą niezbędnym warunkiem bytu, którą stawią na miejscu katechizmów i kodeksów ustaw, zwyczajów, podań, odwiecznie nabytych praw a nawet — mówmy cicho — podobno że i na miejscu samego tronu.

Święty Ignacy Lojolo ratuj — inaczej, Bóg wie dokąd nas ten szał doprowadzi! — Niechaj przynajmniej nasze pokolenie w spokoju się dopasie; co dalej wypadnie — mniejsza o to gdy nas już nie będzie! byle choć parę lat przeżyć jak dawniej, na wsi lub w mieście, a jeżeli w mieście, toć nie w innem jedno w przesławnej stolicy rzymsko-apostolskich cezarów, w tem siedlisku poloru, roskoszy, muzyki, zabaw, przepychu, jakiemu przyświecał Spielbergowej pamięci cesarz Franciszek.

Drugiego podobnego Eldorada, próżno szukać na świecie; kto Wiedeń pamięta przed laty, ten dziś jeszcze z zachwytem wspomina świąteczną co dnia postać miasta, ruch, wesołość, śpiewność mieszkańców, swobodę klass poziomych, wykwint, zbytek, wdzięk wyższego towarzystwa, łatwość wszelkiego rodzaju zadowolnień, a nawet równość pewną w obliczu pięknej bogini, córy perłowych pian morza.

Rząd wspierał się na organizmie wojskowym; w poczuciach także, przywilej wzrostu i rozrostu dawał prawo do stawania w pierwszym szeregu, w grenadjerskiej kompanji i na prawem skrzydle.

Zdarzało się wprawdzie często, że pokrzywdzony od natury był dowódcą, służbę atoli pełnili tylko wyborowi; karność społeczna bynajmniej na tem nie cierpiała, nikt nie miał powodu domyślania się stosunków, zachodzących między ludźmi siędzącymi w powozie, a stojącymi za powozem; nikt nie mierzył przestrzeni jaka rozdzielała konfessjonał od alkowy, skryte drzwi koszar od skrytych drzwiczek pałacu. Każdy,

jak przystało, zajmował się tem co sam najgoręcej kochał, myślał więc przedewszystkiem o sobie, bliźniego po chrześciańsku zostawiał w pokoju; o ile wszakże ten bliźni nie zajeżdżał mu w drogę, nie stawał na przeszkodzie w jego uczuciach, w pogoniach za łaską, za zaszczytem, za urzędem, za znaczeniem, za zyskiem.

Urocze miasto, gdzie istotnem berłem był trzepiec Arlekina różnobarwnych narodowości, języków, strojów, zwyczajów, miasto dokąd każde plemię wysyłało najwybitniejszych przedstawców tych właśnie żywiołów, przeciw którym powstają dziś zbuntowane dzieci Sema, Jafeta, mianowicie zaś Chama.

Czyli Wiedeń odjaśnieje jeszcze kiedy dawnym blaskiem? — Niepewna przyszłość nam to pokaże, tymczasem szczęśliwi ci, którzy potrafili uwinąć się i uszczknąć kilka choć kwiatów, jakich ogrójcem było bez zaprzeczenia cesarskie miasto.

Szambelan Fürstemberg należał do fortunnego pokolenia; wjeżdżał do stolicy w samej pełni owej epoki, śpieszył odetchnąć całemi piersiami drogiem dla siebie życiem i na domiar roskoszy, wracał z młodą i piękną małżonką.

Marja znała już Wiedeń, miała wyobrażenie o trybie życia jaki w nim prowadzono, ale pojęcia te, powzięte pod okiem rodziców, w zależności panieńskiego półbytu, mgliste wywoływały przed nią obrazy; jasniejąca za niemi rzeczywistość zapowiadała jej nowe a niespodziane uczucia i widoki.

Rodzice szambelana wystąpili ku młodej parze z świetnem przyjęciem.

Sokolnik, od wielu lat utrzymywał towarzystwo stolicy, w przekonaniu o znakomitej potędze swoich dostatków; austrjackie możnowładztwo rade poglądało na przejście bogactw polskiego magnata w ręce jednego z czystorodnych poddanych J.C.Mości.

Historyczna krzywda znajdowała w pewnej części poszkodowanie. Austrja zagrabiwszy polskie ziemie, zapomniała jako niegdyś w Czechji po trzydziestoletniej wojnie, rozdzielić je między wierne sługi dworu. Odtąd każdy zagon polski który dostawał się w niemieckie posiadanie, uważanym był

jako powrót prawemu właścicielowi, wydartej niesprawiedliwie dzielnicy.

Sokolnik wydając jedynaczkę za Niemca, pokazywał że zna historję i umie cenić dobrodziejstwo przyłączenia Galicji do habsburgskich dzierżaw. Szlachetny przykład — a który, wedle wiedeńskich pojęć, czerwonoruscy panowie nie dość naśladowali, chociaż od pewnego czasu nie można się było na nich uskarżać; wszystkie niemal znakomite rody Galicji, poczytywały sobie za zaszczyt pełzać u stóp Majestatu, wycierać kolanami cesarskie przedpokoje, czołem proch zmiatać z przed stóp księcia kanclerza.

Podła służalczość magnatów z nad Dniestru i Sanu, zaczynała wchodzić w przysłowie.

Pierwsze tygodnie po przyjeździe państwa młodych, spłynęły im na zaprosinach, balach, wieczorach, obiadach. Szambelan liczył między krewnymi większą część dygnitarzów dworu; Sokolnik w wysokim świecie szeroko miał rozgałęzione stosunki; panowie austrjaccy nawzajem, starali się dowieść mu że wypełnienie świętego obowiązku wydania córki za Niemca, ocenionem zastało wedle zasługi. I towarzystwo i dwór nawet, z żywem spółczuciem przyjęli polskiego wazala.

Marja ujrzała się pośród świata, już nie jak wiedziona na targ hymenu córka niewolnica, ale jako kobieta zamężna a więc wolna w całem znaczeniu tego wyrazu, jako pani domu mogąca wieść życie na swoją rękę i zbrojna przeciw zawistnym losom w trzy dzielne oręże; w majątek, w urodzenie, we wdzięki.

Trzy te warunki dodane, dawały w wypadku szczęście, a tem samem szacunek u świata i niepospolite znaczenie.

Pochlebny szmer zadziwienia przyjął młodą małżonkę za pierwszym wstępem jej między ludzi. Światowe jej położenie nic nie pozostawiało do życzenia; zmierzono je naprzód, zbadano, obejrzano, uznano za przyzwoite, poczem przystąpiono do uwag nad przedstawiającą je osobą.

Polskie kobiety, w całej Europie słyną z piękności; piszę ten aforyzm nie tyle z przekonania, jak raczej aby zaskarbić sobie łaskę czytelników, którzy z patrjotyczną dumą potakując, przyjmą niezawodność uwagi.

Co do własnych moich spostrzeżeń, wyznam, że wyjąwszy w Niemczech, wszędzie spotykałem tyle pięknych niewiast ile zdarzyło mi się widzieć w ojczyznie; gdzieniegdzie nawet, ku południowi, zwłaszcza zaś ku linji równika, nie zaręczam czyli stosunek pięknych do brzydkich, w porównaniu, nie wypadłby na korzyść pierwszych.

Łatwo być może że jestem w błędzie, radbym wierzyć że się mylę, a w pomyłkę bez wątpienia uwierzyłbym zupełnie, gdyby wspomnienie najpiękniejszej lackiej dziewczyny, tak błyszczało przedemną, jak świeci w tej chwili postać córki galicyjskiego magnata.

Marja nie raziła jaskrawą urodą mieszkanek południa; dziecinna wesołość Wiedenek, zapał węgierskich kobiet, poprawność przypadkiem zdarzonych niemieckich rysów, nie rozjaśniały jej oblicza; żywość obejścia lub subtelnie wyostrzone słowo nie zwracały na nią odrazu powszechnej uwagi, ale można było założyć się że w gronie kobiet pierwszego rzędu, z początku nie postrzeżona, wkrótce samowładnie zapanuje nad wzrokiem otaczających; trudno było oczu od niej oderwać, wdzięk jakiś tajemny, rozwijający się, rzekłbyś, dopiero pod ogniem spojrzenia, tęczował do koła jej oblicze, otaczał ją światłem, przed którem nikły powoli gwiazdy wiedeńskich salonów.

I któraż z lilji nauczyła ją tych łagodnych skłonów, kołysań i pochylań głowy — czyliż nieskończoność tam się ciągnęła gdzie tonęły mgliste, tęschne promienie jej wzroku — jutrzenka zaprawdę ukrasiła odcieniami szkarłatu i pereł przezroczyste jej oblicze — jakież lube marzenia lub niepokoje wyzywały na jej usta ten uroczy, niewysłowiony uśmiech — zkąd widziadłowa niejako powiewność kibici i dziwny chód ten, który nie był lotem ani stąpaniem, chociaż zdawał się jednem i drugiem? — Takie pytania zadawało sobie kilku zabłąkanych głębokich znawców, kilku artystów wpuszczonych dla dziwowiska pod wyherbowane sufity.

Reszta wykwintnej gawiedzi czuła wrażenie, nie wchodząc w przyczyny; bezsumiennie parła się do blasku, jako ćmy do światła pędzone nieubłaganą igraszką natury.

Bardziej jednak nad wszystkie niezaprzeczoną palmą zwy-

cięstwa, jest zawiść spółzawodniczek w turniejach na wdzięki. Kobiece towarzystwo, za jednym rzutem oka poznało nieprzyjaciela; skoczyło mu do oczu, gotowało się porwać go na języki i roznieść na wszystkie wichry. Za pierwszym napadem, zaciekły hufiec poczuł bezskuteczność doświadczonego dotąd oręża. Wróg rozbrajał napastników niespodzianym fortelem.

Marja zdawała się nie wiedzieć o przyczynie boju; nie dorozumiewała się niby siły swych wdzięków, nie śmiała wrzkomo pochlebiać sobie, że ktokolwiek raczy zwrócić na nią przychylne wejrzenie; bojáźliwa, zalękła, drżąca wstydem młodej małżonki, z pokorą ustępowała najsłabszym zaczepnicom, cofała się w tłum, zadawała sobie boleść niesłuchania pochwalnych szmerów, niedostrzegania uderzonych podziwem spojrzeń.

Słowa jej, obejście, wyrażały raczej serdeczną prośbę o pobłażanie, niż cień zaufania we własną wartość lub skryty odgłos dumy z przywileju urody.

Brak oporu ubezwładnił zawistne pociski; gwoli potulności zaczynano przebaczać polskiej hrabiance niepospolity rozkwit jej krasy.

Męska część towarzystwa nie broniła się tak upornie przeciw korzystnym wrażeniom; sama świeżość przedmiotu była już dla niej ponętą, w niezwykłości zaś postawy i obejścia nowo przybyłej, upatrywała dostateczny powód uwielbień.

Fjołkowa skromność Marji dzielniej jej usługiwała niż najzalotniej wyrachowane obroty; każdy pędził za zasługą pierwszego odkrycia wdzięcznego kwiatka, nie jeden przysądzał sobie wieniec znawstwa na istotnych zaletach płci pięknej i marzył o upożytecznieniu przywileju na wynalazek.

Ozdobienie się pierwszem uczuciem młodej małżonki, chłostało wyobraźnię Celadonów miasta Wiednia. Wkrótce, kilku uznanych sędziów mody publicznie wypowiedziało wyrok, ogłaszający szambelana właścicielem najpiękniejszej z towarzystwa kobiety, i wnet bystry potok hołdów, pokłonów, zalecań, wyniósł Marję na szczyt hucznego życia, wystawił ją za cel wszechstronnego podziwu.

Córka Sokolnika zakrólowała z łaski powszechnego głosu, w pałacach, na balach, na uroczystościach; tłumy oczu niespokojnie poglądały na drzwi salonu gdzie jej oczekiwano; za przybyciem młodej hrabiny, gwary ustawały na chwilę, ciżba rozstępowała się jako niegdyś fale Czerwonego Morza, aby dać wolne przejście istocie upodobanej Bogu i ludziom.

W teatrze, zjawienie Marji, jakby hasłem zaklętej różczki, odrywało nagle wzrok widzów od sceny, zwracało go ku pięknemu obrazowi Polki, ku uroczemu popiersiu oprawnemu w złocone ramy loży. Na przejażdżkach, w Praterze, młodzież zdaleka śledziła liberję szambelana; polotne kabrjolety, jezdzcy na pysznych koniach, wymykali się w stronę gdzie migał powóz hrabiny; zajeżdżano bocznemi ulicami, skręcano, mijano, i znowu wracano, byle tylko skrzyżować wzrok z czarownem jej wejrzeniem, byle raz jeden więcej upieścić oko lubym widokiem.

Marja z początku nie umiała wytłumaczyć sobie wrażenia, jakiego doznawała z nieustannej uwagi ogółu; spłoszona, toczyła do koła zdziwione oczy wylękłej łani, nieraz ukryłaby się pod ziemię, ale tam nawet byłaby chciała być widzianą, tam jeszcze byłaby z roskoszą dała się kołysać słodkim gwarom męskiego zachwytu, upajającemu odgłosowi na pół dosłyszanych słów, wykrzyków tłumionych przyzwoitością światowego ułożenia, pochwał zastygłych na ustach ale roziskrzonych w źrenicy.

Powoli, oswoiła się z wyłącznością swego stanowiska; człowiek łatwo oswaja się z władzą, którą niezaprzeczenie wywiera nad drugimi; poczynała nawet usprawiedliwiać przed sobą prawowitość odbieranych hołdów, wpadała na wnioski że na świecie, darmo nikomu nikt nic nie przyzna, że przeto wszelki wzgląd był wypadkiem oczywistej w uwzględnianym zasługi, że Bogu tylko należało dziękować za dary, ludziom zaś pozwolić uciechy z dobrodziejstw Stworzyciela.

Pobożne rady księdza Tapczyca i religijne uczucia wpajane w nią od kolebki przez matkę, przynosiły jej jak widzimy znakomitą pomoc w wyciąganiu prawdy z zawiłych stosunków życia. Chór uwielbień stawał się dla Marji jednym z głównych warunków bytu; podobnie do Boga który żył

ludzkiemi modlitwami, wdzięczne Jego stworzenie, w człowieczych hymnach znajdowało słodki dla duszy pokarm.

Przesytu nie było czego się lękać; dusza czuła się na siłach wchłonięcia w siebie nieskończoności takowego pokarmu.

Przyrodzonym biegiem rzeczy, czciciele nie mogli wiecznie poprzestawać na zasyłaniu bóstwu zdaleka ofiarnych kadzideł; śmielsi postąpili ku ołtarzowi, knując w sercu zuchwałe zamiary.

Podwoje domu szambelana stały otworem dla całego wielkiego świata stolicy; nadto, dawni znajomi, towarzysze młodzieńczych zabaw, mieli prawo do codziennych poufałych odwiedzin, prawo z którego żaden z nich nie zaniedbał korzystać.

Marja ujrzała się otoczoną tłumem młodzieży, między którą odznaczało się kilku sławnych w mieście zdobywców serc, ludzi biegłych w natarciu, oswojonych z powodzeniem, liczących więcej zwycięstw w szrankach miłości, niżeli lat życia lub przeczytanych książek. Hołdy tych ostatnich, z każdym dniem traciły pierwotny charakter platonicznego ubóstwienia; pod przezroczystą zasłoną słów, młoda hrabina widocznie zaczynała dostrzegać namiętne oświadczenia, odezwy o wzajemność, rozpaczne lub płomienne wybuchy, napady zazdrości, zaciekłe gniewy między spółzawodnikami, niepojęte odgadywania jej chęci, przewidywania zamiarów, spełniania rozkazów, gotowość na wszystko, począwszy od przyniesienia upodobanego kwiatu aż do samobójstwa.

Za tyle więzów ochotnie na siebie wrzuconych, za tyle ofiar i poświęceń, błagano zwykle o jedno tylko spojrzenie, o jeden uśmiech; rzadko kiedy ośmielano się dać do zrozumienia że za uścisk ręki, za wymówione jedno słowo, wieczność piekielnych męczarni lichą była zapłatą. Stanowcze wszelako prośby już wyrzeczone; w ponurem milczeniu oczekiwano na odpowiedź, na wyrok życia lub śmierci.

Marja sama wylękła się niespodzianych a strasznych skutków wrażenia, jakie osoba jej sprawiała na otaczających, ale uczucie to trwogi w niczem złemu nie zaradziło; przeciwnie —

zabłyszczało niepokojem w spojrzeniu młodej mężatki, dodało życia jej ruchom, zapału i nieoczekiwanych przejść rozmowie, wypromieniło ją nowym wdziękiem, który coraz zwiększał niebezpieczeństwo. Opatrzona, jak w ogóle kobiety polskie jej stanu, samorodną teorją o sentymentalnej dobroci serca, o niewystawianiu bliźnich na cierpienie, byłaby chętnie chciała dokoła oszczędzić udręczeń zadawanych niewinnie, lub może też do pewnego stopnia samowolnie — do jakiego stopnia? — Nie naszą rzeczą wchodzić w te drobne szczegóły duszy. Na Ostatecznym Sądzie, da Bóg doczekać, tajemnica w całej pełni się wyjaśni.

Skądinąd jednak, zgroza wzdymała jej łono, ile razy pomyśliła o zuchwalstwie nadziei i roszczeń ścigającego ją orszaku.

Na kilka dni przed ślubem, matka i kapelan, w długich godzinach, tłumaczyli jej święte obowiązki małżeńskiego stanu. Raz wyrzeczona przysięga zastawiała w Lombardzie wieczności przyszłość kobiety na ziemi i pośmiertną dolę jej duszy.

Nadwerężenie przysięgi groziło utratą zastawu; dusze tym sposobem przepadłe, szatan za bezcen z wolnej ręki nabywał. Granica między wiarą a wiarołomstwem, oznaczona literą bożego prawa, rozciągała się wzdłuż progu ostatniej komnaty. Sędzia nie umiał zakreślić innych krańców przywiązaniu, zalotności i obowiązkom. Od wejścia aż do fatalnego progu, wszystko było pozwolonem — dalej — dla wszystkich, wyjąwszy dla męża, otwierała się otchłań grzechu, przekleństwa, potępienia i kary.

Wprawdzie, często rzeczy działy się na opak; lekkomyślna człowiecza ułomność równemi nogami skakała w przepaść, i jeżeli niekiedy dobywała się później na wierzch, to tylko dzięki cudowi żalu, skruchy na starość, pokuty, i pod warunkiem wykupienia się z błędów Kościołowi i w podeszłych latach, srogiego sądu na grzesznice podobnymże winom podpadłe.

Marja, oprócz tych duchownych obręczy, dzierżących jej cnotę, we własnem sumieniu, na zewnątrz rad matki kapelana, silne znajdowała podpory. Sama myśl o oszukaństwie

raziła tkliwy jej umysł nieprzezwyciężonym wstrętem; oburzała ją konieczna larwa kłamstwa, jaką w razie upadku byłoby trzeba na twarz sobie nacisnąć; obawa głosu opinji krew lodem ścinała w jej żyłach — nadto — jak często w rodzinnych jej okolicach się zdarza, porywy ślepego uczucia, namiętność, znała tylko z wyrazu i do bliższej z niemi znajomości nie miała żadnego usposobienia.

Ostatnią tę zaletę umieszczam przez grzeczność na końcu, niby zupełnie podrzędną, sam będąc teoretycznie zaciętym wrogiem wszelkiego rodzaju dobrych i złych namiętności.

Owóż więc pomijając względy na zapalność mózgu, ale nie serca i dla przyzwoitości, odwołując się do uczucia nazwanego sumieniem, wyznać należy że Marja w odmowie ucha poszeptom ludzi, którzy z czasem mogli stać się dla niej niebezpiecznymi, widziała nie tylko spełnienie zaprzysiężonych obowiązków, ale nadto godną odpowiedź na nieograniczone zaufanie jakiem mąż ją otaczał.

W istocie, szambelan był wzorem małżonków — za takiego przynajmniej pragnął uchodzić przed światem. W osobistem, prywatnem życiu do bałwochwalstwa podnosił cześć zasady wolności; przez wolność rozumiał usunięcie wszelkich zawad własnej woli; wolę zaś kierował tam, gdzie upatrywał sposobność zadowolnienia chwilowych zachceń, powziętych od młodości nałogów, lub zamiarów wspięcia się na wyższy szczebel dworskiej hierarchji.

Zkąd wraca — gdzie idzie — co zamyśla? — Nie mówił w domu nikomu i nienawidził aby go badano. Nawzajem, żonę, czasami przez wykwintność wychowania pytał o rozkazy, zwykle jednak zostawiał ją samowładną panią jej woli; sam mieszkał w osobnej połowie domu, osobno u siebie przyjmował i podobny zwyczaj wprowadził do pokojów przeznaczonych hrabinie. Wieczorami prowadził ją w świat, do teatru, pokazywał się z nią niekiedy w Praterze; przy obcych obchodził się z układną ale zimną grzecznością; mówiąc o małżonce w oczy lub za oczami, nazywał ją hrabiną, sam prowadził dom, utrzymywał rachunki, wglądał w dokładność najdrobniejszych szczegółów, rad atoli pojedyńczo zjawiał się na ulicy i w salonach, i dbał wielce aby

go nie posądzono o szaloną, mieszczańską miłość ku połowicy.

Wpojenie ostatniego przekonania nic go nie kosztowało; nic nie potrzebował udawać.

Takowy tryb pożycia zwał się angielskim; szambelan rósł w dumę gdy poufali znajomi, żartami tytułowali go mylordem.

Postępowanie żony urzeczywistniało jego nadzieje. Hrabina odbierała do koła hołdy powszechnego uwielbienia; w strojach przewyższała smakiem i przepychem najwykwintniejsze kobiety z dworskiego towarzystwa, przyjmowała gości — czyli z cudzoziemska mówiąc, czyniła honory domu z rzadkim wdziękiem i zaszczytem dla męża. Więcej niepodobna było od niej wymagać — szambelan też niczego więcej nie wymagał.

Niebo odmawiało mu dotąd potomstwa; mylord wiedeński nie wiele na tem cierpiał, nie umiał unosić się żalem za nieobecnymi, a raczej za nigdy nie byłymi, tembardziej że wyczytał był niegdyś jakoby połóg szpecił kobiety, przetwarzał im kibić — czuły zaś małżonek troszczył się o wdzięki żony tyle najmniej, ile o własne powodzenie, a może nawet tyle niekiedy, ile o łaskę cesarza lub co więcej, o względy samego księcia kanclerza.

Na podobnem życiu upłynął rok jeden, upływał i drugi; dom szambelana stał się zbiegowiskiem najznakomitszych osób stolicy.

Książę kanclerz, od niejakiego zaś czasu i księżna kanclerzyna raczyli zaszczycać młode małżeństwo swemi odwiedzinami. Bystrym postrzegaczom, pochopnym ku złośliwości, zdało się że żona sternika cesarskiej nawy Habsburgów, z dziwnym wyrazem zatrzymywała wzrok na mężu polskiej hrabianki. Z głośnemi atoli uwagi, nikt nie śmiał się odezwać; księżna, dzięki swemu znaczeniu mogła wiele sobie pozwolić, szambelan zaś słusznie uchodził w towarzystwie za jednego z najurodziwszych kawalerów; urząd nadto jaki sprawował w biurze kanclerza, zapewniał z jego strony nienaruszoną tajemnicę.

Pogłoski te i podejrzenia, nie prześniły się nawet Marji

która zbyt była zajętą własnym dworem aby miała czas i chęć wglądania w postępowanie męża. Widziała go wybijającego pokłony przed księżną; czołobitność ta wszelako dawała się wytłumaczyć przez wzgląd na światowe stanowisko osoby która była jej celem.

Książę kanclerz, z każdym dniem nabierał zaufania do gorliwego podwładnego, wzywał go często do swego gabinetu, powierzał do przepisywania tajemnę papiery; w tej chwili, udzielał mu nawet nowego dowodu łaski. Wysyłał go na kilka tygodni do Paryża, dla przejścia się po tamecznych salonach, dla przepatrzenia niektórych szczegółów, wysłuchania pewnych rozmów, wydobycia nieznacznie potrzebnych mu objaśnień i odpowiedzi, wytropienia kilku tajemnych stosunków.

Posłannictwo to, którego powody kanclerz przykazał głęboko przed wszystkimi zataić, rokowało dla zaszczyconego niem powiernika świetne nadzieje na przyszłość w dyplomatycznym zawodzie.

Szambelan wdział na oblicze wyraz nieubłaganej tajemnicy; wróciwszy do domu rozkazał przygotować natychmiast podróżny powóz i posłał do hrabiny z zapytaniem czyli raczy go przyjąć; chciał zawiadomić ją o wyjeździe i pożegnać.

Służący przyniósł zapraszającą odpowiedź.

Hrabina nie była samą; Sokolnik wyciągnięty w szerokiem krześle, rozpowiadał jej ostatnie miejskie nowiny, najświeższe pogłoski o wyprowadzonych w pole mężach, o rozkochanych żonach, o odkrytych i złośliwie przerwanych schadzkach, o dowcipnych słowach tego lub owego z dworskich dygnitarzów: gdy wtem, drzwi się otwarły i wszedł pan domu.

Sokolnik niedbale podźwignął rękę; szambelan uścisnął dłoń żonie i teściowi i rzekł pokornie chyląc czoło przed hrabiną:

— Przybywam z dobrą wieścią; przed nadejściem zimy wiem, że pani moja ma zwyczaj zatrudniać kilka modniarek, ależ wiedeńscy nasi kupcy z drugiej dopiero ręki otrzymują stroje. Szczęściem, zdarza się wyborna sposobność do Paryża; możemy śmiało jej zaufać i jeżeli pani hrabina raczy zaszczycić

ją swemi poleceniami, głową zaręczam że takowe święcie zostaną spełnione.

— Otóż to co nazywa się być uprzejmym mężem, wtrącił z uśmiechem Sokolnik; wówczas gdy myślimy że według zwyczaju pracujesz nad potęgą państwa, zjawasz się, schodzisz nas niespodzianie, porzucasz ważne obowiązki dla tego jedynie, aby zabiedz drogę przywidzeniom rozpieszczonego dziecka. I któż taki jedzie do Paryża? — Jeżeli bliski nasz znajomy, może i ja odważyłbym się prosić go o niektóre sprawunki.

— Nader bliski znajomy — odparł dwuznacznie szambelan; uprzedzam tylko że trzeba pospieszyć z regestrem; za godzinę będzie już za późno. Nie mam ani chwili do stracenia; weź hrabia ołówek i papier, spisz własne i córki twojej rozkazy. Dalej — od czego zaczniemy? —

Marja wzruszyła ramionami, wyraz wesołej niepewności przebiegł po zachwycającem jej obliczu.

— Podróżny nasz rzekła, nie zupełnie na nas łaskaw; w jednem oko mgnieniu niepodobna zebrać myśli. Gdyby chciał przynajmniej do jutra się zatrzymać; jeżeli już nie mógł wczoraj nam usług swoich zaofiarować.

— Da jutra? — Nawet przez tak piękne usta proszony, nie dałby się ubłagać; wyższe rozkazy nie pozwalają mu ani chwili zwłoki.

— W takim razie musimy poprzestać na życzeniu mu szczęśliwej podróży i czekać na inną sposobność, więcej wyrozumiałą.

— Łatwy śródek hrabino, nie przeczę; uprzedzam atoli że i ten nie da się uskutecznić. Posłaniec ma nogę w strzemieniu; każda minuta opóźnienia ściąga nań ciężką odpowiedzialność; pomimo to przysiągł że nie wyjedzie, nie odebrawszy wprzód poleceń od pani tego domu. Osądźcie teraz, czy wypada nam do tego stopnia nadużywać jego uczynności?

— Któż taki? — Na miłość boską, szambelanie, zaczynasz bez miłosierdzia nas intrygować; przerwał ciekawie Sokolnik.

— Nie potrzebujemy wdawać się w szczegóły; możemy

zaufać w wyborze jego smakowi, jeżeli tylko hrabina zechce pozwolić aby sługa jej, za powrotem, nie stawił się przed nią z próżnemi rękami.

— Kto — gdzie ten przyjaciel, gdzie ten nieoceniony posłaniec? — Zawołali razem ojciec i córka.

— Stoi przed wami, odrzedł z ukłonem szambelan; powtarza pokorne swoje prośby i dopomina się o odpowiedź.

— Ty szambelanie?

— Mój mężu — wyjeżdżasz?

— Kiedy — gdzie — po co — za czyim rozkazem?

— Na jak długo? — Samą mię zostawiasz?

— Wczoraj jeszcze ani myślałeś o podróży.

— Dziś z rana, nikt w domu nie przewidywał.

— Zkąd tak nagłe zamiary?

— I żadnym sposobem nie możesz wyjazdu odłożyć?

— To mi dopiero ulewa zapytań! — odparł szambelan, cofając się o krok przed natarczywością wykrzyków; sam nie wiem na które mam odpowiedzieć, zwłaszcza że jak mówiłem, drogą mi każda chwila. Wyjeżdżam natychmiast. Gdzie? — Do Paryża. Za czyim rozkazem? — Za księcia kanclerza mego naczelnika. Z czem? — Z depeszami do naszego posła, do których mam dodać pewne ustne objaśnienia, jakim zwyczajny goniec by nie podołał. Kiedy wracam? — Za kilka tygodni najdalej; zbytecznem wreszcie byłoby dodawać, że każdą godzinę spędzoną zdala od domu uważam za straconą gorzko i niepowrotnie. —

Tu szambelan powiódł po żonie wdzięczne spojrzenie i końcem palców jeszcze raz uścisnął drobną jej rączkę.

— Książę kanclerz — rzekł Sokolnik, wysyła cię z ustnemi poleceniami; tem lepiej — ważna nowina — stanowczy krok na przyszłość!

— Zostawmy wieść tę między nami panie hrabio; wypadek obecny należy do tych, o jakich nie należy odzywać się głośno. Książę przykazał mi tajemnicę — ztąd też gdyby po moim wyjeździe dopytywano się o cele i o przyczyny podróży, polecam odpowiedź doświadczeniu hrabiego i przezorności owdowiałej na kilka tygodni hrabiny. Jest

sposób zadowolnienia ciekawości kilku słowami, rzuconemi bez znaczenia i odbierającemi chęć dalszych badań.

— Bądź spokojnym szambelanie; choćbyśmy chcieli zdradzić cię, nie potrafimy; nic nie wiemy i o nic nie pytamy. Rządowe sprawy w niczem nas nie obchodzą; znamy w nich konieczność i wagę milczenia. —

Marja tonęła w myślach; wyjazd męża, pierwsze z nim rozłączenie, niespodzianie przerywały pasmo jej życia, jednostajnie, regularnie dotąd się wywijające; brak ten niezbędnej w domu osoby, otwierał przed nią próżnię, którą nie przewidywała czem zdoła zapełnić.

— Sama jedna zostanę w całym domu? — Rzekła po chwili przestanku; może lepiej byłoby mój ojcze, gdybym na ten czas przeniosła się do ciebie. W domu rodziców weselej; tu przyzwyczailiśmy się przyjmować tyle osób — jakże wszystkich od razu odprawić?

— Chcesz sprowadzić się do matki, moje dziecię? — rzekł Sokolnik nie myśląc o tem co mówi; dom twoich rodziców zawsze dla ciebie otwarty. —

Szambelan rozśmiał się; spojrzał po ojcu i po córce zdziwionym wzrokiem.

— Hrabina żartuje! — Zawołał wesoło; nie rozłączamy się przecież na wieki. Nie pojmuję dla czego kilka tygodni mojej nieobecności, miałoby ciągnąć za sobą zmianę trybu jej życia. Od dwóch lat, dzięki Bogu, jesteśmy ciągle razem; upłynął miodowy miesiąc, każde z nas ma dość własnego doświadczenia i potrafi sobie wystarczyć; każde z nas swojemi siły zdoła utrzymać zdobyte w świecie stanowisko. Zaciągnęliśmy względem ludzi pewne obowiązki; na przyjęcie jakiego od nich doznajemy niepodobna się uskarżać, z mojej zaś strony, wyznam że popełniłbym czarną niewdzięczność, gdybym dla błahej przyczyny, przystał na pozbawianie towarzystwa najświetniejszej jego ozdoby.

— Słusznie mówisz mój zięciu; wyjeżdżasz, ale domu z sobą nie zabierasz; chwilowe rozłączenie nie pociąga za sobą żałoby; ludźmi jesteśmy a nie gołębiami; jedno bez drugiego może się obejść. Piękna nasza opuszczona dała porwać się pierwszemu wrażeniu.

— Dwóm zdaniom nie podołam, odrzekła Marja — i do tego jeszcze zmuszona bronić się przeciw niezasłużonym zarzutom. Mąż mój pochlebia sobie, że w chwilę po jego wyjeździe utonę we łzach, że za powrotem znajdzie tylko wspomnienie żony zmarłej z rozpaczy. Jedź pan hrabia spokojnie — dodała z zalotnym uśmiechem — zastaniesz wszystkich, żywych i zdrowych; baw się w Paryżu wesoło, podczas gdy żona twoja, sama jedna, bez nikogo, jak po węglach gorących będzie musiała wstępować między ludzi. Nie weźmiesz mi przynajmniej za złe, jeżeli wyjąwszy koniecznych odwiedzin, innych z radością sobie odmówię.

— Nie mam prawa niczego wymagać — postąpisz jak zechcesz; wszak w naszem pożyciu nie znamy dotąd innej zasady — gdyby jednak wolno mi było dać radę, powiedziałbym, że im mniej świat spostrzeże moją nieobecność, tem godniej każde z nas odpowie swoim obowiązkom. Zwyczaje ludzi naszego urodzenia, stanowisko zajęte przez nas w towarzystwie, pozwalają ci wygodnie, bezpiecznie pominąć względy nieodzowne dla większej części kobiet. Hrabina Fürstemberg nigdy nie jest samą; poprzedza ją nazwisko, otaczają pokrewne stosunki, osłania łaska dworu — niewyczerpane na świecie źródła ludzkiego szacunku. Hrabina Fürstemberg może tylko wchodzić i wychodzić samą; na balach, na zebraniach, w teatrze, sam książę kanclerz za zaszczyt poczyta ofiarować jej ramię.

— Nie zapominaj wreszcie, że masz wszędzie ojca na twoje rozkazy — wtrącił Sokolnik.

— Zapewne — ciągnął dalej szambelan; ale przypuściwszy nawet, że pan hrabia nie zawsze miałbyś czas lub sposobność, nie widzę dla czego żona moja potrzebuje uciekać przed światem. Daleka rościeła się przed nami droga — wypada koniecznie aby niektóre ważne w stolicy osoby na chwilę o nas nie zapominały. Jedynym na to środkiem, jak najczęściej się z niemi spotykać. Towarzystwo nie zawsze nas bawi; niektóre salony czasami śmiertelnie nudzą — nie przeczę — w życiu nie wszystkie ścieżki różami wysłane; kto chce wysoko się dostać, ten musi niekiedy na cierń nastąpić.

— Rozumiem cię kochany zięciu, a czego nie rozumiem

w to wierzę na oślep. Słuchaj moje dziecię twojego męża; jestem przekonany że wie on dokąd zmierza; nie daleka przyszłość wykaże ci prawdę jego słów.

— Hrabina wiele uczyni, skoro sama siebie posłucha; wiem z doświadczenia że doskonale pojmuje kwestję wspólnej naszej przyszłości; z radością widzę wdzięk obejścia, jakiem szczególnie zaszczyca ludzi, którzy mogą stanowczy wpływ wywrzeć na nasze losy. Wyjazd mój, pod tym względem, uważam za szczęśliwy wypadek; młoda kobieta, bez męża, więcej jeszcze sprawia wrażenia, zwłaszcza bez męża zazdrośnika, tyrana, który przymusza nieszczęsną ofiarę do nadludzkich poświęceń, który nakazuje jej bawić się, rozrywać, słuchać pochwał, przyjmować hołdy słusznego uwielbienia. Panie hrabio, jesteś ojcem; czas abyś wystąpił w obronie córki.

— Nie, nie; mój ojciec nie potrzebuje się trudzić; mam i ja dość sił, i w ostatecznym razie potrafię je wydobyć na własną obronę. Tymczasem, muszę jak widzę, poddać się wydanemu na mnie wyrokowi; oświadczam więc że przyjmę go bez szemrania, pod warunkiem atoli że srogi sędzia zobowiąże się jak najprędzej powrócić; nie odmówię żadnych zaprosin, żadnego balu; wytańczę wszystkie walce i kadryle od pierwszego do ostatniego. Jeżeli każdego wieczora, ciemne nasze okna zapowiadać będą przechodzącym że państwa nie ma w domu, natomiast gdziekolwiek zabawa światło zapali, zaręczam że nie przybędę ostatnią.

— Zwolna hrabino! skoro raz piękne twe usta przychylasz do czary, chciejże ją do dna wychylić. Na honor! Od mojej osoby blask przecie taki nie bije, aby bez niej wieczne ciemnoście dom nasz miały ogarnąć. Towarzystwo przyjęło zwyczaj zbierania się raz na tydzień w naszym salonie. Ciżba jaka wówczas do nas się tłoczy, nie tyle zapewne szuka gospodarza, ile daje się porywać urokowi obejścia gospodyni. Niemiłosierdziem byłoby pozbawiać tłum znakomitych osób przyjemności, za którą ubiega się całe miasto. Przyjmowanie u siebie w naszem położeniu, uważam za ważniejsze niż spotykanie się przypadkowe z ludźmi na cudzej posadzce. Świat, dla młodej kobiety i gospodyni zarazem, podwójne ma względy.

— Przyjmować co tydzień w domu? — Mój mężu! — Sama jedna, jak wszystkiemu dam radę?

— Zbyteczna skromność drogie dziecię! rzekł Sokolnik. Na nieszczęście — zwykle mówię: na szczęście — ale w tym razie powtarzam: na nieszczęście jestem twoim ojcem i nie wypada mi prawić ci grzeczności, inaczej powiedziałbym bez ogródek: że mało znam kobiet, któreby w twoim wieku umiały z równym wdziękiem nastarczać najróżnorodniejszym rozmowom, zapytaniom, uwagom. Są pewne salony, gdzie w istocie, nieznajomy mógłby sądzić że ty luba moja córeczko jesteś gospodynią. Nieprawdaż szambelanie?

— Pan hrabia mówisz, że mało znasz kobiet podobnych twojej córce, ja dodam jako mąż wyjeżdzający, a tem samem wolny od osobistych wyrachowań: że nie znam żadnej.

— Ach mój Boże! — zawołała Marja, śmiejąc się srebrnym swoim głosem; wszystko co słyszę przekonywa mię że dotąd mało jeszcze mam doświadczenia. Czy każdy mąż na wyjezdnem jest równie uprzejmym, czy każdy ma do powiedzenia tyle pięknych rzeczy?

— Każdy hrabino, który z równą mojej tęsknotą myśli o powrocie i którego nawzajem przyjazd równie jest upragnionym. Zgodziliśmy się więc, że Wtorki nasze trwać będą pomimo mojej nieobecności. Kilka odwiedzin w stosownej porze u księżnej kanclerzyny, która i bez tego dziwnie jest na nas łaskawą, sprawią że książę minister nie odmówi naszemu domowi swojej bytności. Pojmujesz pan hrabia ile nam na tem zależy, aby książę naocznie przekonał się o przyjęciu jakiego świat doznaje w naszym salonie. Cesarz, w wyborze ludzi, których zaszczyca swem zaufaniem, mocno dba na te szczegóły.

— I słusznie czyni — odparł Sokolnik; człowieka najlepiej poznać we własnym jego domu.

— To się nazywa słodzić lekarstwo — przerwała Marja, mrocząc oblicze z dziecinnym frasunkiem; obarczać żonę całym kłopotem, samemu zaś jechać — gdzie? — Do Paryża; jechać do Paryża — samemu, bez żony! —

— Niech i tak będzie! ja pokażę się sprawiedliwszym i nie powiem na jakie nazwisko zasługuje podobny zarzut.

Czyliżbym czekał twojego życzenia, czyliżbym na klęczkach go nie uprzedził, gdybym mógł spodziewać się w Paryżu kilku chwil wolnych od zatrudnień i chociaż kilku miesięcy pobytu? Trochę cierpliwości hrabino! nie jesteśmy zaklęci na życie w Wiedniu do śmierci; wyjedziemy prędzej może niż myślisz — do Paryża lub do innej jakiej stolicy — ale poprzysiągłem że nie wyjedziemy jak prości, zwyczajni podróżni. Gdziekolwiek się udamy, stanowisko nasze musi być świetniejszem niż to, jakie dotąd zajmujemy w Wiedniu.

— Do Paryża — lub może do Włoch? Ach mój ojcze, proś go niech powie — kiedy i jak? — Milczy! — Sam wyjeżdża i za pociechę zostawia mi ciemną jakąś zagadkę — od urodzenia nie odgadłam jeszcze żadnej zagadki; wszak prawda mój ojcze?

— Mniemam moje dziecię że w tej chwili nie masz nad czem łamać sobie głowy; mąż twój, jak każdy szlachcic wiernie służący tronowi, ma prawo do godnego wynagrodzenia. Wprzódy jednak, ludziom jemu podobnym nie przystoi stawiać zamków na lodzie. W swoim czasie dowiesz się o wszystkiem; zaufaj mu, pilnuj drogi jaką ci wskazuje i pomyśl że niespodzianka lepsza od zawiedzionej nadziei. Znałem ludzi mniej świetnego urodzenia, daleko mniej uzdolnionych, a przecież, gdybyś widziała jakie dziś piastują urzędy, godności! —

— Mówisz pan hrabia jak przywiązany ojciec i człowiek świadomy obrotów życia. Nadzieja, że hrabina w każdym razie może odwołać się do równie mądrych rad, podwaja moją spokojność. Ale czas upływa; zaprzątamy się fraszkami wtedy, gdy należałoby przypomnieć ważniejsze rzeczy, główny przedmiot rozmowy. Z próżnemi rękami nie odważę się wrócić z Paryża, dotąd zaś nie widzę śladu żadnego spisu. Słyszę w bramie turkot pojazdu; posłaniec nie śmie pożegnać się, nie otrzymawszy wprzódy poleceń.

— Czyliż nie otrzymał już polecenia? — Rzekła tkliwie Marja podając mężowi obie dłonie — jedynego i nad wszystkie upragnionego: śpiesznego powrotu.

— I święcie go dotrzyma — odrzekł szambelan, przyciągając z lekka żonę ku sobie i składając na jej czole uro-

czysty pocałunek. Do widzenia! — Nie zapominaj że dziś bal u Lichtenstejna; księżna będzie na nim bez wątpienia i książę kanclerz zapewne. Uważałem że minister lubi młode kobiety, które nad oddawanie się namiętne tańcowi, przenoszą z nim chwilę rozmowy. Obiecałem Lichtenstejnom że balowi poddani nie długo będą czekać na swoją królowę; jeden tylko z nich pierwszy i najwierniejszy, myślą zaledwie będzie mógł być obecnym. Panie hrabio — listy i rozkazy rodziców i córki każ odesłać do kancelarji księcia ministra; dojdą mię w pałacu cesarskiej ambasady. Jakże więc? — Przyrzekamy być dziś piękną i wypromienić widnokrąg salonów Lichtenstejna? — Widzę obietnicę w oczach i żegnam cię moja luba na tem wspomnieniu. —

Szambelan uścisnął żonę i wnet, jakby zawstydzony mieszczańskiem nieco obejściem, pragnąc nadto nie przedłużać bolesnej chwili rozstania, przesłał ręką hrabinie ostatnie pozdrowienie i wypadł z pokoju.

Sokolnik za nim podążył: oba jakiś czas tajemnie rozmawiali — zięć widno kładł teściowi ważne rady na ucho, magnat nawzajem, dawał mu do zrozumienia że pojmuje sprawę i dopilnować jej potrafi. Szambelan wreszcie zatrząsł mu dłoń, zbiegł szybko ze schodów, a gdy Marja spieszyła do okna aby raz jeszcze ujrzeć odjeżdżającego, pocztyljon uderzył w trąbkę, czwórka dzielnych koni ruszyła z kopyta i powóz, w mgnieniu oka, znikł na zakręcie ulicy.

Wyjazd męża i rozmysły nad wieczornym balowym strojem, mrokiem głębokiego zadumania powlekły oblicze młodej małżonki. Wkrótce atoli ostatni szereg niepokojów wziął górę nad jej wyobraźnią; hrabina przebiegła w pamięci zapasy obronnych i zaczepnych swoich sił, przypomniała sobie nie bez trwogi że na balu u Lichtenstejna miał być cały dwór i kwiat wiedeńskiego towarzystwa.

Niezupełność ta zaufania w potęgę własnych wdzięków dowodziła, że szambelanowa obok innych zalet mogła jeszcze poszczycić się skromnością, tym wieńcem wszelakiej krasy, tą najdzielniejszą ponętą jaką prawdziwa piękność zdoła roztoczyć.

Bez wątpienia Marja z usprawiedliwioną dumą mogła

stanąć przed zwierciadłem i bez obawy postawić obok siebie resztę płci pięknej z modnego świata. Wymowniej wszelako od zwierciadła, powtarzały jej tę prawdę cisnące się ku niej tłumy, perły i róże pochwał i ubóstwiań, jakiemi powszechny zapał uścielał jej drogę.

Wyjazd szambelana podwoił natarczywość oczarowanej zgrai.

Marja wspierana, naglona radami ojca, wiernie spełniała mężowe polecenia. W dzień przyjmowała mnogie zajazdy z odwiedzinami; przed zachodem słońca wyciągnięta w pysznym powozie ukazywała się w Praterze, wieczorem po teatrze spieszyła w świat; we Wtorki, nacisk powozów zalegał ulicę i dziedziniec domu Fürstembergów.

Nieobecność gospodarza mało kto postrzegał; gospodyni była dla wszystkich dostatecznem zajęciem, dla wszystkich mówimy, od czasu bowiem swego osamotnienia, hrabina osądziła stosownem każdemu przyznać równe i jednakowe prawa do swej uprzejmości; wyrzekła się poufalszego nieco obejścia z ludźmi, których osobistość i usilne starania zasługiwały na bliższe względy — najweselsze uśmiechy, spojrzenia i słowa zachowywała dla księcia kanclerza i dla kilku podeszłych dygnitarzów, o pozyskanie których Sokolnik upornie nastawał.

Obronne to stanowisko nie uszło uwagi bystrzejszych badaczów. Hrabina myślała o obronie, oczekiwała więc zaczepki, gromadziła swoje siły, a jednak pierwsza cofała się przed walką, sama zatem musiała uważać niedostateczność odpornych środków; lękała się widocznie stanowczego spotkania, kto wie nawet czyli w ostatecznym razie, zamiast boju nie byłaby przeniosła zdanie się na łaskę szczęśliwego zwycięzcy?

Teraz lub nigdy! — Zawołały w duszy przedsiębiercze umysły; wojskowi i cywilni, świeccy i duchowni, dworzanie dyplomaci, cudzoziemcy i miejscowi, młodsi i starsi, niżsi i wyżsi: uczuciem, znaczeniem, podstępem, blaskiem, uporem, modlitwą, łzami, przysięgą, zaklęciem i wyklęciem, każdy z właściwą sobie bronią rzucał się w szranki, każdego gnała nadzieja zdobyczy pierwszego rzędu tryumfu — który reszcie

spółzawodników, ostatnią kroplę krwi miał zaprawić jadem zazdrości.

Zaprawdę, pierwszy kochanek hrabiny nie byłby zamienił swego losu, bogdaj za godność księcia kanclerza. Tak się przynajmniej najzapaleńszym zdawało.

Mnogość hufca zalotników broniła Marję przed niebezpieczeństwem; z dwoma lub co gorzej z jednym, sprawa byłaby trudniejszą. Hrabina, gwoli wrodzonej dobroci serca, o której zdarzyło się nam tyle już razy wspominać, wolała każdemu zostawić nadzieję, niżeli od razu wtrącać w rozpacz wszystkich mniej jednym. Niedoświadczona w wyrachowaniach, odgadła jednakże że spójnią, dzierżącą do koła niej liczne zastępy, była niepewność, z jaką każdy z wielbicielów oczekiwał swego wyroku.

Bez wątpienia, córka Sokolnika błyszczała zalety wyłącznemi i nieprzezwyciężonym urokiem.

Oprócz wygody z wzmagających się codzień hołdów gęstego orszaku, sława nieposzlakowanej cnoty i wiary małżeńskiej, miała także swoją wartość, tem bardziej że w Wiedniu przymiot ten od pewnego czasu zaczynał stawać się coraz rzadszym, być może i dla tego że nikt za nim zapalczywie się nie ubiegał. Marja atoli nie była jeszcze tak głęboko wtajemniczoną w szczegóły życia stolicy. Kraków nie od razu zbudowany — wiadome przysłowie. Jakież wreszcie złe skutki mogły wyniknąć z zabawki do której obie strony przystępowały dobrowolnie? Rozpacze, cierpienia z niepodzielanych uczuć, kończyły się zwykle na słowach. Ci którzy najzacięciej rozpędzali się na poświęcenia, którzy najsrożej grozili samobójstwem, żyli niczego sobie nie odmawiając, bawili się wesoło, napełniali miasto odgłosem hucznych rozrywek; przed Marją wprawdzie, stawali z tragicznym wzrokiem, z rozpaczą na twarzy; w chwilę później, gdy mniemali że na nich nie patrzyła, każdy spokojnie wracał do zwykłego sobie usposobienia.

Na świecie, jako na deskach teatru, nie codzień grano komedję, a skoro ją grano, sztuka, na dwudziestu czterech godzinach trzy ledwo zabierała; po ostatnim akcie, zamordowana ofiara, zdradzona małżonka, obłąkany miłością kochanek

i ojciec okrutny, zasiadali do wieczerzy przy jednym stole. Dodać należy że aktorowie z nadwornego teatru odgrywali role z doskonałością, o jakiej w rzeczywistym świecie żaden graf, baron lub książę nie śmiał nawet zamarzyć.

I taki to dźwięk słów, szereg starań, zachodów, przysiąg, westchnień, gestów, wykrzykników, nazywał się uczuciem — miłością? —

Biedna jaka mieszczańska dziewczyna mogła dać się uwieść równie grubym złudzeniom; kobiecie, która dzięki urodzeniu, z wyższej sfery poglądała na sprawy tej ziemi, nie godziło się uganiać za wymysłami czczej, niedowarzonej wyobraźni. Miłość była ideałem, który z nieba zesłany niegdyś na ziemię, dawno już był wrócił do pierwotnego swego siedliska. Dziś — ten i ów stroił się w wyraz, kłamał uczucie pragnąc dać wysokie wyobrażenie o wyłączności swojego ducha, w treści jednak każdego gnała próżność i potrzeba udawania, zamieniona w naturę. Próżność ludzka posługiwała tylko do powszednich celów; uczuciowej wagi niepodobna było przywiązywać do niej więcej, niż do blasku djamentowego napierśnika lub djademu.

Marja uznając dogodności jakie jej niósł w oficrze rój zalotników, nie mogła na dnie serca znaleźć dla nich innego odwdzięczenia, oprócz pogardy głęboko ukrytej pod kwieciem wdzięcznego obejścia, jedynej zapłaty, jaką świat przywileju wynagradza przydatne sobie ale niekonieczne do życia istoty. Przysięgi i namiętne oświadczenia, nie zasługiwały na więcej. Ach, nie pierwszy to raz młoda hrabina przekonywała się że uroczyste słowa o miłości, o poświęceniu, spełzają na niczem skoro im przyjdzie spotkać się z prawdziwem zaofiarowaniem samego siebie, skoro los o narażenie życia zawoła! Bóg, dzięki zapewne modlitwom matki i kapelana, pokazał jej otchłań, kiedy jeszcze pora była wstrzymać się na brzegu. Zamiast nudnego, jednostajnego życia w galicyjskiej wiosce, niebo pozwoliło jej zakosztować pełnego bytu w stolicy, roztoczyć przed godnemi oczyma blask wdzięków i zalet, stanąć śród świetnego towarzystwa wyrocznią mody, bóstwem salonów, przedmiotem powszechnych uwielbień.

Od niejakiego czasu świat zdawał się nie mieć oczu jedno dla Marji.

Zwracać na siebie oczarowany wzrok ogółu, przykuwać go nieustannie do swego oblicza, świecić ludziom gwiazdą poranną, światłem podziwu i nadziei — czyliż bożemu stworzeniu wolno czegoś więcej na ziemi wymagać? —

Marja rozkwitała na duszy i na ciele pod ogniem rozmiłowanych w niej spojrzeń; zapytana o sen jakiego życzenia, byłaby odpowiedziała prośbą o uwiecznienie teraźniejszości; nad gwar pochlebny tłumu nie znała milszej muzyki nawet tej, której w obecnej chwili jechała słuchać do teatru włoskiej opery.

Wiedziało zepsute dziecię, że dla większej części publiczności, teatr nie przedstawiał zajęcia dopóków w jej loży nikogo nie było. Weszła, jak zwyczaj nakazywał, przy końcu pierwszego aktu. Szmer zaszumiał po sali; szkła zwróciły się w jeden punkt, rzucono w niebaczność kawatynę pierwszej śpiewaczki; poddani witali władczynię.

Hrabina udała że nie widzi parteru; usiadła naprzeciw sceny, pochyliła ku ramieniu piękną głowę, zatopiła wrzkomo uwagę w falach uroczej melodji.

Wyraz spokojnego zadumania nowego wdzięku dodawał jej obliczu; kto wie gdzie myśl jej błądziła porwana na skrzydła harmonji? — W niejednych piersiach silnie zakołatało serce; niejedno westchnienie wyrwało się w ślad za rozbłąkaną myślą królowej.

Marja zaczynała na prawdę zapominać się i bezwiednie kołysać nerwy namiętnym śpiewem Włochów, gdy nagle, uwaga jej oderwana od sceny, w sali znalazła ważniejsze zajęcie.

Z przeciwnej strony teatru, drzwi próżnej dotąd loży, otwarły się z trzaskiem; weszła młoda kobieta, wstrzymała się chwilę na progu, jakby nie rada z przerwania swym wstępem powszechnej uwagi i żywo usiadła w głębi, ciekawa przedewszystkiem muzyki.

Nowo przybyła nie miała powodu się ukrywać; nikt dla niej nie pożałował odwróconego zajęcia.

Czarne jak heban, wijące się włosy, dziwnie odbijały od

wytwornych kształtów jej twarzy; wielkie tejże barwy oczy, głębokie, nieskończone, skrzyły wyrazem potęgi i woli; wyniosła postać, z lekkiem uczuciem dumy wzniesiona głowa, przypominały piękne obrazy biblijnej Judyty.

Była to kobieta pierwszej młodości, ale rozwinięta w całą siłę wdzięków, jako owoce południa dojrzewające na wiosnę.

Z loż, z parteru, z galerji, obrócono wzrok ku nieznajomej; lękano się zaufać pierwszemu wrażeniu; podniesiono szkła, przetarto je, nastrojono; zakołysały się głowy jak kłosy na łanie; znajomi, kto gestem, kto słowem, ten zbliska, ów zdaleka, dawali sobie znaki; dopytywano się o nazwisko; nowe i niesłychanej piękności zjawienie wzbudziło powszechną ciekawość.

Marja, sama nie mogła się oprzeć silnemu uczuciu podziwienia; nadaremnie usiłowała odgadnąć kto była młoda kobieta; nie spotkała jej dotąd w żadnym salonie, a jednak z postaci jej, z ruchów, z drobnych szczegółów wykwintnego stroju, łatwo można było poznać że należała do wysokiego towarzystwa.

Akt kończył się, zapadła zasłona; w sali głuche szepty ustąpiły miejsca półgłośnym rozmowom, tyczącym się widocznie ostatnio zajętej loży, od której nie odrywano oczu gwoli zuchwałemu a przyjętemu na publicznych widowiskach zwyczajowi.

Przestanki w teatrze były zwykle chwilą, gdzie Marja ciągnęła ku sobie prąd spojrzeń i odwiedzin. Hrabina wówczas, zwycięsko zastępowała świetnej młodzieży muzykę a nawet tańce; tłum garnął się ku jej drzwiom, rój szkieł celował w jej lożę.

Dziś, po raz pierwszy upływały minuty a nikt nie przybywał; twarze widzów jednozgodnie zwracały się w stronę przeciwną.

Marja lekko przygryzła usta; chmurka niezadowolnienia przemknęła po jej czole, ciekawość jęła wyciągać myśl na męki; hrabina dumała nad srogiemi środki ku powróceniu do posłuszeństwa zbuntowanych dworzan.

Gdyby przynajmniej wiedzieć komu zawdzięczała nieprzebaczone osamotnienie? —

Drzwi loży uchyliły się zwolna i wszedł markiz Viomenil, młody sekretarz francuzkiego poselstwa.

Marja odetchnęła; Francuz nigdy od niej nie doznał równie uprzejmego przyjęcia.

— Przybywaj pan — rzekła sypiąc mu od razu wszystkie róże uśmiechu — zabłąkałam się dziś w teatrze i dotąd jeszcze błądzę; jeżeli nie podasz mi pan nici, nie wybrnę z labiryntu domysłów.

— Gotów jestem, odparł Viomenil, Minotaura nawet zamordować; racz mi go pani tylko wskazać.

— Nie żądam tak wielkiej ofiary. Czyliż pan nie przewidujesz że zagadka dzisiejszego wieczoru, równie żywo mię zajmuje jak innych? — Kto jest ta zachwycająca kobieta naprzeciw nas w loży? — Przyznaj pan że w życiu nie widziałeś piękniejszego stworzenia.

— Przyznam, jeśli pani rozkażesz, ale postąpię wbrew memu przekonaniu. Buckingham zapytany przez królowę Annę, którą z dworskich dam uważa za najpiękniejszą? Odpowiedział że trudno sądzić o gwiazdach w przytomności słońca.

— Na miłość boską, zostawmy dawne historje! — Proszę pana o nowoczesną; niechże raz dowiem się jak mamy nazywać to cudowne zjawisko?

— Mówisz pani o kobiecie, która zdaje się chcieć ubiegać o palmę piękności w naszem towarzystwie? — Biedaczka! — Zapóźno przybyła; pierwsze miejsce oddawna już zajęte.

— Piękna nieznajoma należy więc do towarzystwa? — Dla czegoż dotąd nigdzie jej nie spotkałam?

— Hrabina Zapary wczoraj dopiero przybyła z Medjolanu.

— Do Wiednia — na stałe mieszkanie?

— Tak słyszałem; młoda małżonka, od kilku zaledwie miesięcy nosi nowe nazwisko. Włoszka z urodzenia; w żyłach jej płynie krew Boromeów i Barberinich.

— Sama jedna — bez męża?

— Hrabia Zapary nadejdzie zapewne przy końcu sztuki; może nawet wcale się nie pokaże.

— Jakto — od kilku miesięcy pobrani i już z sobą nie żyją?

— Przebacz mi pani; małżeństwo to dotąd cieszy się niezachmurzoną zgodą, ale hrabia ma swoje zwyczaje, hrabina zaś pragnie uchodzić za wzór wyrozumiałości. — Mówią że po żonie, główną jego namiętnością są posiedzenia przy zielonym stoliku. Hrabia uchodzi za jednego z najgrubszych graczów. Bardzo być może że dawny jego przyjaciel lord Fitz-William zaprowadził go dziś na tygodniową partję do rossyjskiego posła.

— W takim razie, może niesłusznie umieszczasz pan namiętność do żony przed namiętnością do gry?

— Hrabina podobno mojego jest zdania; kto wie czyli dla własnej spokojności nie woli widzieć męża topiącego wzrok w malowanych niżeli w żywych obrazkach.

— Ach, pozwala sobie być zazdrosną! — Rozumiem! — Inaczej nie byłaby Włoszką.

— W istocie, powiadają o niej, że wyraz jej twarzy wiernie odbija duszę; zamknięta w sobie, mało rozmowna, z łatwością przechodząca w ostateczne wrażenia, namiętna, gwałtowna — podobne o niej krążą pogłoski.

— Jednem słowem, panie margrabio, niepospolita kobieta; taką przynajmniej wydaje się na pierwsze wejrzenie i taką być musi, skoro nie dawniej jak wczoraj przybyła, a już miano czas zebrać o niej tyle szczegółów.

— Moje wiadomości, hrabino, pochodzą z dawnego źródła; widziałem panią Zapary w Medjolanie i w Wenecji kiedy była jeszcze panną. Pięknością nigdy zbyt mię nie uderzała; nie przepadam za tego rodzaju wdziękami. Kilka ciekawych zdarzeń które z jej powodu opowiadano, zwróciły na nią powszechną uwagę.

— Ach, kilka zdarzeń! — Musisz pan je pamiętać?

— Jak przez mgłę; kongres w Weronie, na który towarzyszyłem wówczas panu Chateaubriand, wyłącznie wszystkich zaprzątał. Przypominam sobie jednak że chodziła rzecz o dwóch pretendentach do ręki, obu śmiertelnie zakochanych. Jednym był synowiec ministra Hardenberga, drugim, jeśli się nie mylę, grand hiszpański książę Infantado; oba ludzie młodzi, niedoświadczeni, i jak później się pokazało, nadwerężonego nieco umysłu — zapewne w skutek rozdraźnienia namiętnych uczuć.

— I cóż się z nimi stało? — Uprzedzam że akt nie długo się zacznie; historja pańska zbyt mię zajmuje, abym przed podniesieniem zasłony nie miała usłyszeć jej rozwiązania.

— Obu zalotników spotykałem często razem; żyli z sobą w przyjaźni, każdy przekonany że szala pomyślnego wyroku chyliła się na jego stronę. Zaręczano mi że hrabina z dziwną zręcznością utrzymywała ich w tem przekonaniu. Później atoli, gdy przyszło stanowczo się wytłumaczyć, minister, dla niewiadomych przyczyn, zabronił synowcowi myśleć o małżeństwie, wyprawił z depeszami do Londynu, chcąc umieścić go tam przy ambasadzie; hrabina zaś przyzwyczajona do ciągłego widoku dwóch gorejących serc, nie chciała słyszyć o jednem i z niczem odprawiła hiszpańskiego granda.

— I na tem koniec?

— Bynajmniej; depesze ministra nie doszły do Londynu.

— Dla czego?

— Nieszczęśliwy kochanek, kulą z pistoletu życie zakończył.

— Ach mój Boże! — A drugi?

— Książę Infantado nazajutrz po odmowie wstąpił do klasztoru Kartuzów gdzie wkrótce — jak powiadają — zakonni bracia zamęczyli go w kościelnych podziemiach za jakieś dwuznaczne wyspowiadanie dwóch mniszek z zakonu Urszulinek; historji tej nigdy nie można było w szczegółach na jaw wydobyć.

— Biedna kobieta — być przyczyną tylu strasznych wypadków! — Ileż musiała wycierpieć! —

Viomenil uśmiechnął się.

— Zabójstwo z miłości, rzekł po chwili, nie szpeci pięknej kobiety dla której zostało dokonanem. Krwawe wspomnienie wdzięcznie przystaje do czarnych włosów hrabiny. W Medjolanie lud śpiewa o tym wypadku balladę; jestem pewny że heroina poematu nieraz z przyjemnością jej słuchała.

— Dodatek złośliwych języków, panie margrabio; przypatrz się pan tym zachwycającym rysom — Bóg nie odziewa zatwardziałych serc w tak powabne kształty. Czy sądzisz pan, że hrabina zechce od razu wejść w nasze towarzystwo, przyjąć nasz tryb życia? —

— Bez wątpienia. Jeżeli pani, jak ośmielam się zgadywać, masz zamiar być dziś na wieczorze u Dietrichstejnów, zaręczam że spotkasz tam zajmującą Włoszkę.

— Miałam tę myśl dzisiejszego poranku, ale teraz, wątpię czy przyprowadzę ją do skutku. Nieznośny ból głowy; próżno spodziewałam się rozpędzić go muzyką.

— Przez przyjaźń dla Dietrichstejna, nikomu na dole nie udzielę tej groźby; nie chcę mu opustoszeć salonów. —

Akt zaczynał się; dźwięki muzyki przerwały dalszą rozmowę; Viomenil wyszedł z głębokim ukłonem, unosząc jedno z tych spojrzeń, które na cały wieczór wypromieniło mu oblicze.

Był to ostatni błysk pogody z czoła Marji.

Hrabina sama nie umiała zdać sobie sprawy z chmur, jakie coraz gęściej zachodziły jej na umysł. Kilka następnych odwiedzin w loży i rozmów, z których każda zataczała się około nowo przybyłej Włoszki, zmęczyły ją jednostajnością przedmiotu, zachwytów nad nim i uwagi. Ból głowy z udanego, stał się rzeczywistym; Marja wróciła do domu pierwszy raz niezadowolniona z siebie i z ludzi, zmarszczona na świat, gniewna na długą nieobecność męża, w braku innej wyraźnej przyczyny nieusprawiedliwionych trosk i — nieusposobień. Spiewacy włoscy niegodziwie dziś śpiewali; tenor fałszował bez miłosierdzia, orkiestra grała na rozstrojonych instrumentach; w muzyce włoskiej jak we wszystkiem co pochodziło z Włoch, niewykształcone tylko umysły mogły znajdować upodobanie. Towarzystwo wiedeńskie nie zawsze było zabawnem; tylu ludzi nudnych i bez smaku, zatruwało nieraz najweselsze chwile!

Gdy tak Marja, w złotej przędzy swojego życia, szarą nić zaczynała dostrzegać, pani Zapary tymczasem, wprowadzona tegoż samego wieczora do Dietrichstejnów, wstępnym bojem rozpościerała swoje zabory.

Tłum dworskiej gawiedzi chłośnięty nowością zjawienia, nawalnie parł się ku Włoszce; rozpowiadano o niej dziwne szczegóły, unoszono się nad szlachetną wyniosłością postawy, nad żarem namiętnego wzroku, nad gęstemi sploty kruczych włosów, które jak węże Gorgony spływały, wiły się po

śnieżnem jej łonie; ulegano mimowolnie nieubłaganym wdziękom, jakiemi dumna córka italskiego nieba, na obojętnych nawet umiała wymuszać uczucie niewolniczego uwielbienia.

Hrabina Zapary przywoziła z sobą nowy rodzaj obejścia, nie mglisto tęskny, nie smętnie powłóczysty, ale spokojny, poważny jak laguna w cichą noc letnią, lub iskrzący jak rozżarzone skwarem południowe niebiosa.

Stosownie do dnia, do niepojętych usposobień ducha, można się było od niej spodziewać uśmiechów wytęczowanych weselem, spółczuciem, miłością niemal płomiennych spojrzeń, lub też zimnego, kaleczącego pogardą przyjęcia.

Najzawołańsi zdobywcy serc wpadli w rozpacz, w zwątpienie; nikt nie mógł zrozumieć zakrętów dziwacznego tego charakteru, nikt upatrzyć sobie stałego stanowiska; najbieglej przemyślany zamiar spełzał w obec niespodzianych obrotów zmiennego jej umysłu.

Hrabina przyspieszonym biegiem pędziła po berło mody, podczas gdy mąż zajęty, w noc grą, w dzień końmi, ułatwiał jej drogę, sypiąc pod nogi pięknej małżonki niezmierne swoje dostatki. Dom Zaparych zajaśniał zbytkiem, o jakim w Wiedniu nawet nie miano zupełnego wyobrażenia.

Marja uczuła chwiejący się na głowie wieniec wszechwładztwa. Orszak jej rzedniał, tu i owdzie już próżnią przeświecał; kilku uznanych wielbicielów pogoniło za nowem bożyszczem — wielu jednak dotrzymało wiary pierwszej chorągwi; zapał nawet ostatnich zdawał się zwiększać z wzrastającem niebezpieczeństwem.

Nędzna pociecha, tam gdzie nie chodziło o potęgę uczucia, ale o liczbę orszaku!

Marja, z czysto biernego, obronnego dotąd stanowiska, osądziła koniecznem przejść do zaczepnych kroków. Straszny aforyzm, że kto nie był wszystkiem był niczem, groźnie wystąpił jej przed umysł; dla samego uczucia własnego szacunku, dla godności nazwiska Fürstembergów, nie wypadało dać się wyprzedzić w szlachetnym zawodzie.

Pańska krew prędzej potrafi ściąć się w żyłach na wieki, niżeli znieść upokorzenie. Na wsi wolno kilku dziewkom być jednako rumianym, w świecie przywileju jest tylko miejsce

na jedną piękną kobietę. Marja nie darmo była córką galicyjskiego magnata i żoną austrjackiego grafa.

Hrabina Zapary postrzegła się, kto i w jakim celu zawadzał jej na drodze; otwarcie wyzwana do boju, nie szczędziła wszelkich środków i fortelów, jakie podawała jej niepospolita krasa i wrodzona ojczystemu charakterowi zdolność do sideł, zdradliwych ciosów, zasadzek, podstępów.

Nastąpiły istne turnieje; walka dwóch pięknych rycerek o obojętną im w istocie ciżbę pochlebców, dziwaczna walka, w której ciosy padały nie na walczących ale na świadków.

Waliły się z nóg barony, grafy, dyplomaty, cywilni i wojskowi, swoi i cudzoziemcy, starzy i młodzi, świeccy i duchowni.

Stronnicy rozdzielili się na dwa obozy. Szala chwiała się niepewnie; włoska popędliwość i chytre zastawki ustępowały nieraz rzewnej północnej tęsknocie, słodkiej melodji głosu, trwożnie zabłąkanym pieściwym spojrzeniom.

Marja poczuwała w sobie niewyczerpane zasoby sił; jedno za drugiem wybłyskiwały w niej skryte źródła zalotnych ponęt, uroków i czarów. W krótkim czasie, z zadziwiającą dokładnością, umiała obrachować wartość i moc każdego słowa, każdego uśmiechu, westchnienia, poglądu. Niepodobieństwem stało się dla niej, na chwilę o sobie zapomnieć, tak bujnie świat rozwinął w niej wrodzone zalety.

Dotąd, obie szermierki potykały się tylko o samą mnogość orszaku; gonitwa miała nabyć nowego zajęcia w razie, gdyby jeden i tenże sam cel przedstawił się nagle roznamiętnionym spółzawodnictwem ich usiłowaniom.

Sposobność nie długo dała na siebie czekać.

Szczęśliwem zdarzeniem wracał właśnie z podróży i wchodził w towarzystwo arcyksiążę — dajmy na to, Robert Luitpold, pan w kwiecie wieku, i jak mówiono, chciwy życia i dziwnie pochopny ku miłosnym zapędom.

Arcyksiążę nie błyszczał urodą; niezaprzeczony spółdziedzic habsburgskiej postaci i rysów, na drobnem ciele, dźwigał ogromną głowę; spodnią wargę opuszczał ku podbródkowi, ślinił się bez ustanku, wyłupiał bezbarwne oczy po obu stronach zwieszonego pałkowatego nosa, słowem — z pozoru,

wielce przypominał poetyczną igraszkę dawnych Hellenów, Satyra, którego także skłonności i popędy, powszechna wieść mu przypisywała.

Arcyksiążę nie usychał również od rozumu; zapytywany, często odpowiadał na opak, otwierał szerokie usta, śmiał się nieraz w braku słów, hałaśnie nad wszystkiem zadziwiał; na pokłonach atoli dostatecznie się rozumiał i pochlebstwa dworzan, jak przystało na człowieka jego znaczenia, łaskawie raczył przyjmować.

Wewnętrzne te i zewnętrzne oznaki, które zwyczajnego człowieka nie daleko byłyby zawiodły, w niczem nie przeszkadzały stworzeniowi blisko spokrewnionemu z namaszczoną osobą cesarza. Arcyksiążę przedstawiał nie żadną ludzką osobistość ale zasadę; ród jego nie pozwalał zwracać uwagi na powierzchowność; ani rozsądzać o wartości jego rozumu.

W książętach mieszczą się zwykle utajone skarby mądrości i żalet, o których ludziom z przyzwoitego towarzystwa, nie godzi się powątpiewać. Nikt też w ówczesnym Wiedniu o żadnym księciu nie wątpił. Zaszczyt otarcia się chociaż o dostojną osobę, wysoko był cenionym; przepadali za nim mężczyzni, przepadały i kobiety.

Arcyksiążę, od pewnego czasu, z widocznem upodobaniem zatrzymywał się przed panią Zapary; na Marję również wytrzeszczał zaiskrzone oczy — spotkawszy obie razem, stawał nieruchomy, słupiał, nie wiedział ku której wprzód się obrócić.

Dostrzeżono że wahał się nad wyborem. Obie kobiety postanowiły oszczędzić mu długich udręczeń niepewności; każda w podesłaniu sobie Arcyksięcia pod nogi, upatrywała godne swoich wdzięków zwycięstwo, tryumf do pozazdroszczenia i nowy blask w towarzystwie; upokorzenie spółzawodniczki i ostateczne ustalenie swojego wszechwładztwa; synowiec bowiem cesarski, przykładem swoim, w tę lub w ową stronę, resztę orszaku za sobą pociągał.

Arcyksiążę zaczynał lękać się gwałtownych porywów Włoszki; Galicja brała górę nad Medjolanem.

Sokolnik, jako prawdziwy patrjota, z radością poglądał na ród swój popierający ojczystą sławę; wprawnem okiem do-

strzegał o co chodziło, gryzł się nieraz widząc wrażenie jakie hrabina Zapary sprawiała na książęcym umyśle i znowu z weselem ręce zacierał, gdy Marja odzyskiwała stracone chwilowo pole.

Być ojcem kobiety zaszczyconej względami arcyksięcia! — Uszczęśliwiony na samą tę myśl, z upojenia, od zmysłów prawie odchodził. Miałże w istocie Bóg szczodrobliwy tak dalece przepełnić miarę jego marzeń, nie pozostawić mu w życiu nic do życzenia? nic — oprócz — —

Sokolnik obejmował się rękami za szyję jak gdyby upatrywał miejsca — nie na to co rzeczywiście zasługiwał, ale na cel dawnych snów, na przedmiot najgorętszych nadziei, na złotego baranka, który miał zgładzić jego niepokoje, dać mu zbawienie od trosk na ziemi, postawić go na równi z pierwszymi dostojnikami cesarstwa. Magnat wzdrygał się pomyśleć o śmierci, nie otrzymawszy wprzód orderu Złotego Runa. Oznaka ta ze wszech miar mu przynależała; w wierności i nieograniczonem przywiązaniu do tronu i do osoby księcia kanclerza, nikt mu nie zdołał wyrównać; nadto — zaciekła tylko niesprawiedliwość mogła nie poczytać za zasługę, ojcowstwa córki upodobanej monarszemu synowcowi.

Przed kilkoma laty, zawistne języki byłyby mu zarzuciły nadwerężony stan majątku; wysoka oznaka Złotego Runa nie przystawała do człowieka podupadłego na kieszeni — dziś, zarzut podobny przez niczyją myśl się nie przewijał.

Dzięki zachodom i niezmordowanej pracy Piotra Poraja, Sokolnik wybrnął z kłopotów, postawił się magnatem nie tylko z rodu ale i z dostatków; majątek jego przyprowadzony do porządku, ożywiony wyłożonemi przez Piotra summami, z każdym dniem wzmagał się w wartość i dostarczał mu nowych zasobów.

Dygnitarz nie pojmował szczególnych przywidzeń szlachcica, który, sam bogaty, zamiast przesiedlenia się do stolicy i używania życia, niewytłumaczoną, niepojętą znajdował przyjemność w borykaniu się z cudzemi kłopotami, w ciężkiej i nieustannej pracy cudzą korzyść mającej na celu.

Ale każdy człowiek miał swoje dziwactwa, swoje namiętności, każdy prawie cierpiał na właściwą sobie mózgową

jakąś chorobę. Sokolnik, z radością dostarczał szlachcicowi obfitego zatrudnienia dla jego monomanji, łaskawie przyjmował owoce jego trudów, obławiał się jego pracą, i raz na miesiąc słał mu dziękczynne listy, w których ze łzami w piórze wynurzał swoją wdzięczność, padał na twarz przed jego gospodarskiemi zdolnościami i poświęcenie drogiego przyjaciela pod niebiosa wynosił.

Piotr nie wiele dbał o grzeczności; wyzwalając majątek magnata od zatraty, która wszystkim zdawała się nieuchronną, w udowodnieniu przed światem niepospolitej biegłości, w pokruszeniu zawad wolą, siłą i pracą, upatrywał dla siebie nieprzezwyciężoną ponętę i dostateczną nagrodę.

Poraj nikogo nie miał na świecie; dla własnej korzyści pracować nie potrzebował, bez pracy zaś żyć nie mógł; musiał wreszcie zaprzepaścić gdzieś gryzącą boleść, jaką rozłączenie z bratem zatruwało mu wszystkie godziny. Pomoc swoją przyobiecał był Sokolnikowi wówczas, gdy mniemał że dla własnej rodziny bierze się do pracy. Nadzieja ta spełzła wcale nie z winy magnata; Piotr, gorliwy czciciel danego słowa, postanowił wynagrodzić zawód uczyniony przez jednego Poraja, dotrzymaniem obietnicy i poświęceniem ze strony drugiego brata.

Sokolnik zostawiał szerokie pole szlachetnej działalności ziemianina, pojmując do pewnego stopnia zadowolnienie, jakie człowiek pospolitego rodu znajdował w pozyskaniu względów dygnitarza zaszczyconego łaską Dworu.

Nowe a niespodziane dowody przychylności, okazywane mu przez arcyksięcia, nie mało pomogły do podniesienia w nim wysokich o samym sobie przekonań; Marja, z każdą chwilą czyniła widoczniejsze postępy na umyśle habsburgskiego otroka.

Szambelan tymczasem wracał z Paryża, wracał z pełnemi rękami doniesień, podsłuchów, ważnych a ze szególną zręcznością zdobytych wiadomości. Ulubieniec fortuny, ani marzył o zaszczycie, jaki w jego nieobeności rozbłysnął nad domem Fürstembergów; nienasycony atoli szczęściem, więcej jeszcze zapragnął; zażądał dla siebie dotykalniejszych korzyści, w istocie bowiem, względy arcyksięcia tyczyły się bardziej

żony niż męża, i cichaczem mówiąc, o tyle tylko miały wartości, o ile pozwalały upożytecznić się do wyzyskania w świecie znakomitego stanowiska.

Szambelan w ostatniem posłannictwie przekonawszy rząd o dyplomatycznych swoich zdolnościach, mógł śmiało pokusić się o ambasadę lub przynajmniej o poselstwo; napomknął więc zlekka o celu swych życzeń księciu kanclerzowi, łasił się mu, nadskakiwał, pochlebiał, patrzył w oczy, szukając przychylnego dla siebie spojrzenia; ale minister, bądź że potrzebował mieć przy boku gotowego na wszystko podwładnego, bądź że nie uważał dostatecznemi jego zasługi, lub że nie miał w tej chwili do rozporządzenia stosownego miejsca — udawał że nie domyśla się natrącań o poselstwie; nie szczędził wprawdzie łaskawych słów, stanowczo atoli zagabnięty, skręcał lub czasami nawet zimno ucinał rozmowę.

Szambelan nie oddawał się rozpaczy, ani nawet zwątpieniu; głowę nie dla ozdoby dźwigał na karku i w kołczanie fortelów niejedną niósł strzałę.

Kanclerz obojętnie go przyjmował — inaczej atoli działo się z kanclerzyną.

Pani ta, popędliwej krwi i namiętnego charakteru, od dostojnego swego małżonka przyjmowała tytuł, bogactwa: więcej nic przyjąć nie mogła — wiek i przeszłość księcia kanclerza wykierowały go na dyplomatę; szaleństwem byłoby żądać po nim wdzięków Adonisa lub Alcydowych grzeczności.

Kanclerzyna z żalem serca musiała za obrębem domowych progów szukać zadość uczynienia niezbędnym warunkom szczęścia.

Poszukiwania te, dzięki Bogu, uwieńczał częsty, łatwy i pomyślny skutek.

Łaskawe jej spojrzenia i wybór, z kolei padły na szambelana. Księżna upatrzyła nową ponętę w oderwaniu młodego i urodziwego męża od młodej i pięknej żony; urok zakazanego owocu wzmagał się do drugiej potęgi.

Szambelan zrozumiał zamiary i sam naprzeciw nim pobiegł; udał rażonego nagłym gromem uczucia, drażnił księżnę z pod oka wejrzeniem pełnem tajemniczego ognia, ale ilekroć

przedstawiano mu ułatwienia do wstępnych kroków — wstrzymywał się jak skamieniały, uciekał niby ścigany głosem strasznego jakiegoś wyrzutu.

Zaprzysiężona małżeńska wiara, przywiązanie do żony, pasowały się w nim zapewne z namiętnością, której gwałtownych oznak nie miał siły utaić. Zdawało się wrzkomo że z roskoszą życie oddałby za księżnę, że szukał tylko przepaści gdzie mógłby wskoczyć dla ostatniego z jej przywidzeń — cudzy atoli los dla niej poświęcić, wpędzić niewiarą w rozpacz młodą małżonkę — nie pozwalało mu zbyt draźliwe sumienie.

Kanclerzyna żałowała, że nie mogła wytłumaczyć prawdy i otwarcie go uspokoić względem usposobienia żony w razie mężowskich zboczeń; Marja, jej zdaniem, miała więcej rozsądku i wychowania, niżeli wydawało się zaślepionemu jej właścicielowi.

Mieszczańska, sentymentalna wierność szambelana, pomimo widocznych popędów uczucia, roziskrzała w Księżnie zapały i poduszczała żądzę dopięcia swoich celów. Opór ten, do jakiego wcale nie była przyzwyczajoną, zadziwiał ją i gniewał, niecierpliwił i smucił, jątrzył i rozżegał tem więcej, że sam szambelan coraz straszniej i oczywiściej cierpiał na walkę uczucia z obowiązkiem, coraz goręcej gonił za pierwszem i rozpaczniej żuł drugiego wędzidło.

Kanclerzyna istna znawczyni na podobnych sprawach, umiała cenić wartość zdobyczy, porwanej w takowym stanie ducha, podwoiła usiłowania, sama wreszcie, zaczynała już tracić głowę, i od kilku dni, księciu kanclerzowi, w piekło zamieniała zwykły spokój domowego pożycia.

W istocie, szambelan musiał zręcznie rzecz prowadzić. Sokolnik bowiem, także znawca nie lada, z uśmiechem zadowolnienia, przypatrywał się ukradkiem obrotom podwójnej gonitwy, i znów ręce zacierał widząc, że córce godnego dał męża, że zięć trafił na godną siebie żonę. Sędziwy magnat ze łzami dziękował Bogu za umajenie mu starości tylu lubemi dla serca pociechami; sprawiedliwy jego żywot ku schyłkowi znajdował zasłużoną nagrodę; księża nie darmo prawili

że jeżeli Opatrzność złych karze, dobrych natomiast sowicie nagradza.

Kanclerzyna, o prawdzie tego zdania nie zupełnie była jeszcze przekonaną, pomimo bowiem modlitw, cierpień i gorliwych zachodów, nie mogła dotąd ucieszyć się nagrodą ciężkich swoich trudów.

Szambelan nie pomijał żadnej sposobności stawania na jej drodze; ze szczęściem ją witał, żegnał z boleścią, pomimo to wahał się; nie miał odwagi wyjąknąć stanowczego wyrazu. Od pewnego czasu uciekał od ludzi, z żoną pokazywał się coraz rzadziej, gonił za samotnością; szczególnie zaś lubiał zapuszczać się w najmniej uczęszczane ulice Prateru. Tam, zatracony między drzewami, opuszczał koniowi wodze, dumał, marzył, przetrawiał gorzkie udręczenia serca.

Księżna, przypadkiem, od niego samego dowiedziała się o tem upodobaniu; świat i jej także zaczynał się przykrzyć, i ona z równąż przyjemnością dosiadała rumaka, i ona potrzebowała pięknej natury, ciszy, odosobienia.

W kilka dni po tem wyznaniu, szambelan wyjechawszy jak zwykle na tratowanie swojej tęsknoty, zoczył niespodzianie na krzyżującej się drodze, zieloną zasłonę męskiego kapelusza księżnej, usłyszał tentent dzielnego jej konia — niestety, każde uderzenie kopyta padało mu na serce; zazdrościł koniowi lubego ciężaru.

We dwoje, prędzej i łatwiej się marzy, zwłaszcza gdy obie dusze łączy ogniwo jednego uczucia; księżna wreszcie, chociaż w dalekim przebiegu, rzuciła jednak bystry wzrok na jezdzca, zoczyła go i poznała; nie wypadało nie pospieszyć z czołobitnością.

Szambelan spiął zwierzę ostrogami i pogonił zakrętem tak, aby oczom swej Pani ukazać się nagle, niespodzianie, niby nieumyślnem zrządzeniem losu.

Koń jezdzca, z gwałtownego wypuszczenia osadzony dziarsko na miejscu, wspiął się, wyprostował jak świeca. Księżna krzyknęła; żywy rumieniec oblał jej lice. Szambelan pochylony nieco na grzywę rumaka, uniżał kapelusz do stóp pięknej amazonki.

— Czekasz pan przebaczenia za przestrach jakiego mię nabawiłeś? — Rzekła mu z wdzięcznym uśmiechem — w istocie, trzeba mieć wiele zaufania w cudze pobłażanie, aby odważać się do podobnych na ludzi napadów.

— Zaufanie moje, odrzekł szambelan, nigdy nie wyrówna miłosierdziu księżnej. Zdaleka ją spostrzegłem i nie chciałem stracić ani chwili; miałyżby pobudki nie złagodzić winy?

— Nie ma pobudek, które usprawiedliwiają narażanie się na nieszczęście.

— Sam ten wyrzut, księżno, jest dostateczną do zaofiarowania życia.

— W takim razie, bądź pan pewnym że go więcej nie powtórzę.

— Na teraz, jedynem słowem jakie pragnąłbym usłyszyć, jest pozwolenie towarzyszenia księżnie; z pokorą, naprzód poddaję się wszelkim warunkom. —

Księżna dotknęła szyi swego konia lekką angielską rózeczką, poczwałowała w milczeniu ku stronom odludnym Prateru; szambelan, londyńskim obyczajem, podrygując w takt na siodle, kłusował i ważył w myśli korzyści, jakich źródło mogło mu otworzyć wzbudzenie namiętnych uczuć w małżonce wszechwładnego ministra.

— Roziskrzone zdrowiem jego policzki, szerokie ramiona, postać rozrosła, wyraźnie dowodziły niepospolitych zdolności do dyplomatycznego zawodu.

Księżna, przez jedwabie zielonej zasłony, rzucała mu wesołe spojrzenia; zmęczona wreszcie długą pogonią, zatrzymała rumaka, puściła go stępo, odsłoniła oblicze, poprawiła się na siodle i odgarniając z czoła rozwiane sploty ciemnych włosów, mówiła z wyrazem łagodnej swobody:

— Kilka tygodni przepędzonych w Paryżu, musiało panu zostawić tysiące miłych wspomnień. W tej chwili nawet, jestem przekonaną — żałujesz że te drzewa, drogi i dróżyny, nie należą raczej do Bulońskiego lasku niż do Prateru. Gdyby nie rządowe sprawy, zapewne nie bylibyśmy oglądali pana tak spiesznie z powrotem. Książę kanclerz jest człowiekiem bez serca, bez litości. Skarż się pan na niego, obwiniaj — żona nie myśli i nie potrafi go bronić. Wysyłać ludzi do Paryża,

zaprzątać im tam cały czas pracą i po niepełnych dwóch miesiącach wzywać napowrót do Wiednia! — To nie do przebaczenia — nieprawdaż?

— Zapewne księżno — gdybym w obec mego naczelnika miał prawo pomyśleć o sobie, żaliłbym się na wysłanie mię z Wiednia. Dwa miesiące, zdala od miejsc i osób, bez których każda przyjemność musi zmienić się w tęsknotę i w gorycz! Z uległością przyjąłem rozkaz wyjazdu, z roskoszą odebrałem wezwanie do powrotu.

— Warto być piękną, kiedy się jest podobnie kochaną. Hrabina Fürstemberg słusznie może poszczycić się jednym z najprzykładniejszych mężów. Po dwuletniem pożyciu, umieć, obok małżeńskich obowiązków, przechować jeszcze wszystkie zapały kochanka — w naszych czasach rzadki wypadek, wzór ze wszech miar godzien naśladowania.

— Przez litość księżno, nie zasługuję na te pochwały! Obowiązki rządziłyby człowiekiem, gdyby rozum tylko nim powodował.

— Tem lepiej, skoro nie wyrachowanie ale uczucie pędzi go drogą rozumu; nie potrzeba wówczas sobie rozkazywać — sama namiętność prowadzi; dość w ślad za nią postępować.

— Nie mówmy księżno o namiętności, nie mówmy o uczuciu; rozkazują one, na nieszczęście, rozkazują wszechwładnie. Biada człowiekowi, który dostanie się pod ich żelazne berło, ani mu chwili wytchnienia, ani chwili spoczynku. W niezgodzie sam z sobą i z ludźmi, przeklina światło dzienne, pochyla zrospaczoną głowę, którą — szaleniec! — za wysoko śmiał podnieść.

— Hrabina jest zachwycającem stworzeniem; sąd ten w ustach kobiety, nabiera niezaprzeczonej wartości. Nie mówię tu nic nowego; powtarzam zdanie stolicy, zdanie całego towarzystwa.

— Prawda księżno; ja sam, pierwszy oddaję żonie mojej należytą sprawiedliwość. Jest to anioł z postaci i z duszy; długo zdało się mi że nie ma doskonalszej istoty. Dziś jeszcze, może powiedziałbym to samo, gdybym słowo umiał wymówić, gdybym dwie myśli potrafił związać, gdybym czuł co innego prócz boleści, gdybym w sercu miał miejsce na

inne uczucie prócz na zwątpienie. Sam siebie nie poznaję; w bezmyślnych nadziejach zanoszę się nieraz od szczęścia; złudzenie przemija błyskawicą i znowu w straszniejszą rozpacz zapadam. Teraz oto, w tej chwili, piersiami szczęścia objąć nie mogę; gdy wrócę do miasta, nie znajdę dość wyrazów na złorzeczenie ocknięciu z czarującego snu.

— Szkoda czasu, panie hrabio; życie ludzkie i bez tego ma w sobie dość goryczy — po co zatruwać je samowolnie, po co dręczyć się i wynajdywać sobie zgryzoty, jak gdyby tych nie starczyło z jakiemi konieczność stawia nas do walki.

— Bóg mi świadkiem, księżno, że dobrowolnie za boleścią nie gonię; wydzierałem się jej wszystkiemi siły, chciałem w zarodku zatłumić nieszczęsne uczucie, pasowałem się, walczyłem — nadaremnie! Teraz niechaj się pełni przeznaczenie! dalej nie wydołam stawić oporu. Dokąd mię szał zaprowadzi? — Nie potrafię przewidzieć; tyle wiem, że ostateczność widzę przed sobą. Przyszłość pokazuje mi zagubę, dla mnie, dla całego mojego domu; odwrócić jej nie zdołam, a może nawet i nie pragnę.

— Ciężar więc i troska, spadają na pańskich przyjaciół; sumienie ich nie dozwoli mu z zamkniętemi oczyma lecieć na własną zatratę. Jeden fałszywy krok może bezużytecznie zniszczyć spokojność kilku osób i świetne ich w towarzystwie stanowisko. Podobnych warunków życia w żadnym razie nie godzi się poświęcać, tem bardziej że człowie na to ma takt i doświadczenie, aby umiał godzić, nie zaś waśnić konieczność z głosem silniejszym nad wszelkie rozumowania.

— Przyjaciele, księżno? — Nie mam żadnego; świat cały mi zobojętniał. Musiałbym szukać rad, utyskiwać, zwierzać się przed nimi, zwierzać się z uczuć, których sam przed sobą lękam się głośno powtórzyć. Stanowisko w towarzystwie? — Za jedną chwilę życia o jakiem marzę, za kilka słów jakie szalone nadzieje szepcą mi czasami w uszy — oddałbym wszystkie zaszczyty, wszystkie godności, wszystkie skarby tej ziemi.

— Słowa te panie hrabio, nie zasługiwałyby na lichą uwagę, gdyby osoba mająca je wymówić, żądała w zamian nadludzkich poświęceń. Kto umie cenić gotowość ofiary, ten spełnienia

jej nie dopuści. Jest jeszcze inna prawda w którą, co do mnie, nigdy nie wątpiłam; każde prawdziwe, głębokie uczucie, zwrócone ku istocie umiejącej je ocenić, nie może, nie powinno w wypadku, przynieść cierpienia. Na zwątpienie, na rozpacz, zawsze dość czasu. Wreszcie, po co cierpieć, po co mówić o cierpieniach, kiedy pragnie się wzbudzić nie politowanie ale stokroć szlachetniejsze uczucie? —

Księżno — słowa te, mogłyby z mojej strony wywołać odpowiedź, którą lepiej podobno abym zamilczał.

— Bynajmniej; mówmy szczerze i otwarcie. Wspominałam o pańskich przyjaciołach; spodziewam się że mam prawo stanąć w naczelnym ich rzędzie. W twoim wieku i położeniu, panie hrabio, myśl o przyszłości nigdy nie powinna cię opuszczać. Przedewszystkiem jednak, trzeba uzbroić się w swobodę duszy, w zimną rozwagę — inaczej na drodze najłatwiejszej, pierwszy krok stanie się niepodobnym. Powróciłeś pan z Paryża, gdzie zachody twoje pozyskały zadowolnienie księcia kanclerza; dołożywszy trochę pracy, zadowolnienie to może przynieść znakomite, rzeczywiste korzyści.

— Przyszłość księżno? — O jednej tylko marzę; gdybym teraźniejszą chwilę w nieskończoność mógł wyciągnąć, monarchom na ziemi, aniołom w niebie, nie zazdrościłbym szczęścia. Innych żadnych widoków nie mam przed sobą. Pomimo łaski księcia kanclerza, wyższej nad moje zasługi, niepodobna mi godnie jej zawdzięczyć i oddać się pracy o ile bym tego pragnął. Dwóm panom służyć trudno. Życie rodzinne, troski domowe, zajmują mi cały czas. Zmuszony jestem zawsze i wszędzie towarzyszyć mej żonie. Rodzice jej mieszkają w Wiedniu; hrabina z odwiedzinami do nich nie potrzebuje wybierać się w dalekie podróże; nie mamy pozoru, na krótki nawet przeciąg uwolnić się jedno od drugiego. A jednak czuję, że dla domowego spokoju, lepiej byłoby przerwać niekiedy jednostajność ciągłego, wzajemnego pożycia.

— Hrabina, powiadasz pan, radaby jakiś czas samej sobie być zostawioną? Rozumiem to życzenie w młodej kobiecie; kilka chwil samotności, zwłaszcza po wirze światowych uciech, przynoszą wzmocnienie duszy, dozwalają przystępu rozwadze,

rozmyślaniu, przeplatają jednostajność życia i dwoją przyjemność następnego zetknięcia z towarzystwem. Rodzice jej mieszkają w Wiedniu, nie ma zatem żadnego powodu przybieżenia w pomoc rozpieszczonemu dziecku naszych salonów.

— W tem właśnie leży cała trudność, do wewnętrznych moich niepokojów, do osobistych udręczeń, muszę dołączyć jeszcze troski domowego pożycia, troski, których brzemię księżna łatwo ocenisz, gdy dodam że od pewnego czasu, zdrowie hrabiny zaczyna mię zatrważać.

— Co słyszę! — Hrabina miałażby być cierpiącą? Wczoraj widziałem ją u Kolowratów i nie mogłam nadziwić się jej świeżości; zdaleka i zbliska, cera jej zda się ułożoną z listków róży.

— Zwodnicze pozory księżno; rumieniec nie zawsze jest oznaką zdrowia — gorączka niekiedy wypędza go na oblicze. Hrabina cierpi na piersi; dotąd sama nie domyśla się swego stanu; młodość z natury swej jest nieopatrzną, przed moim atoli doświadczonym wzrokiem, prawda ukryć się nie zdoła. Powietrze wiedeńskie, chłodne i wilgotne wieczory, warzą w niej zarody życia. Przekonany jestem, że dwie jeszcze zimy spędzone w naszem mieście, postawią ją nad grobem.

— Przestraszasz mię pan! — Jeżeli w istocie rzeczy tak daleko zaszły, nie należy chwili jednej marnować; hrabina potrzebuje zmiany klimatu i musi go odmienić. Nie ma nad czem się zastanawiać; z ostatniemi dniami jesieni, powinna opuścić Wiedeń.

— Zapewne księżno; nikt tego goręcej odemnie nie pragnie; niepodobieństwo jednak spełnienia zamiaru przedstawia się mi coraz wydatniej. Przeciw konieczności nic nie poradzę.

— Nie rozumiem pana; nie zgaduję na czem zależą te nieprzezwyciężone trudności? Czyliż podróż za granicą nie jest dla nas zwykłym, powszednim wypadkiem?

— Dla mnie księżno — odrzekł szambelan drżącym, wymuzykowanym głosem, wyjazd z Wiednia przenosi moje siły. Żądać odemnie opuszczenia stolicy, jest to domagać się najcięższej ofiary. Dokonałbym wszelako poświęcenia, spełniłbym ofiarę, zniweczyłbym własny byt, gdybym wiedział że

zaguba samego siebie przydać się może dla drugich. Na nieszczęście, całe odmienne mam przekonanie. Wszelki stanowczy krok z mojej strony, otchłań przedemną może otworzyć; na drogę ocalenia nigdy mię nie wyprowadzi.

— Mów pan dalej; nie umiem zgadywać tajemnic, do pana wreszcie należy oszczędzić mi przykrego trudu rozwiązywania zagadek, zwłaszcza tych, które równie blisko mię obchodzą.

— Niewyczerpana dobroć księżnej łatwo oceni moje położenie, gdy je w dwóch słowach opowiem. Hrabina dobrowolnie nie zechce opuścić Wiednia; rozpieściło ją tutejsze towarzystwo — lepiej nigdzie jej być nie może. Na prośby wyrzeczenia się uciech stolicy, odpowie prośbami którym oprzeć się nie zdołam. Przyzwyczajeni oboje do swobody, do zupełnej niezależności w postępowaniu — jedno drugiemu, w żadnym razie, praw ani własnej woli, nie możemy narzucać. Jakież wreszcie pobudki potrafię wskazać moim żądaniom? Zwykły wyjazd za granicę, dla rozrywki, dla urozmaicenia życia? Hrabina wcale nie nudzi się w Wiedniu; przeciwnie — miasto nasze rajem jej się wydaje. O zdrowiu w żaden sposób wspomnieć niepodobna. Gdybym odkrył przed nią prawdziwy jej stan, zapuściłbym w jej serce gwałtowne niepokoje, wstrząsłbym silnie jej wyobraźnię, sprowadziłbym odrazu straszne skutki, którym następnie zapóźno byłoby chcieć zapobiedz. Półsłowami zaś nic nie uzyskam; żona moja, jak powiedziałem, przekonaną jest że cierpienia jej są chwilowe, przechodnie, że ustąpią za pierwszem niewinnem lekarstwem.

— Może wypadałoby zwierzyć się rodzicom; matka łatwiej zapewne wysłucha prawdy i korzystniej użyje wpływu swego na córkę?

— Myślałem o tem, księżno, probowałem nawet, ale za pierwszym krokiem postrzegłem bezskuteczność zachodów. Hrabina ma charakter, do wysokiego stopnia niezależny, cudzym namowom nie daje ucha; dba nadto o zaszczyt domu którego nosi nazwisko; wie, że wyjazd nasz z Wiednia przerwałby szczęśliwie rozpoczęty zawód pod dostojnem przewodnictwem księcia kanclerza, i gdyby nawet przewidywała

grożące niebezpieczeństwo, samo siebie chętnie poświęci; od męża nie zapotrzebuje, nie przyjmie ofiary.

— Zachwycająca kobieta! — Rzekła księżna ubodnięta nieco pochwałami jakie szambelan sypał swej żonie — nie dziwi mię że tak jest kochaną — według tego co słyszę, nigdy wdzięki ciała nie odpowiadały tyle zaletom duszy.

— Bez wątpienia księżno — odparł z westchnieniem jej towarzysz, gdyby uczucie było koniecznym wynikiem z podsumowania pewnej ilości zalet i wdzięków. — Każdy ma swój sąd, swoje upodobania; doskonałość ludzka nie zna granic i często, gdy człowiek mniema że w pewnym kierunku doświadczył już najwyższych, ostatecznych wrażeń, nagle odsłania się przed nim widok, który w jednej chwili pamięć przeszłości zaciera.

— Biedna hrabina! żal mi jej z całego serca. W jej wieku, sama zmiana powietrza więcej może jej przynieść ulgi, niż wszystkie przepisy Malfatego. Należałoby nie radzić jej, nie zmuszać do opuszczenia Wiednia, ale postawić w konieczności wyjazdu.

— Na zewnątrz tej ostatniej ucieczki, księżno, nie ma innego środka.

— Jest to warunek dopiero ale nie środek, panie hrabio; pierwszy łatwo oznaczyć — w wynalezieniu drugiego leży cała trudność.

— Wynaleźć nie trudno — mówił z niechcenia szambelan; wiem sposób nieochybny.

— Jakiż?

— Nie warto o nim wspominać; środek mój jest niezawodnym, ale zarazem niemożebnym do wyjednania.

— Nadużywasz pan mojej cierpliwości, lub może chcesz go zachować przedemną w tajemnicy — w takim razie nie wypada mi nalegać.

— Przez miłość boską, księżno, zarzut ten niesłychanie jest mi bolesnym! Był czas, gdzie na dnie serca więziłem jedną tylko tajemnicę; dziś, i ta już odkryta, dziś do samego siebie nie należę. Księżna rozkazujesz, chcesz wiedzieć? — Dowiesz się natychmiast. Myśl moja o tyle zasługuje na uwagę, o ile potrafi sprowadzić żądany cel, ma usunąć zawady

o jakich wspominałem. Sam tylko książę kanclerz swoją wszechmocnością, mógłby od razu, wszystkim warunkom zadość uczynić. Wakują w tej chwili dwa poselstwa: jedno we Florencji, drugie w Neapolu. Gdyby łaska księcia ministra, słabe moje zasługi i dziedziczna wierność tronowi, usposabiały mię do jednej z tych dwóch posad, mógłbym bezzwłocznie przewieźć moją żonę pod ciepłe niebo włoskie; sam następnie powrócić na kilka miesięcy do stolicy, oddać się ze swobodną głową wyłącznym zatrudnieniom, do jakich książę kanclerz zaszczyca mię szczególnem zaufaniem — i jeżeli wolno mi zwrócić uwagę na samego siebie, odetchnąć pełnemi piersiami uczuciem, bez którego życie dla mnie męczarnią, godności są obojętnym przedmiotem, obowiązki do spełnienia zaś niepodobieństwem. Wymogi rządowej służby, mogłyby mię samego, bez hrabiny, co rok na jakiś czas sprowadzać do Wiednia; nie przyjąłbym nawet miejsca bez tej nadziei, i jeżeli sprawy nie dadzą się w ten sposób ułożyć, opuszczam ramiona, rzucam się bezwładnie kolejom losu; niech wszystko ginie, przepada, niech się raz kończą piekielne udręczenia niepewności!

— Przyzywasz pan hrabia zgubę, wywołujesz rozpacz, dla tego chyba, aby ci powtarzano o czem wiesz doskonale, abyś z obcych ust usłyszał zapewnienia jakie sam sobie możesz słusznie uczynić. Dotąd, nigdzie i w niczem, nie doznałeś odczarowań ani zawiedzionych nadziei; dla czegożby na przyszłość miało być inaczej?

— Nie mam prawa niczego wymagać; mogę tylko mówić o wdzięczności — innych, świętszych uczuć, w słowach wyrazić nie zdołam. Długo wątpiłem, nie wierzyłem snom moim, lękałem się ogromu szczęścia. Zwątpienie jest grzechem; przysięgam poprawę i w gorącej pokorze serca, błagam przebaczenia. —

Szambelan zbliżył konia ku amazonce i z religijną czcią wyciągnął dłoń; księżna podała mu rękę z uśmiechem na ustach, z rozrzewnieniem w oku; sama lekko spłonęła, gdy jeździec przechylony na siodle, wyciskał na jej rękawiczce namiętny pocałunek. Zatoczyła niespokojnym wzrokiem do koła; nie było nikogo. Dwaj jej dżokeje, w przyzwoitej odle-

głości w ślad za nią postępowali. Mimowolnym ruchem zapuściła na twarz zieloną zasłonę, drasnęła konia różeczką, poskoczyła naprzód pragnąc zapewne przeciąć rozmowę, którą szambelan byłby bez wątpienia chciał dociągnąć do przedostatecznych wniosków.

— Czas wracać do domu, rzekła, po długiej gonitwie wstrzymując spienionego rumaka; Armida jest już zmęczoną; czuję po jej chodzie że mi wypowiada służbę. Musisz pan hrabia pokazać mi drogę; pierwszy raz tak daleko się zapuściłam — nie znam tych oddalonych ścieżek.

— Księżna wybierasz niesumiennego przewodnika, odrzekł jeździec; zawczasu uprzedzam że nie potrafię wybrać najkrótszej drogi; nadto,ośmielam się wspomnieć że każda usługa wymaga wynagrodzenia.

— Przewodnik więc jest sumiennym, skoro naprzód o nagrodę się umawia. Pozostaje mi wolny wybór; mogę jeszcze sama wybłądzić, lub moich ludzi o drogę zapytać.

— Czyliż księżna i wtedy nawet nie pozwoli służb moich sobie ofiarować, gdy za całą nagrodę poproszę o tę różę, która chwieje się przy jej boku?

— O różę? — Zawołała ze śmiechem młoda kobieta; mógłbyś pan był prośbę swoją wierszami wynurzyć. Co za szkoda że słońce jeszcze wysoko, że nie błądzimy po księżycu! Nie, nie — na oddanie mej róży przystać nie mogę; jazda otrząsła z niej listki, zwiędła gałązka i ciernie tylko zostały. Ostre i kolące podarki złą są przepowiednią. Niepotrzebnie pan chmurzysz czoło; wolę dać ten oto świeży kwiatek bzu co nad drogą ku nam się kołysze. Pozwól pan hrabia — chcę zerwać go sama. —

Księżna podniosła się lekko na siodle, schwyciła gałązkę, ale uparty krzew nie chciał dobrowolnie ustąpić zdobyczy; targnęła go kilka razy niecierpliwie. Błękitny kwiat został jej w ręku, natomiast silny ruch ramienia uczepionego między liście, rozchylił perłę, zapinkę czarnej emaljowanej bransoletki, i klejnot z głuchym dźwiękiem potoczył się na ziemię.

Księżna upuściła gałązkę, jak gdyby łowiąc w powietrzu ślad swojej zguby; był to zapewne drogi, lubem jakiem

wspomnieniem opromieniony upominek, rzadko bowiem kiedy nie używała go do stroju; już chciała wołać do wyszukania swoich dżokejów, gdy w tejże samej chwili szambelan stał na nogach i schylał się po cacko.

Księżna cofnęła konia; na nieszczęście, Armida niebacznem kopytem nastąpiła na klejnot, szambelan nie pośpiał go ocalić; bransosetka silnie była nadwerężoną, niepodobna było myśleć o włożeniu jej na rękę. Księżna chciała ją obejrzeć.

— Zgięta w strączek, mówił szambelan zatykając u piersi gałązkę bzu. Przykry wypadek, któremu, na domiar złego, ja stałem się przyczyną.

— Daj mi ją pan hrabia; sprobuję czy nie da się zapiąć.

— Niepodobieństwo, księżno, klamerka zupełnie zgnieciona. Gdyby mi wolno było zachować klejnot na dziś przy sobie, prosiłbym o pozwolenie odniesienia go nieuszkodzonym, w niczem nie przypominającym niezręczności Armidy.

— Przyzwyczaiłam się do tej bransoletki, noszę ją od kilkunastu lat; jest to familijna pamiątka.

— Postaram sią aby księżna jak najkrócej na nią czekała; teraz, w żaden sposób nie przystanie do ręki — sprobujmy. —

Szambelan objął dłoń księżnej, popatrzył chwilę na pomarmurowany błękitnemi żyłkami biały jej przegub, pochylił głowę i do ust rękę przycisnął.

Ręka ta nie wyrywała się mu z uścisku; zdawała się omdlewać pod gorącym pocałunkiem i w roskosznem upojeniu pieszczotą płacić za pieszczotę.

Szambelan wzniósł wzrok do góry; zapłoniony uśmiech rozchylał usta księżnej; oczy jej pławiły się we mgle lubego rozmarzenia, jakiem namiętność poprzedza zwycięstwa swoje i porażki; postać kłoniła się niby chylona nieprzezwyciężoną potęgą uczucia.

— Kiedyż będę mógł odnieść bransoletkę? — Rzekł drżącym głosem dyplomata (w podobnych położeniach głos drżący jest nieodzownym); kiedy będę mógł sam zapiąć ją na téj pięknej ręce tak, abym był pewnym że księżnę samą zastanę? — Kiedy i gdzie? — Przez litość!

— Wsiadaj pan hrabia na konia; już późno a do miasta jeszcze daleko.

— Jedno tylko słowo, księżno; nie ruszę się z miejsca; nie mam siły kroku naprzód postąpić — jedno słowo powróci mi życie.

— Cóż mam powiedzieć? — Kiedy możesz pan odnieść mi bransoletkę? — Odpowiedź, sądzę, zależy od jubilera. Wracajmy do miasta. —

Szambelan dosiadł konia, zacisnął usta, przyodział na twarz wyraz strasznej Laokonowej boleści (w podobnych zdarzeniach, rysy połamane nadludzkiem cierpieniem są koniecznemi) księżna w milczeniu rzucała nań przenikliwe wejrzenia, w których obok szyderstwa, przebijało przecie inne, daleko rzewniejsze uczucie.

Odludne boczne ścieżki zaczynały zbiegać się ku głównej ulicy; dudnił zdala turkot powozów, tu i owdzie przemykali jezdni, piesze samotne pary słaniały się, szukając ustronia; nadchodziła bolesna zawsze dla czułych serc chwila rozłączenia.

Księżna wstrzymała konia.

— Pan hrabia, rzekła mu tkliwym, do duszy przejmującym głosem, nie masz zapewne zamiaru wracać natychmiast do domu; przypominam mu moją bransoletkę, czekam na nią i uwiadomię kiedy i gdzie myślę odebrać. —

Szambelan na te słowa byłby chciał rzucić się na kolana, paść do nóg bogini, ale obrót ten siedzącemu na koniu niesłychanie jest trudnym, nawet gdy jezdziec z rodu i z urzędu należy do pierwszego wiedeńskiego towarzystwa. Wzrokiem, głosem, westchnieniem, zamierzał wynurzyć swoję wdzięczność — księżna już go nie widziała, już go dosłyszyć nie mogła; czarodziejka, zacięła konia, skręciła w boczną ulicę, pomknęła i znikła mu z oczu.

Jezdziec stał chwilę na miejscu, spiął wreszcie rumaka i pogonił w przeciwną stronę, promieniejący, upojony szczęściem, roziskrzony nadzieją osiągnięcia drogiego przedmiotu swoich marzeń, jedynego celu zabiegów, trosk i usiłowań — poselstwa w Neapolu lub we Florencji.

W wielkiej ulicy Prateru, tłum z uszanowaniem rozsuwał

się przed żoną wszechwładnego ministra; chyliły się głowy, ulatywały z pośpiechem kapelusze — księżna roztargniona odpowiadała na hołdy znajomych i cześć gawiedzi. Niebo wysłuchiwało serdecznych jej modlitw; mąż najpiękniejszej w mieści kobiety, urodziwy szambelan, ku któremu oddawna skrycie wzdychała, porzucał dla niej żonę, padał przed nią jako dokonana ofiara uczucia.

Wyrobienie poselstwa we Włoszech, usuwało z wiedeńskich salonów niebezpieczną spółzawodniczkę, pozwalało nowemu dygnitarzowi zjeżdżać do stolicy na bezżenne, niezawisłe życie; po kilku miesiącach pobytu, znowu odwoływało go w dalekie strony. Księżna lękała się jednostajności jak ognia; biegła znawczyni ludzkiego serca, potrafiła cenić wygodę zmiany, uczynna przytem bez granic, postanowiła użyć władzy jaką miała nad mężem, na wyjednanie lubemu żądanego urzędu. Sama ludzkość nakazywała przyjść w pomoc cierpiącej hrabinie i wyprawić ją pod łagodne niebo Italji. Księżna na cudze dolegliwości miała istotnie macierzyńskie serce. Książę kanclerz mógł być pewnym, że w razie nieprzychylenia się do prośb żony, piekło będzie miał w domu. Książę kanclerz, pomimo dyplomatycznych stosunków z Lucyferem, uciekał przed domowem piekłem, prędzej jeszcze niż w dwadzieścia kilka lat później, przed uliczną barykadą. Był to człowiek jakich mało, czego dowodził miljon, którym corocznie Rosja okupywała polityczne jego szachrajstwa, aby zaś za 83,333 zł. gr. 10 na miesiąc, sprzedawać sumienie, wyznać należy że trzeba być człowiekiem niepospolitej wartości. Wprawdzie, od owego czasu, sumienia djable staniały. Leona Radziwiłła lub którego z wołyńskich hrabiów Rzewuskich, za parę garści imperjałów nabędziesz; na Gurowskich, na Mirskich, nie ma już nawet pokupu. Obniżenie to ceny towaru, nastręcza śliski trochę domysł, że od kilkunastu lat maszynami zapewne wyrabiają łotrów.

Cokolwiek bądź, wprzód nim zawiłą tę ekonomiczną kwestję rozświecę w osobnej pracy pod tytułem «Nowe Gniazdo Rycerstwa,» nie wypada tracić z uwagi młodej małżonki szambelana, której przez głowę nie przechodziły troskliwe starania, jakie przywiązany mąż podejmował wzglę-

dem zdrowia jej, dzięki Bogu, w niczem nienadwerężonego.

Marja stawała wreszcie u celu i mogła odetchnąć; w namiętnej gonitwie z hrabiną Zapary, daleko zostawiała Włoszkę za sobą — arcyksiążę wyraźnie dawał poznać, że Polka wzięła górę nad jego sercem. Ścigał ją wszędzie jak cień, wywiadywał się o godziny jej przejażdżek; w teatrze, co chwila wymierzał ku niej ogromną lornetę, wszem w obec i każdemu z osobna najłaskawiej raczył pokazywać, że uczucie ku młodej małżonce szambelana, zewsząd go ogarniało.

Hrabina Zapary musiała poprzestać na kilku cudzoziemcach i wielbicielach podrzędnego stopnia; reszta bowiem rodzimego, wiedeńskiego towarzystwa, jak wypadało na ludzi z taktem, pospieszyła z hołdami i z palmą ku wybranej przez cesarskiego synowca.

Poprzedni jednak zalotnicy zdaleka tylko przekonywali córkę Sokolnika o niezmienności uczuć; respekt dla monarszej krwi nie dozwalał im zachodzić w drogę członkowi panującej rodziny; każdy przyzwoicie trzymał się na uboczu, czekając z zaczepnemi kroki, dopóki młodemu Habsburgowi nie uprzykrzy się łatwa zdobycz.

Niektórzy w zwątpieniu opuszczali ramiona; zanosiło się wedle ich sądu nie na proste przywidzenie, nie na zwykłą zabawkę, ale na długi i ścisły stosunek.

Miłość widocznie wytrawiała w arcyksięciu ostatnie umysłowe władze; od pewnego czasu, nieborak, czterech nie mógł naliczyć.

Marja z początku obojętnie poglądała na war rozlicznych uczuć, jaki do koła niej kipiał; zaloty arcyksięcia poczęły ją obchodzić wtedy dopiero, gdy wypadło na osobie tego pana dowieść wszechwładnej wielmożności swych wdzięków i upokorzyć zuchwałe roszczenia Włoszki. Wygrana wartą była zachodu. Dopóki chwiało się zwycięstwo, Marja nie zaniedbywała żadnych fortelów, obrotów, kłamanych ucieczek, chytrych napadów, fałszywych oznak zdania się na łaskę: całej igraszki smętarnych ogników, igraszki zawsze tej samej i zawsze nowej. Skoro atoli oczywistość, w obec towarzystwa stolicy, wykazała jej niezaprzeczoną wygranę, skoro przyszło do wy-

pełnienia niektórych warunków tryumfu, hrabina wylękła się następstw niebezpiecznych zapędów, zadrżała na widok kłamstwa, z którego skutkami codzień trzeba się było potykać.

W każdym zawodzie pierwszy krok trudny. Marja nie miała jeszcze dostatecznej wprawy w pokrywanie próżnych myśli pełnemi słowy; rzucała dotąd uśmiechy, spojrzenia i małoznaczne względy, jako powszedni grosz, za który zakupywała sprzężaj do rydwanu swojej próżności. Zimna, jak w ogóle większa część kobiet z jej rodu i w jej kraju, znała tylko możebność jednej rzeczywistej namiętności — namiętności do własnej wygody. Bezpieczną była o siebie, nie miała bowiem z czem się pasować, z czem staczać walki; żaden prawdziwy ogień nie tętniał pod śnieżnem jej łonem.

Po młodości strawionej na kłamaniu mdłych i bezbarwnych uczuć, najwyższym wyrazem północnych, limfatycznych natur, jest mistyczny sentymentalizm i dewocja na starość. Szatan z panem Bogiem, z kupiecką dokładnością dzielą się życiem po połowie, szkoda tylko że pierwszy świeżą część towaru otrzymuje w podziele.

Urząd szambelana dawał mu prawo do wprowadzania żony na dworskie pokoje. Młody dyplomata korzystał z tego przywileju, nie opuszczał ani jednego przyjęcia, ani jednego balu lub koncertu; z roskoszą widział że od niejakiego czasu zapraszano go na małe, poufałe zebrania, gdzie oprócz cesarskiej rodziny i kilku pierwszych dygnitarzów, szczupła tylko liczba wybranych znajdowała przystęp. Wpływy arcyksięcia otworzyły mu skrycie źródło tej nowej a powszechnie wysoko cenionej łaski.

Na podobnych wieczorach, szambelan uganiał się zwykle za rozmową z księciem kanclerzem; przygięty trochę ku ziemi, w kornej postawie, chwytał każde jego słowo, pozwalał sobie odpowiadać wyrazem podziwu, zachwycenia nad mądrością wielkiego ministra; lub chyłkiem przysiadał się do księżnej, łowił jej spojrzenia i nieznacznemi, obojętnemi na pozór szepty, wydzwaniał jej piosenkę swoich zapałów.

Marja nawzajem, ulegała ciągłemu oblężeniu przez jednego wielbiciela.

Arcyksiążę nie posiadał daru gładkiego wyjęzyczania swoich uczuć; z twarzy podobny do boga leśnych miłostek, przypominał go, raz jeszcze powtarzam, gestami, śmiechem, nadskakiwaniem, pogoniami za upragnioną nimfą.

— Jak się Pani podoba — mówił do niej pewnego razu, ten oto djamentowy naszyjnik na starej księżnie Sonderhausen? — Gdyby nie blask klejnotów nikt by na nią nie spojrzał.

— Piękny strój — odrzekła Marja, nierównie piękniejszy od tego, jaki na ostatnim balu widziałam u księżnej Pawłowej Esterhazy.

— Znam ja droższe daleko djamenty i czystej wody — ciągnął dalej potomek Habsburgów ocierając ślinę — klejnoty, za każdy z których oddałbym połowę życia.

— Musi ich być nie wiele, skoro W. Ks. Mość tak drogą cenę na nie nakłada.

— Tyle ile połów w całości — hi hi hi — jeden a jeden, dwa — nieprawdaż hrabino?

— Niezaprzeczona prawda.

— Tem lepiej; ja zawsze prawdę tylko mówię, szczerą prawdę; jako w tej chwili o dwóch nieocenionych klejnotach, które nie mogły nie przyjść na myśl patrzącemu na oczy hrabiny. —

Marja zapłoniona, spuściła powieki.

— Nie cofam mojego słowa; jeden a jeden, dwa; jedna połowa i druga połowa, dwie połowy; za dwoje oczu, oddałbym całe życie, i jeszcze bym nie przepłacił — hi hi hi — nie prawdaż hrabino?

— W. Ks. Mość zaszczyci swoją obecnością pojutrze koncert u dworu? — Mówiono mi że usłyszymy wyjątki z pasterskiej symfonji Beethowena i kilka arji z Matrimonio Segreto.

— Wolałbym — Amore Segreto — Amore eterno; muzyka może wyraziłaby, czego sam wypowiedzieć nie zdołam. Od kiedyż o słońce pyta słonecznika, w którą stronę posłuszny kwiat ma z miar się obrócić? — Czy mam słuszność hrabino? —

W Ks. Mość lubi muzykę?

— W naszej rodzinie lubimy jedną tylko muzykę: trąby i bębny i to wówczas gdy nieprzyjaciel przed nami — hi hi hi! — Życie bym poświęcił, gdybym w pewnych oczach mógł rzucić się na armaty i lawety; ja naprzód, a za mną mój pułk morawskiej piechoty. Hrabina nigdy nie widziała mego regimentu? — Pierwszy regiment w cesarskiem wojsku!

— Nie przypominam sobie, i może nie chciałabym widzieć go w położeniu, o jakiem W. Ks. Mość wspomina.

— A to dla czego?

— Lękam się wystrzałów i widoku krwi znieść nie mogę.

— Pierwsze wrażenie! — Potem człowiek się przyzwyczaja; tak przynajmniej prawi stryj mój arcyksiążę Karol. Ja przeciwnie — radbym skosztować wojny; kilka razy prosiłem już księcia kanclerza aby wydał komu wojnę. Przyrzekam pójść na pierwszy ogień, zwłaszcza gdyby mi obiecano jedyną nagrodę za którą oddałbym dwa życia.

— Czyjeż drugie?

— Moje, gdybym ich miał dwa dla przemiany, hi hi hi! — Oba w tej chwili oddam — za jedno łaskawe spojrzenie, za pół tego anielskiego uśmiechu. Hrabino, jesteśmy sami, prawie sami; nikt nas nie słucha, nikt na nas nie patrzy. Zamknę oczy i wypowiem co mam na sercu. Dziwna rzecz! z zamkniętemi oczyma jestem jakiś śmielszy. W naszej rodzinie, we wszystkich ważnych wypadkach, mamy zwyczaj zamykać oczy. Sam nawet arcyksiążę Karol, każdą bitwę wygrywał z zamkniętemi oczyma. Nie prawdaż że to dziwna rzecz hrabino?

— Zadziwiająca, niepojęta.

— Tak przecie dzieje się w naszej rodzinie. Można zapytać księcia kanclerza; ten, przeciwnie, nigdy nie mruży powiek. Palfy przysięgał mi, że pierwszy nasz minister śpi nawet z otwartemi oczyma. Nie wierzę; tego byłoby za wiele. Muszę kiedy sam się przekonać. Niech się pełni wola Boża! — Choćby mi przyszło zginąć, zamykam oczy i mówię. —

Marja nieśmiała powstać, przyglądała się bacznie malo-

widłom drżącego w jej rękach wachlarza; arcyksiążę w istocie, przymrużył powieki, otworzył na roścież szerokie usta, i już zabierał się do szczególnych swoich zwierzeń, gdy w tem stanął przed nim z głębokim ukłonem jeden z mistrzów i oznajmił że Najjaśniejsza Cesarzowa i pani raczyła prosić J. Ks. Mość na chwilę rozmowy.

Arcyksiążę poskoczył, niemile wykolejony z toru, jakim zamyślał był się puścić, otworzył oczy, ale zapomniał zamknąć ust i z otwartemi szczękami, przez obszerny salon podążył na wezwanie.

Hrabina odetchnęła. Jasny rumieniec wybiegł jej na lice; spojrzała ukradkiem na męża.

Szambelan, pochylony za krzesłem żony pierwszego ministra, zdawał się zapominać o wszystkiem co go otaczało; wzrok cały i uwagę oddał osobie księżnej i trzymanej z nią rozmowie.

Marja z radością ujrzała zbliżających się ku niej kilka obojętnych figur; sama jedna, odosobiona, po odejściu cesarskiego synowca, sądziła że całe towarzystwo na nią tylko spogląda, że odgaduje przyczynę jej pomięszania, że nieubłagany wzrok zapuszcza w ostatnie głębiny jej duszy.

Zaloty arcyksięcia na licznych zgromadzeniach, na przejażdżkach lub w teatrze, pochlebiały jej próżności i na szczęście, nie obowiązywały do żadnych oznak, do żadnych odpowiedzi — wielbiciel trzymał się zdaleka. Na szczupłem atoli zebraniu lub w wedwójnej rozmowie, natarczywa rubaszność dowódcy morawskiej piechoty, wystraszała ją i parzyła niby rozpalone żelazo. Tryumf nad Włoszką, zazdrość innych kobiet, niezaprzeczona przewaga jaką w świecie dawało ujarzmienie jednego z książąt panującej rodziny, mile głaskały ją po sercu; dalsze jednak następstwa wygranej, coraz żywej zaczęły wprowadzać ją na domysł, że może za drogo okupiła zwycięstwo.

Hrabina czuła wiejącą jej po sercu dziwną jakąś obawę.

Arcyksięciu tymczasem krew gwałtownie uderzała do mózgu. Obraz pięknej Polki byłby mu sen i głód odebrał, gdyby szczęśliwa natura nie była go od rodu ubezpieczyła przeciw wszelkim złym skutkom sercowych wzruszeń. Wy-

łączny ten organizm, łatwy do zrozumienia w tak uprzywilejowanych ludziach, jakimi są książęta z monarszej krwi, nie zasłaniał jednak młodego Habsburga od niepokojów, od fizycznych udręczeń, od żarów żądzy i rozłechtanej miłości własnej, która w dopinaniu celów nie znajdowała dotąd przeszkód.

Arcyksiążę biegał jak rażony bzikiem, krzątał się, wynurzał przed powiernikami, spowiadał z gwałtowności uczuć; dopytywał każdego o radę, błagał o ratunek, wynosił pod niebiosa przedmiot swoich zapałów, wdzięcznie przyjmował wszystkich którzy prawili mu o Marji, z roztargnieniem słuchał przemawiających w innej jakiejkolwiek treści.

Pogłoska o miłości cesarskiego panicza ku pięknej małżonce szambelana, szparko zakrążyła po mieście. Zazdroszczono, odgadywano, chwalono, unoszono się nad szczęściem jednej, nad popularnością drugiego; otwarcie nikt się nie odzywał, nie szło tu bowiem o rzecz naganną w ludziach powszednich, ale o zwykłą zabawkę, ze wszech miar godziwą i przystojną dla piskląt z opurpurowanego gniazda cezarów.

Na Dworze, stare sępy myślały inaczej.

Zacietrzewienie arcyksięcia, w każdym innym razie do wybaczenia lub raczej do niebaczenia, w tej właśnie chwili, srodze nie zadowolniało jego rodzinę. Cesarzowi Franciszkowi I. potrzeba było wyswatać krewniaka z jakąś bawarską księżniczką. Stosunki polityczne czemprędzej wymagały tego związku; dzień obrzędu był prawie już oznaczony; dwór w Monachium codzień wyglądał przyjazdu pana młodego.

Arcyksiążę zwlekał, zżymał się, gdy mu wspominano o Bawarce, przeklinał w pień dawnego Elektora; nie wiadomo nawet, czyli zamknąwszy się w samotnym pokoju, nie złorzeczył Jego Cesarskiej Mości, nie wyzwierzał się na samego księcia kanclerza.

Namiętność przyprowadza niekiedy do ostateczności; arcyksiążę wszędzie Marję tylko miał przed oczyma; na zabój się za nią uganiał.

Wprawdzie, hrabina, otwarcie, wyraźnie, nie odpowiedziała dotąd jego uczuciom; nie podpadało atoli wątpliwości, pokazywało się jak na dłoni, z uśmiechów, z poglądów, z samego

nawet milczenia, że za pierwszem spotkaniem sam na sam, czeka go stanowcze zwycięstwo.

A więc na gwałt o schadzkę, o spotkanie — o schadzkę przez wszystkie bogi austrjackie, lotaryngskie, habsburgskie! — Kilka napomknień jakie zaczupurzony zalotnik rzucił był w tej mierze, pozostało bez skutku. Marja umilkała zapłoniona, lub udawała że nie rozumie. Może też i nie udawała; bez żadnego dotąd doświadczenia w podobnego rodzaju obrotach, nie wiedziała jak sobie począć, jak pogodzić niektóre sprzeczne dla gminnego życia warunki i obowiązki. Istne dziecko! — Wypadało wziąść ją za rękę i poprowadzić; sama, nie byłaby ani szlaku wynalazła, ani naprzeciw wybiegła na pół drogi, jak zwykle w takich wypadkach dziać się powinno.

Arcyksiążę szukał wszystkich, którzy, oprócz męża, mogli mieć jakikolwiek wpływ na umysł hrabiny; szambelana oczywiście nie wypadało zaczepiać — przyzwoitość przedewszystkiem. Sokolnik natomiast, od pewnego czasu, doświadczał szczególnych względów od przyszłego małżonka bawarskiej księżniczki.

Magnat jędyczył się z radości na widok niepospolitego faworu, udzielał półgębkiem żądanych objaśnień, podniecał zwątlone nadzieje i śmiało można było ręczyć że dostojnemu Panu, w oczach córki nie szkodził.

Przywiązany ojciec pieścił także własne marzenia, które łatwiej mogły wykluć się pod jasnemi promieńmi książęcej łaski.

Każdy na tym świecie za siebie.

Arcyksiążę nawzajem, popętany zamiarem schadzki, suszył mózg nad środkami przyprowadzania go do skutku i byłby go wysuszył nic nie wynalazłszy, gdyby szczęściem, nie był napotkał pod ręką doradców, których bystrzejszy dowcip wyprowadził go wreszcie z kłopotu.

Młody Pan, nie daleko Schöenbrunn posiadał wiejski pałacyk, otoczony rozległym zwierzyńcem. Pałacyk zbudowany w stylu myśliwskim, służył na wytchnienie po łowach; tysiące ścieżek na krzyże rozbiegłych, przerzynało las pełen pochyłości, wzgórków, ukrytych kniei, tajemniczych ostępów.

Polowanie na jelenia wyborne!

Arcyksiążę umyślił wyprawić u siebie małe łowy i zaprosić kilkanaście osób, jako to kanclerza z żoną, kilku starych generałów, kilku powierników swoich i adjutantów, nareszcie hrabiego Fürstemberga i zachwycającą jego małżonkę.

Szambelan i pierwszy minister, przez własny interes, nie mogli odmówić polowania na jelenie. Z ich też strony nie należało lękać się odmowy, ponieważ atoli nie o mężczyzn głównie chodziło, arcyksiążę przeto zaczął od przełożenia zamiaru Marji.

Na koncercie o którym wspomnieliśmy, przysiadł się do niej i wyrecytował zaproszenie, dodając że księżna kanclerzyna namiętnie lubi konne przejażdżki, że dla niej pragnie wyprawić małą rozrywkę, a raczej pod jej firmą, królową bowiem zabawy — jak łatwo można było odgadnąć, nie była wcale żona pierwszego ministra.

Arcyksiążę tak dziwnie czerwieniał, tak strasznie patrzył jąkając swe zaprosiny, że Marja mimowolnie zalękła, przerażona, z początku nie znalazła słowa na odpowiedź; pokrótce, drżącym głosem wymówiła przeproszenie że nie może korzystać z łaski, zasłaniała się zdrowiem, przyjęciem właśnie na tenże dzień innych zaprosin, aż nareszcie sama wdała się w prośby o uwolnienie jej, o wyłączenie z myśliwego towarzystwa.

Niespokój w rysach, rumieniec na twarzy, trwoga jakaś w oczach, dodały młodej kobiecie wdzięku; arcyksiążę pożerał ją wzrokiem. Polowanie mniej niż kiedykolwiek mogło się obejść bez Marji. Dzień naznaczony można było odmienić, wszystkich przeprosić, odprosić i powtórnie zaprosić, postąpić z nimi jak się podoba, byle tylko hrabina chciała cofnąć ostateczną odmowę, byle raczyła odwołać srogi wyrok i zostawić nieszczęśliwemu chociaż promyk nadziei.

Rozpłomieniony Habsburczyk odszedł, ofiarując jej czas do namysłu, prosząc aby mu pozwoliła, nazajutrz, za dwa, za trzy dni, dowiedzieć się o łaskawszą odpowiedź. Polowanie powinno było przyjść do skutku, dwa wytropione jelenie musiały poledz. Łowczy z poradą biegłych myśliwych,

urządził samotrzaski, pozastawiał sidła, zażył wszelkich fortelów.

Jeden z powierników rakuskiego kniazia, szepnął mu na ucho że zapraszając córkę na polowanie, godziło się nie pomijać ojca, tembardziej że ostatni z roskoszą przyjąwszy zaprosiny, użyje swojego wpływu na jedynaczkę i wytłumaczy jej konieczność odpowiedzenia zaszczytnym względom.

Arcyksiążę uznał słuszność uwagi.

Przy końcu tegoż koncertu na którym zawiódł był z Marją wyż przytoczoną rozmowę, korzystał z chwili gdy orkiestra wszczynała najsilniejszy hałas i nieznacznie podsunął się ku gronu, gdzie ośmielała się wstydliwie połyskiwać łysina Sokolnika.

Dygnitarz od niejakiego czasu, doznawał często najmiłościwszych arcyksięcia nagabań; cenił jak należało tę niepospolitą oznakę, domyślał się jej przyczyn i z wdzięcznością przyjmował wysoką łaskę; znał atoli że łaska ta harcowała na pstrym koniu i że trzeba było kuć żelazo póki gorące.

Wziąwszy tak rzecz na rozwagę, przysiągł upożytecznić pierwszą sposobność — że zaś człek był honorowy, nie podpadało zatem wątpieniu że słowa dotrzymać sobie potrafi. Widząc zbliżającego się arcyksięcia — z podełba, dumnie po obecnych okiem zatoczył, zgiął się wedle zwyczaju, czekał w zachwyceniu na pierwsze słowo.

Arcyksiążę roześmiał się, otworzył usta, otarł ślinę — nie wiedział jak zacząć.

Szczęściem, muzyka rzępoliła i dęła co siły; koncert podał mu trafny przedmiot do rozmowy, po chwili więc namysłu zapytał Sokolnika czy lubi muzykę?

Magnat z głębokim ukłonem odpowiedział że ma zaszczyt dzielenia tego upodobania z dostojną rodziną Jego Cesarskiej Mości.

— I ja także lubię muzykę, odparł arcyksiążę odprowadzając go nieznacznie na stronę i wspierając się plecami o uszak wysokiego do ziemi okna, które go zasłaniało przed resztą towarzystwa. Tak jest — ciągnął dalej — lubię muzykę ale nie każdą.

— W. Ks. Mość śpiew zapewne nad wszystko przekłada?

— Śpiew śpiewem, a muzyka muzyką; co pan hrabia powiesz o trąbach?

— Piękny instrument — rycerski, wojowniczy! — Zapewne — ja również przenoszę nad inne muzykę wojskową.

— Pan hrabia masz na myśli bębny i kotły; ja nie o wojskowych mówię trąbach.

— Ha — tak — rozumiem! W. Ks. Mość nie o wojskowych trąbach raczy mówić.

— Na placu broni tak dalece wojskiem jestem zajęty, że muzyki nawet nie słucham; ale za to w lesie, na polowaniu, między drzewami, skoro ozwą się rogi — to mi dopiero muzyka!

— W lesie — bez wątpienia; cudowny efekt! Echo powtarza dźwięki — zachwycające dźwięki!

— Pan hrabia, jak uważam, jesteś lubownikiem polowania?

— Namiętnym Mości książę; niebo stworzyło mię na Frejschütza.

— Cieszy mię to; w takim razie podam mu sposobność pofolgowania ulubionej rozrywce. Wyprawiam w moim zwierzyńcu małe łowy — dla dam; księżna kanclerzyna z ochotą jeździ konno — chciałem uczynić jej niespodziankę. Będzie nas kilkanaście osób — blizsi tylko i lepsi znajomi. Pan hrabia nie odmówisz znaleźć się w ich liczbie?

— W. Ks. Mość zawstydza mię swoją łaską — odrzekł Sokolnik rozpromieniony, powietrzniejący z zachwytu.

— Bynajmniej panie hrabio; jest to dla mnie samego wielka przyjemność. Pragnąłem aby kanclerz i jego żona znaleźli się w towarzystwie dla nich najmilszem. W tym celu miałem zamiar prosić szambelana Fürstemberga; napomknąłem już kilka słów hrabinie pańskiej córce. Trudno mi z jej strony pochwalić się przychylną odpowiedzią; hrabina nie chciała dać stanowczej. Spodziewam się jednak, że znajdę przed córką poparcie w przyjaźni ojca. —

Sokolnik stał zamyślony; ciężkie jakieś dumy krążyły mu po głowie, twarzą wyrażał zafrasowanie, które nie mogło ujść nawet arcyksięcia uwagi.

— Nie mylę się — nie prawdaż panie hrabio? — rzekł

ostatni. Dziś mamy Wtorek — w Sobotę zobaczymy się na polowaniu; schadzka na pół drogi do Schoenbrunn.

— Wola W. Ks. Mości jest dla mnie najwyższem prawem — wszelako — gdybym śmiał otwarcie myśl moją wynurzyć — —

— Mów pan jak przed samym sobą.

— W. Ks. Mość zaszczyciła swemi zaprosinami kilkanaście tylko osób?

— Dwadzieścia najwięcej.

— W tem właśnie leży dla mnie przeszkoda, trudność — ważna trudność, dla pokonania której muszę odwołać się do całej potęgi posłuszeństwa jakie mię przejmuje ku rozkazom W. Ks. Mości.

— Nie rozumiem panie hrabio; zkąd? — Mała wycieczka — przejażdżka — na wieś, na polowanie.

— Młodzież, Mości Książę, stawi się jako niezbędna do każdej zabawy; obecność starszych innym ulega względom; nie każdy ma równe prawo do przyjmowania od W. Ks. Mości podobnych zaszczytów.

— Jak to — czyliż ja nie mogę zaprosić do siebie kogo sam zechcę?

— W. Ks. Mość jest nieograniczonym panem swej woli. Słowa moje stosowały się do zwyczaju dworskiego, który na małoliczne, poufałe zebrania, tak u Dworu jako u członków cesarskiej rodziny, przypuszcza tylko ludzi mniej więcej równych co do godności.

— Na wsi, panie hrabio, na polowaniu — dopiero pan usłyszysz moją myśliwską muzykę! dwunastu trębaczy jakich nie ma w całym Wiedniu — na wsi powtarzam, nikt nie baczy na ceremoniał. Wreszcie rodzina pańska do pierwszych w kraju należy?

— Na galicyjskim sejmie, Mości Książę, zasiadam w pierwszym rzędzie krzeseł magnackiego Stanu; to jednak nie wystarcza. Oprócz stanowiska nabytego urodzeniem, są jeszcze inne stopnie społecznej hierarchji: łaska dworu, urzędy dworu, stanowią między ludźmi różnicę.

— Bez wątpienia; ależ pan hrabia posiadasz, jeżeli się nie mylę, urząd przy dworze?

— Od dwudziestu przeszło lat, jestem Sokolnikiem — podczas gdy inni, daleko odemnie młodsi — —

— Od dwudziestu lat! — Czy podobna?

— Najniezawodniej Mości Książę. Wprawdzie, nie naprzykrzałem się nigdy; tak naprzykład w tej chwili ust nie otworzyłem, chociaż od miesiąca już zawakowała posada jednego z mistrzów ceremonji.

— Niesłusznie pan hrabia czynisz; trzeba mówić, trzeba przypominać.

— Pragnąłbym aby zasługi moje za mną przemówiły, wątpię bowiem czyli ktokolwiek dał więcej dowodów wiary dla tronu i gotowości poświęceń dla panującego domu.

— Prawda — niezaprzeczona prawda! — Słyszałem o tem, nie pamiętam od kogo.

— Dziś nawet — ciągnął dalej Sokolnik składając ręce jak do pacierza — dziś, nie odważyłbym się wspominać przed W. Ks. Mością o tak nudnych szczegółach, gdyby nie wysoki zaszczyt zaprosin jaki mię spotyka na poufałe zebranie. Człowiek w moim wieku, znajdę się sam jeden podrzędnego stopnia między pierwszymi dygnitarzami, między kawalerami orderu Złotego Runa, tej najznakomitszej oznaki jaką Najjaśniejszy Pan może uczcić wierność wybranych swoich sług. Wczoraj jeszcze, córka moja, z dziecinną prostotą, pytała mię dla czego nie mam dotąd Złotego Runa? Nie mogłem jej wytłumaczyć, że rzadki ten zaszczyt z trudnością bywa udzielanym. Dziecinne jej przywiązanie znajdowało na swoją korzyść tem więcej jedną przyczynę. Dowodziła mi że nie będzie spokojną ani szczęśliwą, dopóki ojciec jej, za każdym krokiem, będzie musiał ustępować pierwszeństwa Kolowratowi, Lobkowitzowi, Lichtensztejnom, Chotkowi, Szwarcembergom, Dietrichsztejnowi, Esterhazym i tylu innym. Zabawną mieliśmy rozmowę.

— Hrabina święcie mówi; zapewne! — Dla czego pan hrabia nie masz dotąd Złotego Runa, zwłaszcza gdy order ten córce jego sprawiłby przyjemność?

— Nie potrafię odpowiedzieć W. Ks. Mości i nie ośmieliłbym się nawet wchodzić w przyczyny.

— Hrabina przecież nie może pozostać bez odpowiedzi.

Jeżeli pan hrabia nie chcesz zaspokoić ciekawości córki, pozwolisz że ja go wyręczę. Cesarz Jegomość w tych czasach na mnie łaskaw; książę kanclerz musi mię na coś potrzebować — nieprawdaż? — Upatrzę stosowną chwilę i wyświecę sprawę. Zasługa nie powinna czekać na nagrodę; sprawiedliwość przedewszystkiem — nieprawdaż?

— Łaska W. Ks. Mości przewyższa słabe moje zasługi.

— Bynajmniej. My pierwsi powinniśmy dawać przykład płacenia długów. Zobaczysz pan czy umiem brać się do dzieła; tak oto jednym zamachem — po wojskowemu! Mam nadzieję że w Sobotę, hrabina nie będzie potrzebowała powtarzać zapytania — wszak i pan hrabia przyjedziesz na polowanie — nieprawdaż?

— Rozkaz W. Ks. Mości, tak dla mnie jak dla każdego z mojej rodziny, może obejść się bez odpowiedzi.

— Punkt o dziewiątej — na umówionem miejscu — myśliwska godzina! — Nieprawdaż? —

Sokolnik skłonił się niemal w kąt prosty, stał jakiś czas ze zwieszoną głową a gdy podniósł czoło, arcyksiążę znikał mu w tłumie osób wychodzących z sali.

Magnat nie tracąc czasu pospieszył za córką, zaprosił się do niej na obiad, odprowadził ją następnie do teatru, wszczął mimochodem pogadankę o polowaniu, wytłumaczył zaszczyt jaki ich spotykał; przekonał że nieprzyzwoitością, ba nawet niezrozumieniem własnego interesu, byłaby odmowa książęcej grzeczności. W przyjęciu zaprosin towarzystwo nic szczególnego nie znajdzie; przeciwny postępek zadziwi wszystkich, nie jeden puści się drogą niepotrzebnych domysłów, zebranie wreszcie odbywa się na cześć księżnej kanclerzyny; łowy przed Dworem i przed ludźmi nie mają innego celu. Odmawiać niepodobna. Narażać się księżnie — uchybiać pierwszemu ministrowi! — Lepiej odrazu kamień sobie przywiązać do szyi i pogrążyć się w głębokościach wód. Kto żyje w świecie, musi stosować się do wymóg światowych; wysoki ród i urząd, pociągają za sobą święte obowiązki.

Sokolnik rozwijał swoje dowody tym słodkim, przekonywającym głosem, jaki zawsze tak pomyślnie trafiał do prze-

konania córki. Marja musiała przyznać słuszność żądaniom ojca-przyjaciela.

Nazajutrz, gdy szambelan odebrawszy uroczyste wezwanie od arcyksięcia, poszedł zawiadomić żonę, hrabina z zadziwieniem przyjęła nowinę, jak gdyby pierwszy raz o niej słyszała i zdała się bezwarunkowo na wolę męża. — Nadmieniła wprawdzie z niechcenia, że nie czuje się zupełnie zdrową, że radaby pozostać w domu; szambelan atoli ubłagał ją że na ten dzień postara się zebrać wszystkie swoje siły. Posłuszna małżonka uległa żądaniom męża; szambelanowi włos jeżył się na samą myśl, że można było pominąć zabawę wyprawianą dla księżnej.

Wszyscy troje, ojciec, córka i zięć, każde z siebie i jedno z drugiego szczerze byli zadowolnieni.

Arcyksiążę tymczasem dotrzymywał danego słowa. Przez siostry, ciotki, stryjenki, braci, wujów, dobierał się do J. C. Mości i do księcia kanclerza, następował wszystkim na pięty, dręczył, prosił, prześladował, zaklinał. Niepodobna było go się pozbyć, chyba czyniąc zadość jego naleganiom. Dwór nadto gotował się wkrótce dać mu do połknięcia gorzką pigułkę, w obecnej przeto chwili tem mniej pragnął go zrażać. Sprawa Sokolnika pomyślną zatoczyła się koleją.

Kilka dni przedzielających Wtorek od Soboty, szybko przeminęło.

W umówiony dzień i o naznaczonej godzinie, towarzystwo zjechało się na pół drogi do Schoenbrunn. Kilku starych generałów, kilku adjutantów arcyksięcia, kilka bezbarwnych dam Dworu, jakiś zagraniczny ambasador i wielki Łowczy cesarski zaproszony z urzędu, stanowili tło obrazu, którego główne postacie, książę kanclerz z żoną, Sokolnik z zięciem i z córką, zdążali w dwóch czterokonnych powozach. Wierzchowe konie, służba w wigilję jeszcze odprowadziła na miejsce.

Arcyksiążę ruszył naprzód, goście podążyli za nim i po godzinie szparkiej jazdy, wszyscy znaleźli się śród gęstego lasu, na dziedzińcu małego letniego pałacyku, gdzie liczna służba w myśliwskiej liberji, czekała z potrzebnemi do łowów przybory.

Gospodarz stał na progu, podał rękę księżnie jako gospodyni dzisiejszej zabawy, resztę zgromadzenia uprzejmie powitał; na Marję tylko zdawał się całkiem nie zważać; ojciec jednak hrabiny wyraźnie dostrzegł że dostojny Amfitrjon zapominał się niekiedy, że odwracał się ku córce i wtedy szeroko otwierał usta i oczy w słup ścinał.

Sokolnik niecierpliwie czekał na rozwiązanie dotyczącej go zagadki; nikt słowa mu o niej nie wspomniał.

Magnat zaczynał już wątleć na duchu, żałować że dał się wraz z córką wyprowadzić na polowanie.

Jedna chwila przemieniła w nim gorzkie usposobienia. Książę kanclerz nic prawie mu nie rzekł, ale niezwykłem uściśnieniem ręki, kilku nieznacznemi wyrazy gdzie przebłyskiwała wzmianka o wdzięczności dla cesarza, przychylniejszym, poufalszym sposobem obejścia dał mu poznać, że gwiazda jego weszła na widnokrąg monarszej łaski, napełnił mu serce otuchą i nadzieją.

Sokolnik ledwo się nie rozpłakał; niewyczerpana dobroć majestatu, tkliwa opieka pierwszego ministra, rozrzewniały go nad wszelkie wyrażenie.

Książę kanclerz natychmiast odjechał; nawał zatrudnień wzywał go do Wiednia, przez respekt tylko dla osoby jednego z swoich panów, nie śmiał wcale się nie pokazać; odprowadził żonę i za wysokiem pozwoleniem gospodarza, pospieszył czuwać nad potęgą cesarstwa.

Wraz z odjazdem kanclerza, sławne trąby arcyksięcia uderzyły pochodowego; młodzież obojej płci i mężczyzni, dosiedli koni; trzy podeszłe damy i starego ambasadora wsadzono do powozu i wyprawiono główną drogą ku przesmykowi, gdzie myśliwi obiecywali sobie ostanowić jelenia.

Mówi się tu o myśliwych z rzemiosła, goście bowiem mieli więcej na celu przejażdżkę i uczestniczenie w wypadku łowów aniżeli szalone, angielskie za zwierzem gonitwy.

Wielki Łowczy Dworu nie mógł atoli dla samej godności urzędu, nie sprawić szyków wedle prawideł sztuki. Skoro tylko zapuszczono psy, rozpuścił na różne strony jezdnych, polecając każdemu kierowanie się na odgłos pobudek i zjazd ogólny w miejscu zkąd zabrzmi ostateczne hallali. Kto pierwszy

spostrzeże jelenia, ten w tryumfie otrzyma rosochatą jego koronę; każdy więc mógł się rzucić drogą jaką mu wskazywało przeczucie.

Zwierzyniec liczył przynajmniej cztery mile obwodu; tysiące dróg, ścieżek, przesmyków, krzyżowało się za każdym krokiem; tu i owdzie wznosiły się chatki dozorców, gdzie można było odpocząć lub o drogę zapytać.

Księżna wysłuchawszy rozporządzenia, pomknęła pierwsza, tuż za nią wypuścił szambelan; jeden z książęcych adjutantów porwał z sobą Sokolnika, inny wyprowadził dwóch starych generałów na szeroki szlak, gdzie roztrzęsione ich kości stępo mogły kroczyć; koń Marji zachęcony przykładem towarzyszów uciął z kopyta tak dziarsko, że młoda łowczyni zaledwie miała czas skręcić go wyłączną sobie ścieżką.

Arcyksiążę pogonił za hrabiną, zaciął pierwszego konia harapnikiem, swego spiął ostrogami. Marja niespokojna, strwożona nagłą pogonią, rzuciła błędne zapytanie o stronie dokąd dążyli, jak gdyby pierwsze lepsze niemieckie nazwisko było dla niej skazówką w miejscach cale do tej pory nieznajomych.

Jeździec odpowiedział że wiedzie ją tam, gdzie łowy obiecują wziąść najpomyślniejszy obrot.

Huk trąb, ujadanie psów, krzyki myśliwych, coraz bardziej od nich się oddalały; las ciemniał i dziczał, cisza zalegała gęstwinę; przesmyki i kręte ścieżki biegły ku knicjom, jak się zdawało, rzadko uczęszczanym.

Arcyksiążę wypromieniony nadzieją, znajdował się wreszcie sam na sam z przedmiotem swoich zapałów. Wyzwolony od natrętnych spojrzeń, mógł głośno, otwarcie wyspowiadać lube katusze serca, przekonać, zwyciężyć i owładnąć jak przystało na potomka tylu strategów, wojowników i zdobywców.

— — — — — — — — — — — — — — —

Nie ma tu gdzie wina pod ręką? — Wypijmy toast na cześć sentymentalizmu dawnej panny Sokolniczanki! — Dobrze — nalewaj! — Jeszcze jeden — drugi — trzeci, dziesiąty! — Za zdrowie wszystkich Sokolniczanek! — Dość! — Wina nie starczy! —

— — — — — — — — — — — — — —

Tymczasem, z przeciwnej strony lasu, tam gdzie jeleń miał się pokazać, szambelan kończył scenę przed kilkoma dniami rozpoczętą na Praterowej przejażdżce.

— Książę kanclerz, mówił do małżonki pierwszego ministra, wcześnie nas dziś odjechał. Jego Książęca Mość nie daje sobie chwili wypoczynku.

— Dziś zwłaszcza — odrzekła księżna — nie mógł nam towarzyszyć, musi przygotować się na posiedzenie; późnym wieczorem ma Radę ministrów która bez wątpienia, większą część nocy mu zabierze.

— Dziś księżno? — Wyraz ten smutno dźwięczy w mych uszach, przypomina mi że skończy się dzień dzisiejszy, że jutro nadejdzie — a z jutrem, znowu też same troski, znowu samotność.

— Niesłusznie lękasz się pan jutra; może być bardzo że sam się przekonasz o ile byłeś niesprawiedliwym.

— Jak to księżno! — Mógłżebym się spodziewać, że jutro wolno mi będzie wywiązać się z długu?

— Z długu — z jakiego?

— Bransoletka księżnej naprawiona, czeka na jej rozkazy.

— Ach prawda! — Nieszczęśliwa moja bransoletka — zapomniałam — chociaż codzień postrzegam że mi czegoś brakuje. Oddaj mi pan bransoletkę jak najprędzej! — Dziś jeszcze.

— Nie mam jej przy sobie — szepnął szambelan widocznie zakłopotany. —

Księżna uśmiechnęła się.

— Domyślam się, rzekła, że pan nie wziąłeś jej z sobą na polowanie; ależ dziś jeszcze wracamy do Wiednia. —

Szambelan wrócił do życia; z napadu zwątpienia, przeskoczył od razu do szału szczęścia.

— Dziś księżno? — wyjąkał udając wzruszenie — dziś, wieczorem?

— Przed jedenastą, spotkasz pan na rogu ulicy naszego pałacu moją służącę.

— Służącej mam oddać bransotetkę?

— Bynajmniej — jeżeli źle naprawiona, jeżeli — jako pan obiecywałeś, nie potrafisz sam zapiąć mi jej na powrót.

— Księżno! — Tyle łaski — tyle szczęścia, nie zmieści się w piersiach jednego człowieka.

— Nie mówmy o szczęściu! Kto inny przed nami, może pierwszy spostrzedz jelenia.

— Nigdy! — Niebo z nami! — Słyszy księżna w oddali łom ten w gęstwinie? — Spieszmy! —

Wypuścili konie, pędzą jedno obok drugiego; ona mu rzuca wdzięczne uśmiechy, on jej odpowiada płomiennem wejrzeniem. Hałas psów i myśliwych coraz się wzmaga, przybliża; z pomiędzy krzewów, z rogami złożonemi niemal na grzbiecie, wydziera się jeleń, przesmykiem — o cudy, o dziwy, o niesłychane szczęście! — Miga szalonemi skoki i drugi, w dali psy strasznie skowyczą, ubiegnie jeszcze nieco czasu nim się do łupu dobiorą. Myśliwi słyszą że psiarnia wpadła na trop, ale zwierzyny żaden z nich dotąd nie widzi; księżna i szambelan pierwsi postrzegli ofiary dzisiejszych łowów.

Gonitwa trwa długo — ze dwie godziny przynajmniej; dzicz rączo wymyka się zagubie — nareszcie z ostępu podnosi się ogólny huk trąb i wrzask dojeżdżaczów; towarzystwo w to miejsce ma się zgromadzić — tam rozjuszone sfory dopadły nakoniec zdobyczy.

Przybywają wszyscy, nie razem, jeden za drugim — naprzód księżna i szambelan, za nimi Sokolnik z adjutantem; kłusem wloką się starzy generałowie. Pomyślnem zdarzeniem, łowieckie pobojowisko nie daleko od drogi; wyłażą z powozów hofdamy i ambasador — na własne oczy o zwycięstwie mogą się przekonać.

Jednej pary dotąd brakuje: dostojnego gospodarza i hrabiny. Czekają, wyglądają z niecierpliwością — nie widać nikogo; musieli zabłądzić w lesie. Trąby raz jeszcze głośny chór zawodzą. Ucichło.

Słychać tentent w oddali — to oni! — Przybywają nareszcie na spienionych koniach; w samą porę by ujrzeć dogorywającą zwierzynę. Witają się, winszują sobie nawzajem, wspominają urywanemi słowy o szczegółach pogoni. Arcyksiążę rad, wesół, jak gdyby na stu koniach przyjechał; Marja

usiłuje twarzą kłamać swobodę, ale brwi jej zmarszczone, w oczach trochę gorączki; gwałtowny może pośpiech jazdy wystraszył nieco nieprzyzwyczajoną młodą kobietę.

Do wszystkiego trzeba zwyczaju; z czasem i to się znajdzie.

Sokolnik również dziwnie uradowany; zaciera ręce, co chwila kłania się arcyksięciu; na tych których sądzi niższymi, pogląda opiekuńczem okiem.

Księżna ściska Marję za ręce, dopytuje o zdrowie, bada o przyczynę bladości, podaje flaszeczkę z solami, krząta się jak około własnej siostry.

Szambelanowi leniwo pełzną godziny; do wieczora mu jeszcze nieskończenie daleko, żyje tylko nadzieją, a żyłby rzeczywistem szczęściem, gdyby księżna mu była wyjawiła, że Dwór wywiedziawszy się o przyczynach dzisiejszego polowania, postanowił wspaniałym fortelem pozbyć się z Wiednia osoby, zawracającej głowę przyszłemu małżonkomi bawarskiej księżniczki.

Nim drugi raz słońce wejdzie, tajemnica wyniesienia młodego dyplomaty powszechnie będzie wiadomą.

Łowczy tymczasem przynosi wyłamane jeleniom ozdoby i według umowy, dzieli łupy między księżnę i szambelana. Jedna para rogów pójdzie do kanclerzowego pałacu; drugą mąż hrabiny w swoim przysionku na pamiątkę zawiesi.

Towarzystwo w roskosznem usposobieniu porzuca knieję, wsiada do powozów, wraca do pałacyku, gdzie stół zastawiony czeka na państwa przybycie.

Arcyksiążę zbliża się do Marji, prosi półgłosem o pozwolenie osobistego dowiedzenia się o jej zdrowiu; hrabina nie odpowiada, prawie nie słucha. Szambelan również ani patrzy, ani wysłuchuje; on już oznajmił żonie że tego wieczora, za nagłemi sprawami rządowemi musi wyjść z domu i że późno zapewne powróci.

Uczta wesoła ale krótka; każdemu spieszno do stolicy; każdy ciekawy końca dnia, który dla każdego w tak niezwykły sposób się zaczął.

Po chwili pusto w pałacyku; z ludzi prawdziwych nie ma nikogo; służba książęca tylko się uwija i rozrywa pańskie ostatki.

— — — — — — — — — — — — — —

Nazajutrz o świcie, z pałacu księcia kanclerza, szambelan wymykał się tylnemi drzwiami tuląc do piersi nominację na posła do Florencji i rozkaz bezzwłocznego wyjazdu.

Wrócił do domu, chciał czemprędzej wszystkim oznajmić szczęśliwą wieść, ale późnym nawet porankiem nie mógł jeszcze dostać się do pokojów hrabiny, która zmęczona, cierpiąca, wypoczywała po niespokojnej nocy.

Sokolnik ku południowi także napróżno dopraszał się do pokojów córki; nadmieniono mu aby później powrócił, nie dał się jednak zrazić odmową i postanowił czekać choćby do wieczora. Przywiązany ojciec chciał najprzód córce przedstawić się jako świeżo zamianowany wielki mistrz ceremonji i kawaler orderu Leopolda pierwszej klassy. Na Złote Runo kazano mu jeszcze poczekać. Hosanna! — Hosanna! —

XVI.

Dopływamy do brzegu. Jeszcze kilka, kilkanaście kartek a rozstaniemy się z sobą czytelniku, zapewne na długo. Gdzie i kiedy spotkamy się znowu? — Nie wiem, nie przewiduję.

Dierżawy Świętego Przymierza i sprzymierzonych, istny step zajęty pożarem. Przy huku rozstrzeliwań, przy szczęku łańcuchów, przy skrzypie więziennych zawiasów, przy chrapaniu powrozów szubienicy, przy jęku ofiar, przy zgrzytliwych pośmiechach katów i bluźnierstwach wszelkiego rodzaju odstępców, krzywoprzysiężców i zdrajców; przy pobożnych — dla uzupełnienia obrazu, katolickich śpiewach na cześć podpalaczów Husowego stosu i wynalazców męczarń Inkwizycji, duch wstecznictwa zbratanego wspólną niecnotą, podnieca płomienie, roztacza coraz szerzej krąg żaru, wytrawia, spopiela każdą wolną roślinę, każdy swobodny kwiatek, wyławia kłębami dymu ostatnie promyki światła, dnie i noce, czas cały w jedną gęstą noc przeszatani, i gdyby nie morskie odmęty, ziemię pochłonąłby i zmienił w wielkie rumowisko popiołów i w zgliszcza.

Morderczy żywioł, od Kamczatki aż do Wezuwjusza, fali się jedną ognia płaszczyzną, rozgryza, chłonie jedne kraje po drugich; dla stopy wolnego człowieka zostaje tylko kilka helweckich lodowisk, gdzie sam orzeł dotąd szpony zaczepiał, kilka wąwozów w Alpach Piemontu, gdzie morski tylko rybak budował swoją siedzibę. Już nareszcie i tam duszno, już i tam zakrada się ucho donosiciela i kołpak żandarma — nie

ma ratunku! — Trzeba otrząsnąć pył z obuwia, ciągnąć za morze.

Ale zanim godzina rozstania wybije, zanim okręt żagle rozwinie, dokończę jeszcze powieści.

Dokończę powieści chociaż nie widzę dla czego miałbym ją kończyć?

Człowiek, najdziwaczniejsze stworzenie, które je wtenczas kiedy nie głodne, pije gdy nie spragnione, i całe życie na to tylko pracuje, aby wydał się czem innem niż jest w istocie, człowiek postawił sobie niby za wzór naturę, stworzył logikę, wynalazł prawa, na mocy których wszystko co nie jest zaokrąglonem, zawiązanem na węzełek, ograniczonem — zdaje się mu niedokładnem, niegodnem znaczenia jego, wartości i wysokich w świecie powołań. I musiał tak postąpić, inaczej życie pokazałoby się mu bez przyczyny, bez celu, a co gorsza, nie dałoby się porubrykować jak handlarski regestr, ująć w żaden zrozumialny system. Ztąd upokorzenie nielada i obniżenie ważności we własnem przekonaniu.

Dalejże więc pisać o wszechharmonji, wszechzgodzie, wszechmiłości i podziwiać porządek wszechświata, jako porządek najporządniejszy, najsprawiedliwszy, jako ostatni wyraz wszechdoskonałości, której świętym i mądrym zasadom nic zarzucić niepodobna.

Wprawdzie geografy i naturaliści, przedstawili niektóre fakta mogące zachwiać tą wygodną teorją; ale świętokradcom tylko przychodziły na myśl zapytania, dla czego w tym doskonałym, sprawiedliwym i miłosnym układzie ziemi, na jednem miejscu ludzie puchną od mrozu, na drugim giną od skwarów; dla czego tych niszczy lawa wulkanu, tamtych zasypują śnieżne nawałnice; dla czego w całym szeregu jestestw organicznych, zacząwszy od polipa a skończywszy na czworonogach, jak mówi konstytucyjny król stworzenia człowiek, jedno rzuca się na drugie, morduje, pożera; dla czego wszystko żyje i dyszy wojną i rozbojem?

Zawiłe pytanie! — Zastanawiać się nad niem, rozwiązywać go się nie godzi.

To jedno jest pewnem, że ład i sprawiedliwość nie wszędy panują, że wiele rzeczy zaczyna się, wiele urywa i nie kończy,

jako zwykle dzieje się w każdej wojnie, w każdym zamęcie.

Siła bez wątpienia ubyłoby złego, gdyby człowiek nie przyjmował na siebie życia, tylko zawarłszy wprzódy umowę, wężowo się opisawszy, położywszy wyraźne, ostęplowane warunki, pod któremi przystaje na ciężar bytu, zgadza się na wirowanie w tem bezrozumnem, żelaznem bliźnich stosunków kole, gdzie każdy ząb będzie mu część ciała lub duszy wyrywał.

Tak daleko jeszcześmy nie zaszli. Pomimo dróg żelaznych, zapałek chemicznych, paszportów, pomimo Kajeny i Nuka-Hiwy, wynalezionych w epoce republikańskiego braterstwa we Francji, Spielbergu w Austrji, Sybiru w Rosji, galer w Rzymie i pontonów w Neapolu, pomimo wszystkich wyduszanych i odkradanych konstytucji, cywilizacja jest dopiero u kolebki.

Umowy wszelkie i dotrzymywania ich, dobre dla powszednich śmiertelników, ponieważ zaś i autor i księgarz są powszednimi śmiertelnikami, i jako tacy zawarli między sobą umowę, rozkładam więc przed sobą kilka ostatnich arkuszy papieru i rzetelnie przystępuję do ukończenia powieści.

Sam wreszcie nienawidzę rzeczy niedokończonych, z tem większą zatem łatwością śpieszę wypełnić warunki.

Zaraz — natychmiast — o kogoż nam jeszcze chodzi?

Ba! dotąd prawie o wszystkich. Zostawiliśmy dopiero rodzinę Sokolnika przybijającą do portu drogich nadziei, wesoło rozpędzoną po drodze znaczenia i zaszczytów, wynagrodzoną, szczęśliwą — jak się panom wysokiego rodu słusznie należy.

We Lwowie, młody jego krewny, również nie ma na co się użalać.

Podczas gdy szambelan wymykał się z kanclerzowego pałacu, z nominacją na cesarskiego posła do Florencji; gdy Sokolnik, ciepło jeszcze zamianowany mistrz ceremonji, z pogardą poglądał na innych Sokolników cesarstwa, Wilczek wracał od ołtarza z żoną, z jedynaczką córką barona Dahlmana.

Polowania z kolei się udawały; tamtym na jelenie, temu na dziedziczkę.

Wilczek do chwili wyrzeczenia kościelnej przysięgi, jeden tylko cel widział przed sobą: małżeństwo — małżeństwo jako ucieczkę przed samotnością, roztarganiem i kłopotami bezżennego życia, małżeństwo jako — wedle słusznego wyrażenia — hotel lub raczej szpital Inwalidów po burzliwej młodości.

Cierpkie to wprawdzie było lekarstwo, ale konieczność nakazywała wychylić je do ostatniej kropli, przyzwoitość zaś nie pozwalała marszczyć się i krzywić w obec światowej gawiedzi.

Nowożeniec znał swoją żonę, jak zwykle zna się każdą pannę, to jest, nie znał jej wcale; z przestrachem więc nieraz przemyśliwał nad rzeczywistym charakterem swojej małżonki, nad strasznemi odkryciami jakich w niej dokona z upływem miodowego miesiąca, nad goryczą jaką często może przyjdzie mu zapłacić ocalenie świetnego, społecznego stanowiska.

Wilczek mylił się w trwożnych swoich przeczuciach; niebo pobłogosławiło jego związkowi.

Córka bankiera była, w całej słodyczy tego wyrazu, dobrem, łagodnem stworzeniem. Kochała męża z niemiecka trochę, idealnie ale prawdziwie. Znakomity ród hrabiego ćmił ją blaskiem, gdy była jeszcze panną, gdy sama siebie strofowała za szalone marzenia o związku z pierwszym w kraju paniczem. Skoro jednak sprawa raz została postanowioną, a bardziej gdy ksiądz raz wymówił ostatnie słowa zaklęcia na wieczność, panna Karolina postradała z oczu wzgląd na mężowskie pargaminy, widziała tylko przed sobą przedmiot swoich uczuć, przyzwyczaiła się do tytułu hrabiny, jak gdyby sama w książęcych pieluchach była zrodzona.

Pomogło jej ku temu niemieckie jej pochodzenie; wiadomo bowiem że człowiek z tego szczepu, gdzie raz się dostanie, tam wnet uważa się jak u siebie i w żaden sposób niepodobna mu wytłumaczyć niestosowności osoby do miejsca.

Córka bankiera patrzyła w męża jak w cudowny obraz. Z natury swej cicha, potulna, każdą oznakę uczucia przyjmowała za łaskę, sama zdawała się tylko prosić o pozwolenie nieograniczonego ubóstwiania towarzysza dni swoich.

Wilczek uczuł się rozbrojonym z niepotrzebnych obaw; wzruszyła go wdzięczność żony za to, że zaślubiając ją sam sobie dopomógł, że chwycił się bankierówny jako ostatniej gałązki ratunku.

Hrabia miał serce szlachetne. Wyzwolony z kłopotów, zmęczony przeszłością, widział przed sobą szeroką, wolną od wszelkich frasunków przyszłość. Wstręt i pogarda, zdjęły go na raz do konwulsyjnych popędów i uciech dawnego życia, zapragnął wytchnienia, spokoju, zamiany nawet bytu bezcelowego na inny, więcej zaspokający tajemne głosy sumienia, głosy które tem częściej w nim się odzywały, im głębiej brał rozbrat z przywykami młodości.

Zachceń tych, na nieszczęście, nie było na czem osadzić; sumienie wskazywało stronę, ale drogi nie wytykało bynajmniej. Czczość ogarniała Wilczka; w wywianej z zasad myśli, w woli swawolą dotąd się objawiającej, nadaremnie szukał podstawy i wyraźnych kształtów dla mglistych, niepewnych swoich zamiarów.

Do wspomnień ubiegłych lat, nie było po co się odwoływać, chyba w razie wyprawiania Baltazarowej jakiej biesiady.

Pierwsze chwile po małżeństwie, Wilczek spędził na pieniężnej spowiedzi przed teściem i na urządzaniu swoich interesów.

Dahlman chwytał się nieraz za głowę, kurczył na widok koniecznych wypłat, jak gdyby ostatnie żyły mu wypruwano; Wilczek nazywał go ojcem, z miasta tłumy sypały się co dnia z powinszowaniami świetnego związku, służba i pisarze z kantoru co chwila nazywali go baronem; bankier na gwałt oczyszczał hypoteki zięcia; niektóre przytem pomyślne obroty podwoiły w nim siły; czuł się jeszcze rzeźwym i przy natężeniu pracy, sposobnym do powetowania strat poniesionych przez małżeństwo córki.

Tymczasem, młoda hrabina, z nazwiska jak z dostatków musiała być pierwszą panią; Dahlman zamykał oczy na cyfry a kassę coraz szerzej otwierał.

Łatwo odgadnąć że ster interesów aż do zupełnego ich wyczyszczenia teść przyjął na siebie; dawał pieniądze i do-

świadczenie, dwa warunki jakich zięć całkiem był pozbawiony.

Wilczek pomagał mu tylko w podrzędnych zachodach, objaśniał, nowe tajemnice długów odkrywał.

O pewnych godzinach teść z zięciem, codziennie odbywali narady. Wilczek pamiętny na wymogi i zwyczaje kupieckie, punktualnie stawiał się o naznaczonej porze, i w tej nawet chwili, co mu pierwszy raz się zdarzało, od kwadransa przeszło, samotnie przechadzał się w teściowym gabinecie, czekał cierpliwie, co go również po raz pierwszy spotykało.

Dahlman nie przychodził, chybiał umowy; zatrzymywały go gdzieś ważne zapewne zatrudnienia. Nic dziwnego; od pewnego czasu, w dwójnasób przybyło mu interesów i stosunków. Możni panowie galicyjscy, ludzie jak wiadomo postępowi, bynajmniej nie wzięli jednemu z swoich za złe, połączenia z świeżo uszlachconą rodziną; każdy na jego miejscu byłby podobnie postąpił. Tłoczono się do państwa młodych z odwiedzinami, wyścigano w przyjęciach, w oznakach przyjaźni, szacunku, poważania.

Dahlman ustawał pod ciężarem spraw własnych, interesów zięcia, zapraszań i odwiedzin; przy niezmordowanej czynności zaledwie mógł wystarczyć potrójnym obowiązkom bankiera, hrabiowego teścia i barona. Nic zatem dziwnego że dawał na siebie czekać, że nie przybywał.

Wilczek z założonemi na piersiach rękami, rzucił się w szerokie krzesło. Kilka plik papierów tyczących się jego majątku, leżało, wyzywając właścicielską ciekawość; szczegóły te obchodziły głównie prawdziwego na nich znawcę, bankiera; hrabia skłonił głowę ku piersiom i wpadł głębokie marzenia.

— Swoboda, dostatki, znaczenie! — Mówił w duszy, przebiegłszy myślą teraźniejsze swoje stanowisko — trzy główne warunki życia zapewnione, zabezpieczone na zawsze! — Spokoju nic odtąd nie zakłóci, nawet żona, dobra, cicha istota, rada na każde spojrzenie, wdzięczna za każde słowo, szczęśliwa na każdy uścisk.

— I cóż dalej — jakimże odtąd strumieniem życie zechce popłynąć? —

— Zostać we Lwowie, szukać już nie ucieczki ale roskoszy w zgiełkliwem towarzystwie ludzi, którzy po większej części ostatkiem goniąc, pędzą na oślep? Przenieść się do Wiednia, i tam? — Tam innego! — Wiedeń nie Lwowem; w Wiedniu przypomną sobie że Dahlman od wczoraj dopiero baronem; w Wiedniu znajdą się tacy którzy przed żoną moją — przed hrabiną — —

Nie, nie! — Dość mi po Wiedniu i po jego zabawach; łepiej być pierwszym w swojej okolicy, niż jednym z drugich w największem mieście. U siebie na wsi, w moim pałacu, takim pan jak Cesarz w swoim dworcu.

— Więc wracać na wieś! — Osiąść na swoim majątku, przyjmować znowu przyjaciół, gości, cały ten orszak hałaśny który niegdyś dom mi roztrząsał! Ludzie ci zechcą tak samo gospodarować jak za bezżennych moich czasów, pomyślą może że pani hrabina nie z wysokiego rodu, nie przyzwyczajona do wykwintnego obejścia; że pijatyka, gra, hałas, w niczem jej nie ubliżą?

— Zwolna Mości Panowie! żaden z was nie nadużyje dobroci hrabiny, pierwszy któryby się odważył, któryby zapomniał że progi do starego domu Wilczków o jeden włos się nie obniżyły — ciężko zapomnienie przypłaci.

— Znowu więc kłótnie, znów zwady i pojedynki! —

— Nie — przysiągłem i słowa dotrzymam. Lepiej nie dawać im powodu, lepiej od razu z nimi skończyć, od razu dać uczuć, że Wilczek rad zawsze widzi znajomych, że gościnnie przyjmuje, ale nikogo nie zaprasza; że między dawnym trybem życia a nowym, nie ma i nie będzie żadnego podobieństwa. Dawne zwyczaje spłonęły z ostatnim pożarem; dziś, byt i budowle, wszystko odbudowane na nowo; zdeptana pochodnia szalonego życia i Bóg świadkiem że nie ja pokuszę się ją rozpalić.

— Czyliż swoboda wiejska, przy tkliwych staraniach żony, przy spokojnych gospodarskich rozrywkach, przeplatana odwiedzinami kilku wybranych przyjaciół, nie stokroć milsza od tego opętanego, całorocznego kuligu?

— Wiejska swoboda! — Ach przez dwanaście miesięcy na rok zawsze taż sama swoboda, co pora też same roz-

rywki, codzień też same zatrudnienia, co chwila te same twarze! —

— Jakież zatrudnienia? — Gospodarstwo, drobnostkowe wglądanie w masę nędznych szczegółów, sprzeczki o garść słomy, rozmysły nad deszczem i pogodą, nieskończone narady z ograniczonym ekonomem, ciągły widok biedy wyczłowieczonego chłopa, zawsze i wszędzie jedno i to samo — ach przy takiem życiu i dostatki zbrzydną, i spokój zamieni się w śmiertelną nudotę; dni staną ciężarem, każdy rok jedno więcej ogniwo do łańcucha udręczeń będzie dokuwał! —

Wilczek nasępił czoło, patrzył przed siebie błędnemi oczyma, gdy w tem zbudził go lekki szmer otwierających się drzwi.

Zerwał się, poskoczył, już chciał teścia powitać przyjacielską za spóźnienie wymówką; cofnął się na krok — nie Dahlmana postać ujrzał przed sobą.

Zebrał myśli dla przywiedzenia na pamięć dobrze znajomych mu rysów. Nie długo szukał. Za pierwszem słowem poznał w przychodniu Piotra Poraja.

Od czasu pamiętnego zajścia, z młodszym bratem nie zszedł się nigdzie; starszego po raz pierwszy spotykał.

Wilczek, ze spokojnem sumieniem mógł nie poznać Piotra; czas wielki snycerz, umie gdy zechce, ludzi przedłutowywać. Poraj podstarzał się przynajmniej o lat jaki dziesiątek; wąs mu zupełnie pobielał, głębokie zmarszczki wystąpiły na lica, poorały czoło. I wzrok szlachcica nie strzelał jak dawniej śmiałem, wesołem spojrzeniem, i ciało wyraźnie gięło się ku ziemi, niby przygniecione ciężkiem brzemieniem zawcześnie spadłej starości.

Piotr widno nie używał ale dożywał życia. Ciągle oddany pracy i od pewnego czasu nienawidzący miasta, rzadko kiedy bywał we Lwowie. Własne sprawy nigdy nie powoływały go do galicyjskiej stolicy; Sokolnika interesa którym wyłącznie się oddawał, wymagały nieprzerwanego pobytu na miejscu, i gwoli tylko tym ostatnim, w obecnej chwili, zjawiał się u bankiera, dla wypłacenia mu reszt jego wierzytelności pozostałych na dobrach magnata.

Majątek Sokolnika był wydźwignięty; hypoteki wypielono

z wszelkich długów, wyjąwszy z summ zaliczonych mu przez Poraja, od których dygnitarz dla przyzwoitości tylko słaby procent opłacał, podczas gdy wierzyciel o zwrot kapitału wcale się nie uprzykrzał. Powoli, bez żadnego natężenia, rocznemi upłatami, i ten ostatni dług miał zniknąć.

Piotr dokazał dzieła olbrzymiego, na pozór prawie niepodobnego; żelazną pracą, znakomitą zręcznością, poświęceniem bez granic, nastarczył i wierzycielskim wymogom i sutym potrzebom właściciela, wyłożył ogromny trud, nieustanny dozór; najbieglejszych przemyślników, okolicę całą otrzymanemi wypadkami zadziwił, ale swojego celu nie dopiął, trosk w pracy nie zaprzepaścił.

Samotność, brak istot, którym nie tylko poświęcenie ale serce i duszę byłby zaofiarował, gorzkiemi kroplami truciznę zapuszczały mu w żyły. Rozbrat z Kazimierzem trwał ciągle; przypadkowe spotkanie byłoby ich zapewne pogodziło, przypadek atoli właśnie przeciwko nim się oświadczył.

Piotr nieraz pochlebiał fortunie, szukał zejścia, stawał na drogach gdzie mniemał że musi wpaść w oko swemu wychowańcowi; napróżno! — Gęsty obłok zdawał się przesłaniać obu braci; pierwszego kroku — jak w podobnych wypadkach się zdarza, żaden nie chciał uczynić — do drugiego żaden, przy najszczerszej może woli, nie znajdował sposobności.

Piotr często, zdjęty rozpaczą, postanawiał złożyć pychę z serca, obiecywał sobie nazajutrz kazać zaprządz, ruszyć wprost do brata, wpaść na niego obcesem, obłożyć go ciężkiemi wyrzuty, uściskać, jeszcze raz, wyburczyć i znowu uściskać i więcej już się z nim nie rozstawać.

Nadchodziło jutro; brakowało mu na postanowieniu; odkładał na dalszy czas, lub cieszył się nadzieją że sam przypadek nastręczy szczęśliwą, pożądaną schadzkę.

Los nie odpowiadał jego oczekiwaniom; zgryzota i smutek ponury z każdym dniem głębiej żądło zapuszczały mu w serce. Poraj zaczynał już poczuwać w sobie brak sił odpornych — zwątpienie brało w nim górę nad odwagą i nad nadzieją.

Wilczek oddawna, z oczu stracił braci Porajów, z pamięci zajście z Kazimierzem. W natłoku podobnych wydarzeń, nie było powodu zastanawiać się nad tem, więcej niż nad innemi. Zjawienie starszego brata przywiodło mu na umysł ubiegłe koleje; cofnął się draśnięty nie miłem wrażeniem, jakie budzi pamięć niesprawiedliwego postępku; z ochotą byłby uniknął spotkania — zaklął w duszy służbie, która nie ostrzegła przychodnia że bankiera nie było w domu.

Wstępne to wrażenie przeminęło błyskawicą.

Wilczek doskonale pamiętał dzielną postać Piotra, swobodne, wesołe jego oblicze; uderzyła go nadzwyczajna w nim zmiana — bystrem okiem rozejrzał hieroglify cierpienia wypisane na tej szlachetnej twarzy; nieszczęście widocznie zamroczyło pogodne niegdyś czoło i chyliło ku ziemi rozpromienioną życiem postawę.

Zięć bankiera znał wartość Piotra, pamiętał szacunek jakiego tenże powszechnie używał. Spółczucie a może i cień dalekiego wyrzutu ścisnęły go za piersi; postąpił i wyciągając dłoń ku gościowi, rzekł łagodnym głosem:

— Teść mój wyszedł — wkrótce zapewne wróci; jeżeli potrafię Pana zatrzymać, jestem pewien że będzie mi niesłychanie wdzięcznym.

— Bardzo dziękuję, odrzekł Piotr zmięszany nieco widokiem Wilczka; zapewne przeszkadzam — zastałem pana nad papierami; powrócę później.

— Bynajmniej — mogę zaręczyć; z przyjemnością dotrzymam panu towarzystwa — we dwóch może prędzej się doczekamy. —

Poraj zimno odśmiechnął się na stereotypowy galicyjski żart; ujęty atoli uprzejmem obejściem, nie miał odwagi zdobyć się na odmowę; wreszcie, pomimo dotkliwych wspomnień jakie młody panicz rozbudzał mu w duszy, nie żywił ku niemu zaciętych gniewów. W sercu Piotra było tylko miejsce na żal, na smutek, na gorycz i tęsknotę; czysta jego dusza nie dozwalała przystępu osobistym namiętnościom. W nieszczęściu, los jedno umiał oskarżać; w pomyślnej doli, ludziom wyłącznie przypisywał zasługę. Przychylne słowo nigdy nie znajdowało go obojętnym; z pośpiechem zabiegał drogę ludzkim

względom i za szeląg uprzejmości płacił złotem szczerego uczucia.

Wilczek, jak wiadomo, nie takich ludzi potrafił ugłaskiwać; z łatwością przyszło mu ująć polską, prostoduszną naturę. Po kilku chwilach obojętnej, wstępnej wymiany słów, Piotr usadowiony w głównem krześle gabinetu, swobodnie odpowiadał na zapytania hrabiego i nawzajem wypytywał go o potoczne, miejskie szczegóły.

Rzecz mimowolnie zatoczyła się kilka razy wedle ostatniego małżeństwa.

— Rzadko kiedy bywam w mieście, mówił Poraj — chyba zmuszony koniecznemi sprawami; rad jestem atoli żem dziś zabłądził w te strony, zyskałem bowiem sposobność powinszowania panu świetnego związku. W naszym kraju, pierwszem powołaniem jest gospodarstwo, samotny zaś człowiek — niech mi co chcą mówią, nie może być dobrym gospodarzem

— Nie zawsze — odparł Wilczek z uśmiechem; mam w tej chwili kogoś przed sobą, kto przeciwnego zdania najoczywistszym jest dowodem.

— O mnie mowa? — Rzekł Piotr trzęsąc głową; przyjmuję grzeczność wcale nie za wyrok na prawdziwą zasługę. Ja urodziłem się z tą jedną tylko namiętnością, w zaspokajaniu jej znajdowałem najwyższą nagrodę; goniłem za pracą jak drudzy za roskoszą, żyjąc inaczej byłbym umarł z nudów; z mojej więc strony, przypuściwszy nawet że godzien jestem pochlebnych pańskich słów, nie ma żadnej zasługi. Kto przez rozum, kto przez wolę pracuje, tego na pierwszem miejscu sadzać należy.

— Bez wątpienia — ależ wola i rozum nie przedstawiają dostatecznych pobudek; są to jedynie środki. Trud wiejskiej pracy, męczące początki, łatwo do zniesienia temu kto założył sobie konieczny jakiś cel, lub kogo pędzi nieubłagana potrzeba. Komu jednak natura odmówiła szczególnego upodobania w walce ze skąpstwem ziemi, kto ma zapewniony kęs chleba i umie poprzestać na swojem, dla tego — wyznam otwarcie, gospodarstwo nieprzyzwyciężoną męką.

— Mylisz się panie Władysławie; każda praca jako zwal-

czona trudność, jako jedyny dowód godności i wartości człowieka, otwiera już tem samem źródło nie pojętych zadowoleń. Miło sercu gdy w przeszłości jest na czem wzrok wypocząć. Człowiek o tyle człowiekiem o ile w czynie się nim pokazał. Rozumiem atoli niedostateczność moralnej pobudki; jesteśmy ludźmi z ciała i z duszy, i nie samem uczuciem żyjemy. Kto pracuje tylko dla pracy, temu zarówno siać zboże lub kółka kreślić na piasku. Potrzeba innych jeszcze bodźców. Zysk, korzyść, zbogacenie — do pewnego stopnia, godziwe podniety — nie przeczę; do pewnego stopnia, powtarzam; skoro bowiem człowiek uwyłączni się w tym jednym celu, praca jego wkrótce zaciąży na nim jak przekleństwo. Trud dla chciwości, dla skąpstwa, dla zbierania bogactw, na równej linji stawiam z rozbojem. W takim razie, nad podobną pracę, przenoszę otwarte marnotrawstwo. Ostatnie niekiedy łączy się z dobrem sercem przynajmniej. —

Praca, panie hrabio, jest bożem, świętem narzędziem; bluźnierstwem darmo je niszczyć lub używać do nędznych, samolubnych celów.

— Jeżeli jednak ciągle, codzienne kłopoty, ani namiętności nie zadowalają, ani zysku nie przynoszą, pytam jaką im naznaczyć pobudkę, po co napróżno się niemi obarczać?

— Jest panie Władysławie pobudka. Człowiek ma obowiązki dla ziemi, na której się rodzi i która go karmi. W innych krajach, obowiązkom tym czyni zadość sprawując urząd lub służąc wojskowo. U nas sądownictwo, administracja, wojsko, nie dla naszej posługi ale przeciwko nam istnieją; administracja aby nas odzierała, sądownictwo by potępiało, żołnierz aby mordował każdego komu przyjdzie chętka przestania być niewolnikiem. Prawy Polak z żadnym z tych trzech obozów łączyć się nie może, zwłaszcza gdy konieczność, gdy bieda go ku temu nie naglą. Cóż więc pozostaje? — Komu szczęśliwy los kawał ziemi udzielił, ten pytać nawet nie powinien. Rzeczywiste nasze siły są na wsi; zamożność szlachty, pomyślny byt ludu wiejskiego — oto dwie mocc jakich wydzierca naszej wolności najwięcej się lęka. —

Najszlachetniejszym popędem w człowieku jest dążność do ulepszenia materjalnego życia. Obłudnicy tylko i wyzy-

skiwacze stawiają naprzód kwestje sentymentalne. Człowiek przedewszystkiem, tem przestaje być barbarzyńcą że spożywa przyprawioną strawę, że odziewa się, że mieszka. Kto potrafi silnie w ludzie naszym rozbudzić te trzy potrzeby, i na drodze uczciwej pracy do zaspokojenia ich mu dopomódz, ten będzie prawdziwym naszym Objawicielem, Prorokiem.

Głodem, nędzą, fizycznem uzwierzęceniem znękane ciało, nie ma czasu pomyśleć o duszy. Przejedź się pan po wielu naszych wioskach — wejdź do chałupy; chłop i bydło w jednej mieszkają izbie — nie podobna dostrzedz linji rozgraniczającej ludzkie plemię od zwierzęcego. I któż zdoła wydźwignąć tych ludzi, bez których świat zamarłby na czczość? — Oni wydziedziczeni, im trudno o własnych siłach krok naprzód postawić. Początek powinien wyjść od właścicieli; jeżeli oświata z góry nie splynie, biada skoro się kiedy z dołu podniesie!

— Słuszne słowa panie Piotrze — rzekł Wilczek; nic nie mam im do zarzucenia — wszelako zdaje się mi że nie dość tu ze strony panów na dobrej woli; są inne przeszkody, z natury rzeczy wynikające, niepodobne prawie od zwalczenia. Wreszcie? Czyliż nie tak samo dzieje się w całej Polsce?

— Gorzkie usprawiedliwienie! — Dla tego też cała Polska pod jarzmem. Ależ w innych polskich ziemiach, ojczyzna, narodowość mają pociechy jakich u nas, w Galicji, napróżno by szukały.

— Narodowości więcej niż w Galicji, wątpię aby znalazło się w którejkolwiek części Polski.

— To zależy od tego co nazywamy narodowością. Nie zwyczaje — według mnie, nie wady przodków, nie łatwość ich w pożyciu, w brataniu się, nie obojętność na dzień jutrzejszy ani język nawet, stanowią prawdziwą narodowość. Duch miłości ku bliźnim, poświęcenia dla wspólnego dobra i wysokie poczucie człowieczej godności — oto cechy, jakie w dawnych czasach odróżniały nas od północnych i zachodnich sąsiadów. Dziś, w Galicji, różnica ta między krajowymi a najezdzcami, w pewnej zwłaszcza klasie zupełnie znikła.

Podobnego zepsucia mniej w reszcie Polski. I nic dziwnego; bracia nasi z pod moskiewskiego lub pruskiego berła, łatwiejsze mieli pole. Moskal zaprowadził równość przed knutem; jarzmo wszystkich jednakowo dolega, zwierzęca, dzika siła wszystkich karki zarówno ku ziemi ugina. Barbarzyniec ciało tylko krępuje; dusza swobodna, wyzwana do poświęceń, do moralnego oddziaływania, wysoko pod niebo ulata, wyższością swej natury z góry wrogom urąga. —

W moskiewskim rządzie nie ma hipokryzji; stryczek nie z jedwabiu kręcą ale z konopi, kata nie przebierają w sutannę; najleniwszy umysł złe od dobrego potrafi odróżnić i prostą drogę sobie wytknąć. Prawda słońcem błyszczy w źrenice; fałsz — każdy namaca z zawiązanemi oczyma.

Prusak naciska wygórowanym przemysłem, pieniędzmi, ludnością, pracą, spółzawodnictwem, przywilejem, usilnemi względy dla szczepu napływowego, upodrzędnianiem wszędzie krwi narodowej; ale Prusak otwiera szkoły, uniwersytety, zakłady przemysłowe i rolnicze, nie wzbrania niemieckiego doświadczenia, niemieckiej pracy i skrzętności tłumaczyć na polskie, nie dać się wykupywać i siłą targową odpierać kupiecką przewagę. Podłość polska najmniej w Prusach jest wyzywaną i na równi z niemiecką popłaca. W pruskiej Polsce nareszcie, nie ma pańszczyzny — rozumiesz pan całą potęgę tego wyrazu — nie ma pańszczyzny! Chłop sąsiaduje z panem; jeden nie ma o co rozjuszać się na drugiego. Człowiek w siermiędze nie potrzebuje płaszczyć się przed człowiekiem w odzieży z cienkiego sukna. Mówiono mi że w Poznańskiem, koniom nawet i wołom zaprzestano kijem boki okładać.

U nas inaczej. U nas wkrótce przyjdzie do tego, że znajdą się Polacy, którzy będą zazdrościć braciom z pod moskiewskiego knuta i z pod pruskiej procędury; u nas ciało wzięli na wypas ażeby dusza rozpłynęła się w chorobliwym tłuszczu; u nas otworzyli wrota wszystkim wytrawiającym życie namiętnościom, wpędzili na nas cały piekielny korowód, zbytek, próżność, dworskie fawory, arystokratyczne lokajstwo, hulaszczą rozpustę, wstręt do myśli, pogardę człowieczej godności, obojętność na wszelkie święte zasady. U nas, knu-

tują na sucho, niepokaźnie; ubłogosławią naprzód, ugłaszczą, uweselą, ubawią, a jeżeli to wszystko nie pomaga — co rzadko się zdarza — cichaczem, z ojcowskiem westchnieniem, zgnoją gdzie w Spielbergu lub w morawskich więzieniach.

W Wilnie, w Warszawie, są szkoły, są żnakomite uniwersytety, jest wojsko narodowe; u nas czarni nauczyciele nadludzkich dobywają wysileń, aby na niwie młodzieńczego umysłu wybujał — chwast! aby zbrzydzić naukę, zakuć ją w trupie formy. Nasze półki także noszą nazwisko galicyjskich, ale idą na Węgry by tam dławić Madziarów i Słowaków, idą do Włoch zapobiegać powstaniu uciemiężonej Lombardji i Wenecji.

Ztąd też, gdy korona, gdy Litwa, gdy Poznań, do skarbca narodowej wiedzy corocznie dorzucają klejnotów, u nas cicho, u nas smętarnie głucho — rzecby można żeśmy pomarli, gdyby nieszczęściem nie rozlegał się wrzask pijatyk, zgiełk zabaw, okrzyki gonitw, toasty na cześć arcyksiążąt i pasożytnych dygnitarzów.

Poczemże poznać żeśmy Polakami? — Jużcić, przez Boga żywego! nie po czerwonych mundurach ze złotemi szlifami, w jakich jędyczą się stanowi nasi magnaci. Dawnemi czasy, kat tylko czerwono się ubierał — ba! i dziś podobno przez katownictwo ojczyzny można jedno na podobny strój zasłużyć.

Co za różnica między naszem Państwem a innemi krajami! — Dość przejechać granicę.

Czy byłeś pan kiedy w Królestwie, czy znasz Litwę?

— Nie — nie znam. Raz tylko jeździłem do Warszawy z nieboszczką moją babką; kilkanaście lat temu — byłem jeszcze dzieckiem.

— Ja byłem na prowincji i dwa razy w Wilnie; do Warszawy nie miałem sposobności zajechać. Może być że na swoim gruncie złe daleko dokuczliwiej dolega, może być że nie dotarłem do ostatnich szczegółów; ale z tego com widział, przyznam że z boleśniejszem uczuciem wracałem niżelim wyjeżdżał. Nigdzie nie spotkałem tylu panów nikczemnie płaszczących się przed lada dworską figurą, tyle szlachty goniącej ostatkiem byle tylko zamałpować pańskie zbytki, tyle

pogardy dla niższych, tyle służalstwa przed wyższymi, tyle czczości, próżniactwa, łgarstwa i zuchwałej zamaszystości w młodzieży. Jesteśmy sami, nikt nas nie słucha; we cztery oczy możemy sobie powiedzieć to, czego przed cudzoziemcem na mękach bym nie wyśpiewał. Pod mundurami, pod galonami, pod szlifami naszemi nie życie ale próchno prześwieca. Robactwo toczy nas żywych, robactwo którego nie spotkałem w innych częściach Polski. Mówię tu o tem czarnem Jezusowem Zgromadzeniu, które obsiadło nas jeszcze przed pogrzebem. Dla tych ludzi duch wolności sprzeciwia się duchowi wiary; gdziekolwiek więc człowiek pomknie się do promyka swobody, tam oni go dławią; gdzie zechce być samym sobą, tam oni go przenaturzają; polują na samodzielność, każdą kroplę krwi w żyłach fałszem zaprawiają. Ludzie chrześciańskiej pokory, którzy dyszą jedno żądzą władzy; ludzie chrześciańskiego zaparcia, ubóstwa, którzy czychają na każdy grosz i schną pragnieniem uciemiężania; ludzie wiary, którzy zaczynają od zamordowania w człowieku nieśmiertelnej jego części — duszy; ludzie miłości, którzy w rodzinach rozniecają niezgodę, syna zbroją przeciw ojcu, córkę przeciw matce; ludzie nadziei, którzy nie spodziewają się aby Bóg umiłował wyszlachetnione na swój obraz stworzenie; którzy majak rajowych słodyczy każą okupować zbydlęceniem na ziemi! Gdyby przynajmniej wszyscy, głośno wyrzeczonemi ślubami, odmiennym strojem, chcieli ostrzegać przechodnia! — Ale nie! — Większa ich część kryje się pod zwykłą odzieżą.

Zakon czoło tylko ubiera po duchownemu, resztę hufca z mężczyzn i z kobiet, z młodych i z starych, z biednych i z bogatych, z oszustów i z dudków, rozsiewa po kraju i pod zmyśloną postacią przypuszcza z trucizną do serca narodu.

Niech uderzą w nas uroczyste losy, niech przypadek wywoła na pole czynu, niech przyjdzie nam pokazać się ludźmi — gradem sypną się odczarowania, bezwładności, przeniewierstwa.

Dziś, kto zajmuje się kwestjami żywotnemi narodu, kto iskierkę uwagi zwraca na lud wieśniaczy? — Można i bez tego, za tańszą cenę kupić rozgrzeszenie u ojca prowincjała.

Nie — w Królestwie, dzięki Bogu, tej plagi nie widziałem; może też i dla tego, tu i owdzie, po szlacheckich wioskach, zaczyna chłopom być lepiej. Ot, nie daleko od nas, tuż nad granicą, w Hrubieszowie, uczciwy ksiądz Staszyc chłopów swoich od pańszczyzny wyzwolił, i co większa, uwłaszczył. Niechno by u nas z czem podobnem kto odważył się wysunąć! —

Wilczek stał zadumany, słowa Piotra nowe kraje mu odsłaniały; prawda młotem tłukła go w piersi — czuł się powoli wydźwiganym z przepaści na jaźń prawego, rzeczywistego życia, bielmo pękało mu na oczach, słuchał z wruszeniem, nie mógł atoli poddać się od razu; krzyżowały mu po myśli różne zarzuty, powstał i po chwili milczenia rzekł:

— Jeżeli w Królestwie niektórzy obywatele spełniają swój obowiązek, toć i u nas znalazłby się od biedy nie jeden naśladowca. Dla czegoż ich tak mało? — Nie umiem z pewnością oznaczyć przyczyny, myślałbym wszelako że może głównie stoi temu na przeszkodzie różnica między charakterem naszego chłopa, a ludu wiejskiego z kongresowej Polski. U nas chłop dziwnie jest niedbałym, zatwardziałym w uporze; mianowicie zaś ku panu swemu niechętnym, powiem nawet nienawistnym. Miałem tego przed dwoma miesiącami oczewiste dowody.

— I któż temu winien? — Jakim go uczyniliśmy takim go mamy panie Władysławie. Kto przywalił go pracą, odarł z owocu jego trudów, rzucił pod ucisk i gwałt drapieżnej zgrai podwładnych, rozpoił, poniewierał, wyzuł z wszelkiego zamiłowania do życia; pokłócił z nadzieją, zostawił mu tylko zwątpienie, wstręt do teraźniejszości i obawę dnia jutrzejszego?

Stosunek jaki dawniej łączył właściciela z gromadą, dziś przepadł, zupełnie nie istnieje. Pierwszy wyparł się swoich obowiązków, zatarł w sobie sprawiedliwość i ludzkość; druga, nie miała powodu trwać w człowieczej naturze, skoro sam właściciel z pogardą ją odtrącał. Ten przy dostatkach nie mógł czy nie chciał utrzymać się na prostej drodze, tamtym niewola, nędza i ciemnota do rozwijania sumiennych uczuć nie wiele pomagały.

Chłop nasz odznacza się dziś zuchwalstwem, nienawiścią nawet, jak pan powiadasz. Cóż dziwnego? — Przyczyna wyraźnie leży przed nami. Chłop nie uważa, nie szanuje szlachcica, nie ma skąd powziąść o nim korzystnego wyobrażenia — do pogardy natomiast zaczepek mu nie braknie. Porównaj pan tylko.

Dawniej, szlachcic pod innemi zarysy pokazywał się gromadzie. Przyjeżdżał z powiatowego, z wojewódzkiego miasta, lub ze stolicy, gdzie bezpłatnie spełniał obywatelski jaki urząd, gdzie uczestniczył w obradach nad dobrem narodu; dawniej — co lepsza jeszcze, wracał często z pola bitwy, gdzie własną piersią zasłaniał ojczystą ziemię przeciw Rusi lub Tatarom, przeciw Niemcowi lub Szwedom. Poczucie własnej godności, szlachetne zadowolnienie z dopełnionego obowiązku, leżały mu na czole, świeciły z oczu. Chłop od razu pojmował że trudno było być takim szlachcicem, że życie jego nie było marnotrawstwem sił i dostatków, ale pasmem poważnych trudów, poświęceń, krwawych przebojów za chwałę i nietykalność narodu. Praca rolnicza z całym szeregiem dolegliwości, braków, w ostatecznym wypadku była przecie łatwiejszą; szanowała więc tę drugą pracę szlachetniejszą, całą albowiem oddaną na usługi ogółu. Dziś, pytam jakie wrażenie sprawia pan, stawający śród wioski? —

Wraca z wygalonowanym po niemiecku strzelcem, tak że sam w obec sługi jak lokaj wygląda; wraca wybladły ze Lwowa, gdzie noce trawił na hulance, dni na próżniactwie, gdzie czapkował przed lada wyższym, czołgał się w arcyksiążęcym przedpokoju — wraca z Wiednia gdzie na szersze rozmiary praktykował tę samą bezczynność, tęż samą rozpustę, tęż samą służalczość — wraca z zagranicy zkąd przywiózł dziwaczne stroje, karczemne zwyczaje, lekceważenie ojczystych spraw i próżną kieszeń. Jakim wraca takim się pokazuje, taki wyraz nosi na twarzy, taki wpływ do koła wywiera. Pożycie na wsi we wszystkiem usprawiedliwi niechętne ku niemu przeczucia. Im więcej w mieście płaszczył się przed możniejszymi, tem mniej u siebie na wsi niższym udzieli ludzkiego obejścia; jeżeli lubownikiem jest stada — o konie namiętne będzie dbał, o chłopa ani się zapyta; sprosi

gości, rozstawi na stole butelki, zasiądzie do kart, w jednej chwili przeszasta, to co z ludu przez długie wyduszał miesiące. Wieś, przez domowników, przez służbę, wie o wszystkiem co dzieje się we dworze. Chłop ma swoje zastanowienie, umie wnioskować; nie trudno mu wpaść na zapytanie dla czego jeden wiecznie głodny i nędzny zużywa życie w trudzie; dla czego drugi z założonemi siedząc rękami opływa w dostatki, nie zna i nie cierpi pracy?

Wynaturzenie klasy uprzywilejowanej rodzi w ludzie pogardę, pogarda powoli zamienia się w nienawiść, nędza może złe tylko rady podszeptywać nienawiści; jednem słowem, od pogardy i nienawiści rozdmuchanych biedą i uciskiem, do czynu szalonej rozpaczy — nie daleko!

Trzydzieści lat upływa jak stoję z ludem w ścisłych stosunkach; zbliska poglądam na rzeczy i tem co widzę, wcale nie jestem zadowolniony. Dziś niebo zda się nad nami spokojne; jutro straszne burze mogą nadciągnąć. Cokolwiek bądź, nie zadziwi mię żaden w podobnym rodzaju gwałtowny wypadek.

— Tak pan sądzisz? — Darmo? W spór wejść nie potrafię; nie mam żadnego w tej mierze doświadczenia — nigdy głęboko się nie zastanawiałem. Jeżeli jednak rzeczy tak daleko już zaszły, ludzka moc złego nie naprawi; zgangrenowanego ciała nikt w jeden dzień nie wyleczy. Cóż nam począć? — Pojedyncze usiłowania trudowi nie podołają, klęski nie odwrócą.

— Bluźnierstwo, panie Władysławie! — Ogólne działanie składa się z summy pojedyńczych. Do znaczniejszych zwłaszcza posiadaczów należy postąpić naprzód. W naszym kraju naśladownictwo gra wielką rolę; szlachta lubi zapatrywać się na panów i jak dotąd w złem, tak nadal w dobrem, niechętnie da się wyprzedzić. Wreszcie gdyby nawet nikt nie chciał oczu na prawdę otworzyć, czyliż temu kto o niej sumienne ma przekonanie, wolno samochętnie pomijać jej szlaki?

— Zapewne — chciałem tylko rzec że w obecnem rozpołożeniu stosunków, pojedyńcze, zatracone gdzieś w masie spełnienie obowiązku, na nic się nie przyda.

— Przez Boga żywego, nie mówmy o obowiązkach! — Wyraz ten więzy mi przypomina i sam w istocie niczem innem nie jest. W dokonaniu choć najszlachetniejszego czynu przez obowiązek, jest coś pańszczyznianego, coś takiego co mi oznajmia, że człowiek obowiązkowy nie wierzy rdzennie zepsutej i popędliwej ku złemu swojej naturze, że nicuje ją, nakręca, krępuje obowiązkiem; że nie chodzi mu o czysty, źródlany, swobodny objaw swego przekonania, ale o wystąpienie przed ludźmi zgodnie do martwej litery zwyczaju lub prawa, jako placówka, która głupio morduje niebacznego przechodnia wstępującego na wały fortecy. —

Każde dobro winno być niezwalczoną potrzebą duszy, nigdy zaś nałożonym na siebie obowiązkiem. Inaczej, przestańmy być ludźmi i od razu zapiszmy się w Zgromadzenie przewielebnego ojca Zefiryna. Tam nic nie wspiera się na wolności, nic na rozumie, nic na sercu, nic na sumieniu — tam wszystko osadzone na obowiązku.

— Zacne, święte marzenia panie Piotrze, które wtedy urzeczywistnić się dadzą, gdy każdy zdoła wzbudzić w sobie wszechstronne przekonanie prawdy. Dziś, dopóki o własnych krokach nie umiemy jeszcze chodzić, podpórek odrzucić nam niepodobna. Ten sam chłop nad którego biedą rozmyślamy, gdzie znajdzie granicę ciemnym swoim namiętnościom, jeżeli uczucia obowiązku przynajmniej nie potrafimy weń wpoić? Moralne zasady, najzrozumialej wypowiedziane, żadną drogą do pojęcia mu nie trafiją.

— Nie wierz pan temu. Lud nasz dziwnie jest pojętnym, ale słów nie rozumie, bo słów nie ma co rozumieć a nawet wierzyć im nie należy. Odwróci ucho na suchy wykład obowiązków równie jak na moralne zasady, i słusznie postąpi. Lud każdy z natury swojej nie rządzi się sentymentem ani grą wyrazów; potrzebuje rzeczywistości. Czyn jeden dotykalny więcej go przekona niż najuczeńsze wywody. Straszny ucisk go gniecie; sprobujmy choć trochę ulżyć mu jarzma, a obaczymy jak wnet wyprostuje postać, jak weselej, swobodniej spojrzy w oczy, jak natychmiast wstanie podobniejszym do człowieka. Zaufaj mi pan; nie ma na świecie wdzięczniejszego trudu jak z ludźmi po ludzku się obchodzić.

— Panie Piotrze — rzekł Wilczek wzruszony, pierwszy raz w życiu podobną mam rozmowę i dziękuję losowi za szczęśliwe spotkanie jakie mi nadarzył. Na chwilę przed pana przyjściem, troszczyłem się nad ozaczeniem kierunku życia; widziałem przed sobą znaczne środki i nie odgadywałem sposobu ich użycia. Teraz przestroniej mi w duszy i jaśniej w oczach. Pojmuję że nie człowiek życiu, ale życie człowiekowi może zabraknąć. Nie dość atoli na tem, rzecz nasza nie ukończona. Odtąd nie znudzę się ani popróżnuję na wsi — od czego jednak zacząć — gdzie naprzód rękę położyć?

— Najmniejsza to trudność. Skoro raz trafi się na ogólne prawdziwe stanowisko, szczegóły łatwo wypatrzeć. Idzie o rozwalenie odwiecznego gmachu niewoli; sam więc rozsądek, z wierzchu każe zaczynać, aby robota szła porządniej i zrąb nie zawalił się nad nieopatrznym pracownikiem. Ztąd wypada, że właściciel powinien zacząć od siebie, od przeistoczenia dotychczasowych pojęć, od zrzeczenia się przywilejów uświęconych starym zwyczajem i starem bezprawiem, od poczucia w sumieniu że każdy przedmiot równie jak każda praca, zabrane gwałtem, bez wynagrodzenia, są po prostu kradzieżą. Raz mówiąc o kradzieży, trudno nie waśnić na całą tę zgraję cudzoziemskich ekonomów, Bóg wie zkąd zwleczonych rządców, nadzorców, faktorów, którzy pod tarczą pańskiej władzy wyciskają z robotnika ostatni grosz, ostatnią kroplę znoju. Czerń ta żadnym węzłem moralnym nieprzywiązana do kraju, dyszy tylko łupieżą i uprawnionym rozbojem. Przez nią to nienawiść z pod wieśniaczej strzechy, pnie się ku pokojom pałacu. Chcesz pan wiedzieć sposób doraźnego pobratania się z twoim ludem? — Precz z tą chałastrą pijawek! — Siła narodowej, drobnej szlachty, zastąpi je z zobopólną korzyścią.

W obecnym stanie rzeczy, obywatel, chociażby nieograniczenie chłopom ręce rozwiązał i uwłaszczył ich, zawsze zachowa nad nimi przewagę. Z wyższością wiedzy, z rozleglejszem doświadczeniem, niechaj, zamiast pędzić przed sobą gromadę jak bydło, stanie obok niej; niech zamiast chciwego na ich skórę pastucha ujrzą w nim wzór pracownika i go-

spodarza, przychylnego doradcę, złączonego wspólnym celem syna ojczyzny. Nadewszystko wystrzegać się należy prawodawczenia, ustawodawstwa, ciągłych regulaminów. Śmiertelna to choroba dla państw, tem bardziej zaś dla władców na małą stopę. Lud to co ma wiedzieć, powinien naprzód widzieć. Niechaj nic się takiego nie dzieje czegoby chłop, przy dobrej chęci i prostym rozsądku, nie mógł dokładnie zrozumieć. Z natury ludzkiej wynika, że cokolwiek wznosi się nad nasze pojęcie, wnet budzi nieufność. — Człowiek ma przeczucie że każda prawda jest prostą i zrozumiałą, że fałsz tylko szuka stucznych określeń, gmatwań, nakręcanych wywodów. Ach wierzaj mi panie Władysławie, lud polski podobny do polskiej ziemi: urodzajny, wdzięczny za hojnie rzucone mu ziarno, troskliwemu rolnikowi zasiew w stokrotnym plonie powraca. —

Wilczek stal z splecionemi na piersiach rękami, garnął w duszę słowa jedne po drugich, wbijał wzrok w ziemię, lub w uroczystem zdumieniu poglądał w spokojne, rozświetlone ogniem świętego zapału rysy Piotra.

Długo milczał; głowa wzbierała mu nawałnicą myśli, nowe a silne uczucia przepełniały serce; schwycił Poraja za ramię i wzruszonym głosem rzekł:

— Przeklinam los, który przez tyle lat nie nastręczył mi sposobności dzisiejszego spotkania i podobnej rozmowy. Tyle straconego czasu — tyle nędznie zmarnowanych środków! Straszno pomyśleć o roli, jaką grają w życiu człowieka kilka stosownie wymówionych lub zamilczanych wyrazów. Pojmuję teraz wrażenie jakie musiało sprawić na panu życie naszych magnatów, naszej młodzieży, ba nawet moje własne!

Ale bo też kto tyle zasług położył, kto tak przykładnie byt swój przeprowadził, ten ma prawo stawać śród otumanionych ludzi, gromko w oczy mówić im prawdę, rozpędzać, hamować rozhukane zgraje, każdemu obraz jego przed wzrok wystawiać. Znam nasz kraj — przysięgam, są u nas tacy którym brak na chęci, ale i takich jest wielu którzy nie wiedzą, którzy nie widzą. W ostatecznym razie, nikt by przynajmniej nie miał wymówki. Cała moja przeszłość zbrzydła mi w jednej chwili; oddałbym pół życia za jeden kielich wody zapomnienia.

Biedny kraj! — Teraz dopiero gdy całun podniesiony, postrzegam rany jego i wrzody. Czemże jednak jest ta ciemna gawiedź która poklaskiwała rozpuście, mierzyła wyższość człowieczą na skalę biegłości w prędszem zabijaniu czasu, goniła za szczęściem w zaspokojaniu namiętności ostatniego rzędu? — Ha, tem lepiej! — Długo naśladowała, niechże i dziś zanaśladuje! W grę pięknych słów, w litanję czczych programów nie będę się wdawał. Dzięki Bogu, nie wydałem jeszcze ostatniej iskierki działalnego ducha. Przekonają się; przekonasz się pierwszy panie Piotrze. Nie mów jak dotąd o mnie sądziłeś? — Zgaduję. Na przyszłość zaręczam, że choćbyś upierał, jedno tylko wymuszę na tobie uczucie: szacunek.

— Niechaj to będzie, panie Władysławie, ostatnim twoim względem — odrzekł Poraj, przesuwając dłoń po zasępionem nagle czole. Ja dziś jestem już tylko obojętnym widzem; skończyłem moją pracę i czuję — czego przedtem nigdy nie byłbym się spodziewał — czuję w sobie brak oddechu do dalszej drogi. Szacunek jednego, wycieńczonego człowieka — podrzędny to wzgląd nad którym nie warto się zatrzymywać. Gdyby wreszcie chodziło o szacunek całego kraju? — Ale i tak postawiona kwestja, mojem zdaniem, nie zasługuje na wyłączną uwagę. Opinja — jak słusznie dowodził głos, którego może nigdy więcej nie usłyszę, jest niesfornym gwarem, gdzie szalonemu tylko szukać sprawiedliwości i prawdy. Opinja, w dzisiejszym stanie stosunków, jest wypadkiem namiętności, samolubstwa i ciemnoty. Wolność tylko i ścisły rozum, mogą domagać się o głos, o posłuchanie, o uwagę na wydany wyrok. Gdzież są ci wolni ludzie? — Któż w życiu wszystkie inne żywioły upodrzędnia samodzielności i potędze człowieczego ducha? Większość dotąd jest przekonaną że słońce obraca się koło ziemi, że grzesznik po śmierci wpada w kocioł gorącej smoły i roztopionej siarki, że wpływ jakiejś poświętnej kości może przełamać odwieczne prawa natury — i tak dalej — od zdań ogólnych aż do sądów o pojedyńczym człowieku, o jakimkolwiek czynie. Nie — panie Władysławie — jeden jest tylko trybunał i jedna nagroda na szlachetne usiłowania i sumienie: własny samego

siebie szacunek. Najwyższem dobrem człowieka, ostatecznym jego celem, rzeczywistą wartością, warunkiem postępu, zasadniczem prawem — jest wolność. Wolność ta, nie ograniczona jak wszechstworzenie, jak myśl ludzka — jedną ma tylko kierownicę a raczej rękojmię: własną odpowiedzialność. Bliźnie te zasady, nierozłączne, kroczą jedna obok drugiej, żyją przez siebie i dopełniają się nawzajem. Skoro raz życie na tych dwóch osiach się zatoczy, wóz musi pobiedz prostą drogą, a wówczas, jeżeli się podoba, można mimojazdem pochylić się i podnieść leżącą gdzie u koła przychylną opinję lub szacunek gawiedzi. —

Piotr długo mówił w ten sposób i zewsząd rozglądał ważne pytania tyczące obywatelskiego życia, stosunków pana do włościan, polskiego szlachcica do rozbójniczego rządu.

Słowa płynęły mu szeroką falą, wnioski jasno wywijały się z założeń; gdyby Piotr był dowodził i słuchał zarazem, sam byłby zdziwiony niezwykłym darem wymowy, jaki po raz pierwszy w nim się objawiał. Przed kilkoma laty, nie byłby umiał wznieść się na oderwane stanowisko, sam nigdy tak szerokiego widokręgu uwagom swoim nie zakreślał, ale też od kilku lat Piotr uległ znacznym przemianom. Dawniej był szczęśliwym, żył teraźniejszością i nadziejami; dziś nadzieje postradał i z szczęściem na wieki poszedł do rozwodu; cierpienia i praca, na równe części podzieliły się jego życiem. Pędzony dwoma temi żywiołami, daleko wysforował się na szlaki umysłowych zdobyczy; do zalet serca i czynu, dodał głębokie wypadki wyrobionej myśli, wysoko podniósł własną wartość. Ostatecznie bowiem czemże jest wartość człowieka, jeżeli nie sumą z dodanych do siebie prac jego i cierpień?

Wilczek przechadzał się wolnemi kroki; otwierał nie tylko słuch ale serce i duszę; na dnie tej natury zepsutej przez świat i od kolebki puszczonej na fałszywe manowce, kryły się przecież zarody szlachetnych uczuć, prawdziwych pojęć, popędów do dobrego — zarody uśpione długo czarnoksięstwem światowych uciech i przesądów, a które czekały na odczarowanie w imię sumienia i prawdy.

Piotr nie był wprawdzie wolnym od gorzkich ku Wilczkowi

niechęci; wspomnienie pamiętnej przygody nieraz zakłóciło mu swobodę duszy, widok jednak wrażenia jakie słowa jego sprawiały na człowieku, o którym tylekroć już był zwątpił, rozbroił go z bolesnemi pamiątki; wrodzona mu dobroć i miłość wzięły górę nad żalem; stanowczość szlachetnych zamiarów hrabiego i mogące ztąd wyniknąć zbawienne dla ogółu skutki, wywiały mu z myśli resztę cierpkich przypomnień; przystąpił do niego z właściwem swojej naturze uczuciem braterskiej przychylności i na podaną sobie rękę, szczerym odpowiedział uściskiem.

Wilczek miał jeszcze jedno żądanie.

— Nie dość na tem, co dziś słyszę, rzekł po chwili — nie dość co sam w sobie poczuwam i wypowiadam; widzę przed sobą daleką i mozolną przyszłość — na chęci nie braknie mi nigdy, ale na doświadczeniu — często. Jedna dobra rada może oszczędzić wiele błędów. Czy mogę spodziewać się kochany panie Piotrze, że pozwolisz odwołać się do twego sądu, że przebaczysz natręctwo i wysłuchasz sprawozdania posłusznego ucznia, że może i sam raczysz odwiedzić go i przekonać się o ile dotrzymuje danego słowa?

Piotr widocznie był zakłopotany.

— Przy dobrych chęciach, odrzekł, i przy twoich zdolnościach panie Władysławie, sprawa łatwiejszą jest niżeli wydaje się na pozór. Ja dziś już jestem skończony; nie mam serca narzucać ludziom znękanej mojej osoby i sam, pod samotną strzechę nikogo nie zapraszam. Każdy ma dość własnych goryczy. Byt mój zwichnięty na zawsze. Kto i jak ku temu się przyczynił — nie wchodźmy, nie wspominajmy, zapomnijmy na wieki! — Los mogę oskarżać więcej niż ludzi, a jednak, także sam los, w innych wypadkach, łaskawiej się ze mną obchodził. Ile razy mogłem przydać się na co ludziom, tylekroć rzucał mnie im na ich drogę. Skoro wypadnie potrzeba — jestem przekonany że i teraz, względem ciebie panie Władysławie, nie odmówi mi tego szczęścia. Szkoda że nie masz ojca — lub starszego brata — jakąż stałbyś się dla nich pociechą! —

Piotr drżącym głosem wymówił ostatnie wyrazy; w oczach łzy mu zaświeciły. Wilczkowi nie wytłumaczona boleść ści-

snęła serce; chciał jeszcze coś wyrzec gdy w tem, w pobocznym pokoju, zagrzmiał donośny głos wracającego Dahlmana.

Poraj otrząsł się z tęsknych wrażeń; Wilczek w milczeniu, z wymownem uczuciem uścisnął mu dłonie i wybiegł nie chcąc obojętną rozmową z teściem, mięszać sobie harmonji nowych, ogarniających go myśli.

Bankier napróżno starał się zatrzymywać zięcia; zdziwiony trochę niezwykłem jego wzruszeniem, wkroczył kwitować Piotra z ostatnich Sokolnika długów.

Wilczek cierpiał na każdą chwilę spędzoną w mieście, śród tych domów i ulic, świadków marnotrawnie zużytej młodości. Rwał się na wieś, chciał czemprędzej uciec od własnych wspomnień. Interesa majątkowe, układy z bankierem, zatrzymały go jeszcze kilka dni; poświęcił im czas nieodbicie potrzebny, ściśle wyrachowany, ale ani chwili więcej.

Dahlman uszczęśliwiony zapałem zięcia do zatrudnień, nie posiadał się z radości, ofiarował mu nawet uczestnictwo w kilku handlowych przedsięwzięciach; Wilczek odmówił, dowodząc że w tej chwili pragnie wyłącznie poświęcić się wiejskiemu gospodarstwu.

Bankier i z tego mocno był uradowan.

Trudniejsza sprawa wyszła z przyjaciołmi, z towarzyszami dawnych zabaw.

Młodzież spodziewała się, że tracąc bezżennego przywódcę uciech, zyska narozcież otwarty, huczny dom wzbogaconego magnata. Zapowiedziano już w tym celu szumne zabawy, bale, gonitwy, niespodzianki na cześć nowozamężnej pary.

Kilkunastu druhów ostygłych w przyjaźni wraz z wieścią o podupadłym majątku hrabiego, wróciło w pędy, przyrzekając sobie podwojonemi pochlebstwy i uprzejmością, wynagrodzić mimowolne niby chwile zapomnienia.

Wilczek uprzedził zaproszenia i z nieubłaganym uporem, wręcz wszystkim odmówił.

Nie chciano wierzyć; powtórzył wszystkim w ogóle i każdemu z osobna.

Przysłowie: «Kto się ożeni ten się odmieni» nie w jednych zabrzmiało ustach; inni z przekąsem kłonili się przed samolubstwem miodowego miesiąca, ostatni obwiniali pańskie przywidzenia; wszyscy atoli gotowi byli przysiądz że nowożeniec nie długo wytrzyma sam na sam z młodą małżonką, że wkrótce, żwawszy, świetniejszy niż kiedykolwiek, powróci na czoło hułaszczej czeredy.

Wesoła zgraja tym razem myliła się w swoich nadziejach; śmiało mogła pomyśleć o wykrzyknięciu nowego dowódcy — dawny, rozstawał się z nią na zawsze.

Jednym z najbardziej zdziwionych — powiemy nawet — że srodze obrażonych, był Juljusz.

Dzięki małżeństwu przyjaciela, odzyskawszy z procentem wypożyczone kapitały, chciał dalej rozciągnąć nad nim opiekę, urządzić mu wedle swojej wygody tryb życia i tak pokierować zakosztowaniem bankierskich dostatków, ażeby przy biesiadzie i jemu nieposlednie dostało się miejsce.

Od ostatniej rozmowy z Piotrem, Wilczek nie mógł spojrzeć na Juljusza; zdało się mu że zły duch podrzędnego stopnia przez niego przemawiał — za pierwszym wyrazem o zamiarach i rządach, opryskliwie uciął rozmowę. Znudzony natarczywością, cierpko odpierał lub odwracał się, zbywał milczeniem i wyraźnie dawał poznać, że oprócz własnej woli i własnych zamiarów, o żadnych innych słyszeć nie chce.

Juljusz probował targać w nim dawne struny namiętności, próżnostek, samolubstwa — żadna nie odpowiadała. Musiał zgryźć gorycz, usunąć się i równie z drugimi, czas wezwać na pomoc.

Wilczek, nie ostrzegłszy nawet o godzinie wyjazdu, opuścił z żoną Lwów, ruszył do siebie na wieś.

Przez drogę wtajemniczał towarzyszkę do widoków swoich na przyszłość, rozwijał przed nią swoje pomysły, tłumaczył pojęcia i cele wspólnego życia, do zdań jej się odwoływał.

Młoda hrabina wszystkiemu potakiwała. Przyzwyczajona od dziecka w rodzicielskim domu do zatrudnień, cieszyła się że znajdzie czem życie zapełnić, obiecywała spółpracę, i ze swojej strony przedstawiała mu proste, na szczupłą może zakreślone miarę, ale nie mniej przeto praktyczne myśli.

Wilczek rozmiłowywał się w żonie; szczęśliwe losy zsyłały mu, jakby umyślnie do nowego zawodu stworzoną kobietę; czynność jej, słodycz, wyrozumiałość na ludzką nędzę, swoboda od wszelkich wielkopańskich zachceń, zapowiadały drogą rękojmię w tym trudzie prostowania krzywd, jaki zakładał za cel swoim usiłowaniom.

W kilka dni po przyjeździe, Wilczek kazał zwołać na dziedziniec pałacowy wiejską gromadę. Lud skupił się ze strachem; myślano że idzie o jakie śledztwo, o dziesiątkowanie kijem, jako zwykł był czynić przeklętej pamięci nieboszczyk Lumpman.

Hrabia przedstawił chłopom swoją żonę, przypomniał starszym czem była dla nich niegdyś jego matka i zaręczył że opiekę zmarłej w Bogu, odzyskają w młodej hrabinie. Gromada z każdej wsi, miała wybrać z pomiędzy siebie kilku roztropnych gospodarzy i przełożyć swoje zażalenia i chęci. Wszystkim miało stać się zadość. Pan obiecywał, że odtąd wsi nie opuści, że sam zajmie się sprawami majątkowemi, że wszelkie żądania i skargi wprost do niego mają być odnoszone. Chłopi struchleli z podziwu i z niedowierzania — dozorcom, ekonomom, pisarzom, strach przebiegł po skórze. Pierwsi z roskoszą mieli poznać się na pomyłce, drudzy całkiem usprawiedliwionych doznawali wrażeń.

Wilczek z wrodzoną sobie dzielnością wziął się do sprawy. Rozkazał przynieść wszystkie regestra, badał na papierze i na gruncie najmniejsze szczegóły.

Teraz dopiero, rozpatrzywszy się bliżej i naocznie, poznał o ile małą część prawdy Piotr mu odsłonił; jak opisy nędzy, zdzierstwa i poniżenia, bladły w porównaniu z rzeczywistością. Teraz nie pytał już od czego zacząć, gdzie naprzód spieszyć z wymiarem słuszności i z pomocą; bystrość jego, znakomite zdolności, same wskazywały mu kierunek i przynosiły stosowną radę.

Najmędrszem, bez wątpienia, prawem natury jest przywiązanie, jakie człowiek poczuwa do urzeczywistnionych dowodów swej pracy. Dotykalna ta nieśmiertelność jest matką uczucia własnej godności, źródłem szlachetnych w samym sobie zaufań, probierzem sprawiedliwej miary na bliźnie sła-

bości i zasługi, sądem na krzywdy i miłosierdziem na cierpienia. Wilczek, z każdą chwilą, czuł w sobie odradzającą się z popieliska dawnych błędów nową istotę; życie swobodniało mu, wyzłacało się nieznanym dotąd blaskiem, umysł nabierał jasności i siły, przy których znikały gorączkowe uderzenia młodzieńczych popędów.

Przyszło do tego, że zajechawszy do robotników w polu, lub w niedzielę, przypatrując się wysypce tłumu z kościoła, nie poznawał własnych ludzi — tych ludzi, których posępne oblicza, zapadłe oczy, wyraz zaciętości i uniżenia na twarzy, uderzały go przy czerwonych błyskach pamiętnego pożaru, lub na śmiertelnem owem dla Lumpmana, polowaniu.

Przemawiano do niego z weselem, śmiało patrzono mu w oczy; robota szła raźniej i dokładniej, wieczorem śpiew rozlegał się po chatach, w świąteczne dni dziewczęta i chłopcy zawodzili ochocze kołomyjki; starsi siedzieli na przyzbach, a po licu każdego znać było że innej treści toczyli rozmowę, aniżeli podówczas w karczmie gdy urlopnicy rej wiedli za stołem.

Ważne te przemiany wynikły z kilku wstępnych zaledwie ulepszeń, z poznoszenia ciężarów i nieludzkich obejść, jakie chłopa polskiego na równi stawiały z zakupionem do pracy murzyństwem w zaoceanowych osadach. Niewola, zdzierstwo, dzika srogość, od tylu lat panowały temu ludowi, że pierwszy promyk swobody i sprawiedliwości, wydał się mu bezmiarem światła i szczęścia. Czegoż dopiero było się spodziewać, gdyby kto przystąpił ku niemu z wyższem jeszcze od sprawiedliwości uczuciem?

Lud ten, zaprawdę, w dziwnie krótkim przeciągu czasu, mógł stanąć pierwszym w społeczeństwie co do pojętności, charakteru i mocy.

Wilczek umiał w podobnych warunkach i wnioskach postawić sobie pytanie, a przyzwyczajony do łamania zawad tamujących mu raz przedsięwziętą drogę, poprzysiągł, w swoim przynajmniej zakresie, do możebnych granic wytężyć strunę dobrobytu i umysłowego rozwinięcia swoich włościan.

Im głębiej atoli w pracę się zapuszczał, tem — na opak obawie, mniej przeszkód spostrzegał. Lud nabierał ku Panu

zaufania, dopomagał mu w zamiarach, ułatwiał zachody. Niechęć ustępowała miłości; obojętność poświęceniu. Hojnie rozdane zapomogi, wypłoszyły nędzę i szerokie otworzyły pole wieśniaczym nadziejom. Wilczek zrzekł się wszelkiego odbioru pożyczki w ziarnie, w bydle i w gotowiznie pod warunkiem że na przyszły rok — jeżeli Bóg urodzajem pobłogosławi, każdy z dłużników, część długu, wedle możności spłaci do wspólnej gromadzkiej kasy, z której jedna połowa ma posłużyć na wieczysty fundusz gospodarskich zapomóg, druga na wsparcie wdów, sierot i kalek. Każda wioska zaopatrzoną była w osobną swoją kasę: regestra, z obowiązku utrzymywał dworski ekonom; nadzorem zaś funduszów i rozdziałem, trudnili się sołtys i dziesiętnicy.

Wycieńczony pracownik szybko powracał do sił, czerstwiał, jędrniał, szlachetniał na duszy i na ciele, wyzuwał się z niewolnika, coraz więcej przechodził w obywatela. Inwestyturę na ostatnią tę godność, wkrótce miał otrzymać.

Wilczek zamierzał, w rocznicę powrotu swego na wieś, ogłosić akt znoszący pańszczyznę i uwłaszczający swoich chłopów.

Bogiem a prawdą, nie było po co zwlekać; od tego należało zacząć. Lud w każdej chwili był mocen sumiennie upomnieć się o zasadnicze swoje prawa; pojęcia atoli ówczesnych panów Galicji, nie były jeszcze wyświecone wypadkami 1846 roku. Wilczek, w dopełnionym obowiązku widział pod pewnym względem własną łaskę i umyślił położyć jej pewne warunki, korzyść obdarowanych mające głównie na celu.

W przeciągu dwóch miesięcy, kilka szkółek stanęło w rozległych jego włościach; przy każdej był już umieszczony nauczyciel, każda miała swój zbiorek potrzebnych polskich ksiąg i przyborów.

Chłopskie dziecię zapisane i uczęszczające do szkółki, uwłaszczało tem samem swoich rodziców; który zaś gospodarz nie miał potomstwa, ten mógł uzyskać dobrodziejstwo własności, przyjmując na opiekę i posyłając do nauki sierotę lub pokrewne sobie pacholę kuma jakiego, obarczonego liczną rodziną. Tym sposobem, postęp materjalny i umysłowy, miał rozwinąć się w dwóch równoległych kierunkach; dora-

stające pokolenie dojrzewało nie na niewolników, ale na braci usojuszonych wspólnemi pojęciami, wspólnym interesem, wspólną miłością ku ojczystej ziemi.

Nad szkółkami dziewcząt hrabina przyjęła zwierzchnictwo, przysposabiała zachęty dla matek, nagrody dla dzieci; poleciła oznajmić gromadzie, że chce być matką chrzestną wszystkich nowonarodzonych, że chorzy i biedni zawsze znajdą do niej otwarty przystęp.

Wilczek poglądał z ubocza na postępowanie żony; serce wzbierało mu pociechą, dziękował jej czułym uściskiem, tkliwemi wyrazy; wzmagał szacunek i czyste przywiązanie do cichej istoty, zdobnej w niepokaźne ale tem droższe zalety rzeczywistego życia.

Oczywiście, nie w namiętnych pogoniach, nie w zadyszanych gonitwach, szczęście dawało się dopaść i pochwycić. Wilczek kosztował zupełnego szczęścia, zdobytego spokojną pracą. War miejskich uciech, poklask rozszalałej gawiedzi, piekłem był w porównaniu z roskoszą jakiej doznawał, gdy znużony zacnym trudem, wracał do domu, wesół, swobodny, spragniony powitania miłej towarzyszki, lubością rzucający się w chwilowe objęcia zasłużonego wypoczynku i poufałej rozmowy — rozmowy już nie o ludziach a raczej przeciw ludziom — jak zwykle dzieje się w próżniaczym świecie przywileju, ale łagodnej wymiany wzajemnych uczuć, nadziei, szlachetnych zamiarów, pociech z dopiętych celów, przemyśliwań nad środkami wcielenia świętych myśli w ludzkie czyny.

Przerodzenie umysłowe nie pozostało bez wpływu na część zmysłową natury hrabiego. Twarz Wilczka ogorzała od słońca i wiejskiego powietrza, wypromieniała, rozjaśniła piękne rysy nowym urokiem otwartości, siły, swobody i wesela. Nadwerężone zbytkiem zdrowie, wkrótce odzyskało młodzieńczą potęgę, zapas mocy niewyczerpanej na długie lata.

Wilczek potrzebował sił, nie zamyślał bowiem poprzestać na dokonaniu u samego siebie użytecznych przedsięwzięć. Całą okolicę chciał za sobą pociągnąć, naprzód przykładem, następnie bezpośrednią podnietą słowa. Dawna wziętość, dar ujmowania ludzi i przewodzenia, miały tym razem zużyć się

na ogólne krajowe dobro. I Lwów i Wiedeń byłby o nim usłyszał, ale wysocy dygnitarze, ale ciemiężcy narodu, z mniejszą wspominaliby go przychylnością. Po zgonie — nie kilku biesiadniczych przyjacioł — kraj byłby po nim zapłakał.

Wilczek pojmował że wszelkie stosunki, wszelkie związki, wtedy miały za sobą prawdę i powagę, gdy wspierały się na rzeczywistej jakiejś zasadzie. Przyjaźń dla przyjaźni, miłość dla miłości były nikczemnym fałszem, obłudą pryskającą za pierwszem wystawieniem jej na próbę; w zbrataniu siostrzanych duchów w imię nadziemskiego, oderwanego hasła, widział czczą słów igraszkę, głupią marę pokrywającą istotną próżnię serca; zrozumiał że samo nawet małżeństwo zawarte dla dogodzenia sentymentalnemu rozkochaniu, musiało kończyć się obojętnością jeżeli nie zupełnem rozdwojeniem.

Wszelki związek nie wsparty na wspólnej pracy, na wspólnych trudach i przebojach, na wzajemnem a odpowiedzialnem utowarzyszeniu w dopięciu ściśle oznaczonego, rzeczywistego celu, w zarodzie swoim już był przeklętym. Błogosławieństwo, szczęście, swoboda, mogły tylko spocząć na twardych walecznikach za dobrą sprawę.

Ztąd też, w świecie przywileju, szacunek, przyjaźń, miłość, pokrewne lub wyborowe stosunki, rozbijały się o pierwsze zadraśnięcie własnego interesu, własnych przywidzeń, własnego zepsucia.

Wilczek na małżeństwie zyskał już wyraźny dowód swoich przekonań; przyjaźni dotąd nie doświadczył, z dawnych bowiem towarzyszów, żadnemu dna myśli jeszcze nie rozkrył; widywał ich rzadko i pojedyńczo. Skałka tylko dłuższym zaszczycał go postojem; kapitan atoli, człowiek czysto biernej natury, na mniejszą zasługiwał uwagę, w niczem wreszcie mu nie zawadzał — przeciwnie — jako dawniej pomagał przyjacielowi na drodze uciech, tak dziś, z równą ochotą objeżdżał gospodarstwo, pod niebo wynosił zamiary, gorliwie pilnował wykonania pańskich poleceń.

Wilczek miał słabość do Skałki, który prócz tego był już za starym, aby godziło się pomyśleć o jego przemianie.

— — — — — — — — — — — — — —

Było południe.

Wilczek obyczajem wieśniaków, od wschodu słońca pracą zajętych, siedział już u obiadu. Kapitan otrząsłszy się po wstępnem kielichu wódki, rozpowiadał dzienne swoje spostrzeżenia, tyczące się kobiecego zwłaszcza gospodarstwa; w tej bowiem części miał szczególne upodobanie.

Hrabina wesoło wysłuchiwała sprawozdania o sprzeczkach i zwycięstwach, jakie stary wojak odnosił nad uporem gospodyń; Wilczek umyślnie wyzywał go na dłuższe wywody i dostarczał treści do coraz dziwaczniejszych pomysłów.

Skałka brnął w planach i projektach po same wąsy.

— Na mój honor! — Mówił, ludzie nie robią majątków bo nie chcą. Co do mnie, przyznam że nie pojmuję jak gospodarz potrzebujący pieniędzy, nie potrafi w przeciągu kilku lat zebrać miljona. Zapewne — jeżeli będzie siał tylko i orał, rozumiem że na starość musi wyjść z torbą; dołożywszy atoli trochę uwagi i rachunku do kobiecego gospodarstwa, lada zagródnik może beczułkami zbierać złoto.

— Czy podobna? — Przerwała żartobliwie hrabina; czemuż nie chcesz pan nauczyć mię tego sposobu? Ja właśnie do mojego wydziału potrzebuję w tej chwili bardzo wiele pieniędzy; wybrałam moje zasługi za pół roku z góry i o więcej nie śmiem się mężowi naprzykrzać.

— Zaklinam cię kapitanie, zawołał Wilczek — nie daj uwodzić się gładkim słowem kobiety; nie wyjawiaj przed moją żoną tajemnicy, na nic by się jej nie przydała. Pieniądz troski jej tylko przynosi; dopóty cierpi, póki nie odda ostatniego grosza. Mnie to raczej, człowiekowi rządnemu, zabiegłemu, powinienbyś odkryć kamień filozoficzny. Wiesz dobrze że tyle ważnych wydatków mam na sumieniu.

— Ani tobie Władziu, ani pani hrabinie, odrzekł Skałka — ale, aby pogodzić, państwu obojgu się wyspowiadam. Rzecz nader prosta i naturalna. Ten oto kawał trawnika, nad rzeką, w ogrodzie, za pałacem na prawo, więcej wart niż nie jedna kopalnia Potozu.

— Wystraszasz mię kapitanie! — Kopalnia — skarb zakopany! — Czy miałeś sen jaki proroczy?

— Bynajmniej — (proszę o musztardę!), bynajmniej,

powtarzam; nie sen żaden — jaw najoczywistszy. Chciejcie mię państwo tylko wysłuchać. Przedewszystkiem zaś, stawiam skromne zapytanie, czem karmią się gęsi, czem żyją jędyki — ile jaj na rok znosi gęś, ile jędyczka? —

Wilczek wybuchnął głośnym śmiechem; hrabina nie mogła utrzymać powagi.

— Za pozwoleniem — ciągnął dalej Skałka mrużąc oczy — za pozwoleniem — (Proszę mi podać drugą butelkę) — sam odpowiem na zapytanie: gęsi karmią się tem, co własnym przemysłem wynajdą w wodzie; mógłbym to samo rozumowanie zastosować do kaczek, ale zostawmy o kaczkach na później — (proszę chleba).

— Zapewne — wtrącił Wilczek — o kaczkach później; przyjdzie i na nie kolej.

— Jędyki, Władziu — możesz mi wierzyć, przypatrywałem się im dziś z rana przez dwie blisko godziny; jędyki wszystkie skubały trawę i głosem jakoteż postacią, tłumaczyły wysokie zadowolnienie z uczty. Idę dalej — —

— Za jędykami?

— Przeciwnie — za mojem rozumowaniem. Gospodyni, osoba ze wszech miar godna wiary — (proszę o korniszony!) przysięgła mi, że przyzwoita gęś znosi rocznie dwadzieścia jaj, że jędyczka czystej krwi na podobnąż ilość się zdobywa. Wiadomo, że na lwowskim targu, za gęś cztery złote, za tłustą zaś jędyczkę do sześciu czasami trzeba zapłacić.

— Zwłaszcza nadzianą truflami — ale prawda! — Przepraszam cię; nie o takiej tu mowa.

— O żywej drogi Władziu, o nieoskubanej zupełnie. Biorę więc jędyczkę i gęś, a raczej dziesięć gęsi i dziesięć jędyczek — —

— Jak to kapitanie! — Zabierasz z sobą mój drób?

— Sposób mówienia — nic więcej. Lada biedak może się podobnej ilości dochować. Gęsi pędzę do rzeki, jędyki puszczam na trawę. W końcu roku, mam dwieście gąsiąt i tyleż jędycząt. Nic nie sprzedaję! — Na rok następny, każda gąska, wdzięczna za moją opiekę, wylęga mi znowu dwadzieścia piskląt. Tak sama spisuje się tkliwa jędyczka. Jeszcze nie sprzedaję; czekam.. (Proszę o sos!) —

W tej chwili, stary kamerdyner Jędrzej wszedł na palcach i szepnął Wilczkowi parę słów do ucha.

— Każ prosić — rzekł głośno pan domu; któż taki? — Czy nie powiedział nazwiska.

— Nic więcej nie mówił.

— Mniejsza o to. Powiedz szynkarzowi niech prosi do dworu. Dziwna rzecz! — Łatwiejszém było przecież pałac niż karczmę wynaleźć. —

Służący odszedł.

Kapitan i hrabina topili w Wilczku ciekawe spojrzenie.

— Nie wiem — nie zgaduję, rzekł hrabia obojętnie. Szynkarz donosi mi że jakiś jegomość — majętny jak się zdaje z zaprzęgu i przyborów, zajechał przed chwilą do karczmy i przysyła go z prośbą abym raczył z nim się widzieć.

— Cudzoziemiec jaki zapewne — odparł Skałka; krajowcy wiedzą przecie że u ciebie dla każdego wrota otwarte.

— Być może — albo też kupiec lub urzędnik. Dwa te rodzaje ludzi, mają zwyczaj skradania się do domów; szczerze wejść nie mogą. Przekonamy się natychmiast.

— Tarde veniente ossibus, prawił kapitan; Pani hrabina przebaczy że mówię po łacinie. Przysłowie to wytłumaczone po polsku znaczy, że gdyby obywatel, zamiast niepotrzebnych ceremonji, wprost był zajechał do dworu, byłby miał przyjemność zasiąść z nami do stołu; jego własna wina jeżeli będzie musiał sam na sam spotkać się z obiadem. —

Co do mnie — przerwał Wilczek, wolałbym aby gość był przyjechał wieczorem. Chcieliśmy z żoną wyjechać do pobliskiego folwarku, gdzie kazałem aby wstrzymano się z robotą do mego przyjazdu. Nie lubię dawać na siebie czekać.

— Może też nie ma nic straconego; jeżeli podróżny dobry nasz znajomy, zabierzemy go z sobą.

— Zkąd wnosisz kapitanie że jest dobrym znajomym? — Byłby przecie zajechał. —

Stary Jędrzej wkroczył znów do pokoju.

— Cóż — kto taki? — Zapytał Wilczek; czy przychodzi? —

Jędrzej uśmiechał się, milczał; widno chciał mówić i nie wiedział od czego zacząć.

— Mówże Jędrzeju! — Rzekł Wilczek wesoło; ręczę że jaka niespodzianka, jaki spisek w który, bogdaj czy i ty kapitanie nie wchodzisz. —

Skałka przecząc, z zadumieniem wzruszył ramionami.

— Dalejże Jędrzeju! — Idzie czy nie idzie? Kto taki — kazałeś go prosić do dworu?

— Mówiłem że pan hrabia przy stole i że prosi do pałacu.

— I cóż odpowiedział? —

Jędrzej wstydliwie spuścił oczy, kręcił w ręku serwetę.

— Mówże śmiało — jesteśmy przecie sami!

— Jeżeli pan hrabia każe — —

— Każę i proszę.

— Odpowiedział — —

— Cóż takiego?

— Kazał szynkarzowi powiedzieć że pragnie przywitać się z panem hrabią w miejscu podobnem do tego, gdzie raz ostatni z nim się pożegnał.

— I cóż więcej?

— Nic — dodał tylko że czeka pana hrabiego w karczmie. —

Wilczek rozśmiał się na całe gardło.

— Wybornie — wyśmienicie! — Figiel któregoś z dawnych towarzyszów. Trzeba przyznać że nie zmęczył sobie głowy nad wynalezieniem intrygi. Czy szynkarz go nie zna — czy nie wie jak się nazywa?

— Przysięga że go w życiu nie widział.

— Nie rozumiem! — Ruszajże sam Jędrzeju, obejrzyj Jegomościa, i jeżeli który z naszych znajomych — krótko a węzłowato — po żołniersku — przyprowadź go do pałacu.

— Mam przeczucie że to wymysł Juljusza, rzekł Skałka; chciał zapewne wyprawić ci jaką niespodziankę. Czekaj Władziu — jestem na drodze! — Przypominam sobie teraz że kilku z młodzieży uskarżało się u Juljusza, żeś im nie wyprawił na wsi przenosin, żeś od nich także zaproszenia na bal nie przyjął i że prędzej czy później muszą z tobą pokwi-

tować. Nie pamiętam co Juljusz napomknął, ale zdaje się mi że obiecywali wyprawić ci bal, u ciebie na wsi, w karczmie czy na folwarku i zmusić cię do wypłacenia długu za gościa i za gospodarza od razu.

— Otóż to cała tajemnica! — Dziękuję ci za przestrogę kapitanie. Nie pozwolę wywieść się na lep; niech się cieszą i tańcują sami! Udam rozgniewanego i nie ruszę z miejsca choćby mieli karczmę podpalić. Zobaczymy kto kogo wyciągnie w pole?

— Przewyborna myśl! — Dodał Skałka; udawajmy jakbyśmy o niczem nie wiedzieli. Biedacy, przyjdą jak niepyszni zdać się na naszą łaskę.

— I wtedy, oddamy pod ich sąd mojej żony; wiem jak im będzie. Ale ponieważ panowie ci przyjeżdżają z balem, nie ma zatem po co czekać ich ze skromnym gospodarskim obiadem. Możemy wstać od stołu. —

Towarzystwo powstało; Wilczek kazał podać fajki i podczas gdy hrabina oddalała się do swoich pokojów, wyszedł ze Skałką przed dom, ciekawy powrotu Jędrzeja, a może też i sposobowania czyli nie dostrzeże zdaleka śladów zasadzki lub nie zdoła pochwycić nierostropnie zapuszczoną placówkę jaką przyjacielskiego napadu.

Posunął się ku drodze, przeglądał między drzewami ogrodu ku karczmie; żadnego nie widział ruchu.

Skałka ze swojej strony, skradał się od stajni, przymrużał powieki, wspinał na palce, dłoń nad oczy przykładał; nadaremnie!

Wilczek machnął ręką ku Skałce, jak gdyby dawał mu poznać że pomylił się w swoich przeczuciach; kapitan otwierał usta, wypuszczał gęsty kłąb dymu i zabierał się do odpowiedzi, gdy wtem, na zakręcie ulicy, od karczmy, pokazały się dwie postacie.

Pierwszą był wyprawiony przed chwilą Jędrzej; drugą, człowiek z pozoru dojrzałych lat, wysmukły, czarno i nie bez pewnego wdzięku od stóp do głowy odziany, i całkiem nieznajomego oblicza. Zdaleka przynajmniej, żaden z obecnych go nie poznawał.

Zjawisko to sprawiło na Wilczku niemiłe choć w nadzwy-

czajny sposób pociągające wrażenie; przekonywał się wyraźnie że przypuszczenia kapitana nie miały żadnej zasady; sam podszedł ku gościowi ciekawy jak najprędszego wyjaśnienia zagadki.

Twarz bez wątpienia była mu znajomą, ale gdzie — kiedy? — Nie mógł wspomnienia przywołać na pamięć. Dopiero gdy podróżny stanął przed nim, gdy suchym głosem wyrzekł kilka słów pozdrowienia, Wilczek trafił na nazwisko, pobladł trochę i uchylając nieco rannej czapeczki, rzekł:

— Pan Kazimierz Poraj! — Zaledwie poznałem — od tak dawna nie miałem szczęścia — ale jakże zmieniony! — Czy po chorobie?

— Tak jest, po długiej chorobie — z której dzięki Bogu, zupełnie już wyzdrowiałem; pierwszy też raz wyjeżdżam dziś między ludzi.

— Wdzięczny jestem — bardzo mi przyjemnie. — Czy to pan przed chwilą kazałeś wołać mię do karczmy?

— Ja panie hrabio; prosić kazałem.

— Czemu nie zajechałeś pan wprost do pałacu? Żona moja będzie rada poznać; proszę z sobą.

— Uniżenie przepraszam; nie mogę przyjąć łaskawej ofiary. Nie mam wcale zamiaru pokazywać się w pałacu, sądzę nawet że lepiej może nieuwiadomiać pani hrabiny o mojem przybyciu. Prosiłem pana hrabiego do karczmy, mam bowiem krótką sprawę do załatwienia, którą chciałem tam zakończyć gdzie się rozpoczęła.

— Jakto — o co chodzi — w czem mogę panu służyć? — Ależ tu, na podwórzu, niepodobna mi go przyjąć. —

Kazimierz rzucił wzrokiem do koła; pierwszy raz znajdował się w tych miejscach, musiał atoli znać je doskonale z opisu, po chwilowym bowiem rozglądzie rzekł:

— Jeżeli pan hrabia nie odmówisz mi krótkiej rozmowy, możemy przechadzką, udać się w tę oto, o ile się zdaje mało uczęszczaną stronę ogrodu — ku laskowi — nad rzekę. Będę się starał jak najmniej nadużywać jego cierpliwości. —

Kazimierz dokończył mowy gestem; Wilczek zatoczył po nim błędnemi oczyma. Ciężar niewysłowiony przyduszał mu

piersi, krew zdawała się ścinać w żyłach. Nieubłagana, konieczna jakaś potęga, owładła wolą jego i umysłem; słowa nie mógł wydobyć, oporu, pomimo chęci nie był w stanie postawić. Tajemnicza siła pchała go naprzód; odpowiedział skinieniem i z założonemi na piersiach rękami, kroczył za wskazanym kierunkiem.

Skałka widział że gość i gospodarz, mieli z sobą do pomówienia sam na sam, nie mięszał się do rozmowy, zdążał atoli za nimi zdaleka, chcąc na każde zawołanie być gotowym do przyjęcia udziału w towarzystwie.

Wkrótce gęste klomby i drzewa zakryły im pałac, coraz mniej ludzi nastręczało się na oczy; stanęli wreszcie w ustroniu gdzie żaden odgłos mowy ani kroków ich nie dochodził. Miejsce to było mało uczęszczanem, Wilczek nienawidził, nie mógł znieść jego widoku; na niem wznosił się niegdyś domek Nastusi.

— Jesteśmy sami, rzekł z wyrazem lekkiej niecierpliwości; nie mamy potrzeby zapuszczać się dalej.

— Tak i ja sądzę — odrzekł Poraj; możemy tu się zatrzymać. Sprawa moja mało zabierze czasu. Przypominasz sobie pan hrabia ostatnie nasze spotkanie?

— We Lwowie — na owem nieszczęsnem śniadaniu? — Rzekł Wilczek z bolesnem westchnieniem; pamiętam i przeklinam ten dzień; jest to jedno ze wspomnień tej strasznej przeszłości, którą pragnąłbym wydrzeć z mojej i każdego pamięci.

— Daremny trud, panie hrabio! — Są wspomnienia które z każdym dniem głębiej wpijają się w pierś i dopóty dręczą, póki się ich wraz z sercem nie wyrwie. Ciężko znieważyłeś pan człowieka, który nigdy nie zaszedł mu w drogę.

— A którego winienem był ogłosić się pierwszym przyjacielem — podchwycił Wilczek z szczerym zapałem — którego powinienem był umieć poznać, jako później poznałem zacnego jego brata.

— Nie widzę konieczności — poznawanie ludzi nie jest żadnym obowiązkiem. Nieznajomy, tak dobrze jak przyjaciel, używa prawa osobistej niepogwałcalności. Postąpiłeś pan hrabia wedle upodobania, jak zwykł postępować człowiek

który przyjmuje wszelką odpowiedzialność za każdy swój uczynek.

— I Bóg świadkiem, że choć gorzko żałowałem tego co zaszło, nie cofałem się przed odpowiedzialnością. Czekałem — byłem gotów na wszystko.

— Nie wątpiłem na chwilę o gotowości i dotąd nie wątpię; do pokrzywdzonego atoli należy dowolny wybór pory.

— Dziś — przerwał Wilczek z pośpiechem, tyle już upłynęło czasu! Wyobrażenia moje tak dalece się odtąd zmieniły — całkiem nawet przeciwny wzięły kierunek. Co wówczas powinienem był uczynić, dziś z roskoszą powtórzę. Powiedz pan jakiego żądasz zadowolnienia? — Jedźmy do Lwowa, zbierzmy wszystkie obecne przy wypadku osoby, dodajmy rój dawnych i nowych znajomych i nieznajomych jacy nam pod rękę podpadną. W obec wszystkich, szczerze, otwarcie wyznam szaleństwo mego postępku, ocenię go surowiej niż najostrzejszy sędzia, poddam się pod wszelkie warunki byle tylko zagładzić pamięć bolesnej winy. Życie człowieka na tyle przydać się może! — Bluźnierstwem marnotrawić je na grę głupiego przypadku. Niechaj opinja przeciw mnie teraz się obraca; inne mam sposoby któremi potrafię wydrzeć jej żądło!

— Opinja, panie hrabio? — Nigdy nie zwróciłem na nią uwagi. Pogardziłem jej poświstem wówczas, gdy lekceważenie jej sądów pociągało za sobą zagubę mojego szczęścia, los kilka osób. Dziś, gdy niczego od życia nie żądam, gdy niczego nie żałuję, niczego się nie spodziewam, dziś, dla najwyższych tryumfów opinji, nie zerwałbym zielonego tego listka. Dążę tam gdzie pędzi mię własna chęć i własne przekonanie. Był czas w którym pan hrabia nie odmówiłeś sobie przyjemności nie usprawiedliwionej zniewagi; dziś, nie odmówisz zapewne należytego zadość uczynienia.

— Dziwne spotkanie! — Nie pojmuję powodów dla jakich, od razu, na miejscu, nie przystąpiłeś pan do zakończenia sprawy.

— Mogę je wytłumaczyć jeżeli o to chodzi. Los darzył mię wówczas nie zasłużonem szczęściem. Nic nie miałem do

życzenia; szacunek, dostatki, rodzinę, najwyższą wreszcie nagrodę o jakiej w domowem życiu wolno człowiekowi zamarzyć — miłość i związek z ukochaną istotą — wszystko, od razu, wręcz spotkałem na mojej drodze. Przyszłość stała mi otworem; teraźniejszość nie była w stanie nic więcej mi udzielić. Mogłem roić marzenia, śnić nadzieje dla drugich; dla siebie samego, wyobraźnia nie przedstawiała mi żadnego celu do osiągnięcia. —

Takiemu bytowi, pan hrabia zajechałeś w poprzek i wystawiłeś przeciw niemu życie — jeżeli się nie mylę, trochę zniechęcone, bez przyszłości, bez celu, bez rzeczywistych warunków szczęścia — krótko mówiąc: ja wszystko miałem do stracenia — pan hrabia, bardzo mało.

Postanowiłem czekać, dopóki przypadek nie przyprowadzi naszych dwóch położeń do równowagi; wyrzekłem się szczęścia, wszystkom dobrowolnie postradał, ale czasu nie straciłem napróżno. Los uciekł odemnie i przywiązał się do pańskich kroków; życzę, szczerze życzę aby do mnie więcej nie wracał. Możemy natychmiast wystawić go na próbę.

— Natychmiast — bez świadków? — Co za szaleństwo! — Naznacz pan dzień, przywieź z sobą towarzyszów, brata — kogo zechcesz. Stawię się na godzinę. — Przez trzy lata samotnie marzyć zemstę, odkładać sprawy, które z natury swej nie cierpią zwłoki! —

— Samotnie! — Któż panu to zaręcza? — Był może ktoś taki, kto mimowolnie, co dzień, rozogniał mi pamięć doznanej rany.

— Przeciw mnie? — Niepodobna! — Nie znam w kraju ludzi na mnie zawziętych.

— Nikogo też z takich nie wiedziałem. Trudno jednak abyś pan hrabia, zwłaszcza w tem miejscu — jeżeli wspomnienia mię nie zawodzą, nie przypomniał sobie biednej istoty, igraszki młodzieńczych lat, rzuconej na śmieciowisko świata jako błyskotkę wypłowiałą z jaskrawych barw.

— O kim pan chcesz mówić? —

— O obłąkanej wiejskiej dziewczynie, którą przypadek rzucił na moją opiekę, a która w tej chwili, przestała zapewne już cierpieć. Zostawiłem ją dogorywającą.

— Nastusia! — Przekleństwo! —

— Błogosławieństwo tym którzy cierpieli na ziemi! — Panie hrabio — czas upływa — —

— Wilczek odchodził prawie od zmysłów; zimny pot kroplami płynął mu po skroniach.

— Szalony zamiar — szalony! — Zawołał po chwili milczenia; upamiętaj się pan! Mogłeś przez trzy lata czekać; kilka dni, kilkanaście godzin nie wiele zaciążą. Dla czego koniecznie dziś, dla czego natychmiast? —

— Dziś mamy rocznicę ostatniego spotkania naszego we Lwowie. Czas — jak się pokazuje, zmienia ludzi. Dawniej, pan hrabia nie miałeś zwyczaju domagania się zwłoki. —

Wilczek zapłonął.

— Czas zmienia — nie we wszystkiem jednakże; upominasz się pan o dowody — otrzymasz je. W tej jednak chwili — sam na sam — to nie żadna uczciwa walka; istne morderstwo! — Przyjmuję skutki pojedynku, ale jako prosty zbrodniarz — na rusztowanie nie myślę się narażać — —

— Słuszna uwaga; są zbrodnie proste i nie proste. Na szczęście, możemy tej niedogodności zapobiedz. Ja nie potrzebuję świadków i nie obawiam się żadnych następstw; pan hrabia możesz posłużyć się dawnym przyjacielem, którego właśnie tam oto, spostrzegam między drzewami. Hola! — Panie kapitanie — prosimy do nas! — Jeżeli zaś pan stanowczo odmawiasz, będę wiedział jak mam postąpić. —

Ostatnie słowa Kazimierz wymówił głosem, który w najzimniejszym człowieku byłby rozniecił iskry oburzenia; Wilczkowi krew zaczynała uderzać do głowy; postąpił naprzód, zacisnął usta, drżał cały od porywów doświadczanych niegdyś i od uczuć dotąd niedoświadczanych.

Skałka przyzwany gestem i słowem, biegł wesoło niczego się nie domyślając. Poznał wszakże gościa; przypomniał pamiętne we Lwowie zajście, odwiedzin atoli na złą stronę nie umiał sobie wytłumaczyć; myślał że bez jego wiadomości nastąpiło pogodzenie, tembardziej że Wilczek kilkakrotnie, pochlebnemi słowy wyrażał się o starszym z dwóch braci.

— Panie kapitanie — rzekł Poraj do nadbiegającego z jasnym uśmiechem powitania — pan hrabia prosi cię abyś

raczył natychmiast przynieść jego pistolety; chce ich spróbować — wszak prawda? —

Skałka otworzył usta, uciął powitalny wykrzyknik. Postać Wilczka nie wróżyła bynajmniej przyjaznego spotkania; zatrwożony, spojrzał mu w oczy, pytając niby w jakiem znaczeniu ma wziąść dopiero co usłyszane wyrazy.

Wilczek wyciągnął ramię ku pałacowi.

— Słyszałeś kapitanie? — Rzekł mocno wzruszonym głosem. Powtarzam prośbę; bądź łaskaw przynieść moje pistolety — znajdziesz je z pudełkiem, w moim pokoju, na szafie. Zaklinam cię tylko — nikomu słowa o niczem nie mów; wejdź tylnemi drzwiami i wyjdź niepostrzeżony. Niech się już raz kończy! — Czekamy cię z niecierpliwością.

Skałka nie ruszał zmiejsca, chciał odpowiadać czy pytać; wahał się, niespokojnie po obecnych spoglądał.

Wilczek powtórzył mu polecenie tonem, który nie przypuszczał odmowy ani zastanowienia; Skałka obrócił się lewo w tył, jako niegdyś na rozkaz swego Pułkownika i pospieszył ku pałacowi.

Kazimierz uszedł o kilka kroków, obojętnem okiem rozglądał okolicę, przypominał sobie opisy Nastusi, poznawał zakręty rzeki, poznawał wysepkę i dwie kępy wierzb płaczących — domku tylko śladów nie mógł wynaleźć; snać pamiątka wieśniaczej kochanki zapadła w ziemię przed przyjazdem zaślubionej u ołtarza córki lwowskiego pieniężnika.

Wilczek osłupiały wzrok topił w wychudłe, poorane cierpieniami oblicze swojego gościa; spojrzenie to, chód, postać, nie człowiecze miały kształty — rysy były jak wydłutowane w kamieniu, słowa jak wydzwaniane na spiżu. Na twarzy wykwitał chorowity rumieniec, w oczach dymnie tliła spokojna ale nieubłagana nienawiść; usta przycięte z upiornym jakimś wyrazem, zdawały się stworzone do miotania palących słów, zatrutych pocisków.

Spotkawszy raz w życiu podobną istotę, ominąć jej było nie podobna; należało albo samemu się o nią rozbić, lub skruszyć ją dla bezpieczeństwa i spokoju reszty dni swoich.

Wilczek czuł jak zawziętość nawzajem rozdymała mu piersi, pojmował że wypada przywołać na pomoc dawną zręczność

i dawne szczęście, lub przygotować się na straszny jakiś wypadek.

Innym razem, gdy wzrok ku drugim przedmiotom zawracał, zdało się mu że mógłby ukochać tego człowieka; który przychodził z żądaniem krwawego odwetu za zniweczone, w chwili szału, byt i nadzieje — to znowu nadstawiał ucha jak gdyby dolatywały go rozpaczne wołania niespokojnej żony, zaklęcia i prośby ludu wiejskiego którego uważał się ojcem i opiekunem.

Szyderskie spojrzenie Poraja, pełne wyzywu niby i upokorzenia, przerywało nić marzeń i napowrót rozpłomieniało w nim gniewy.

Zaszeleściły w oddali gałęzie; oba zapastnicy mimowolnie w jednym kierunku puścili oczy. Śród krzewów, przedzierał się Skałka, z rozwianemi na wiatr resztkami siwych włosów, z morderczem pudełkiem pod pachą.

Żar i mróz kolejno przebiegały Wilczkowi po żyłach. On, w podobnych wypadkach wszechwładny pan samego siebie, on — dziwowisko, wzór zimnej krwi, swobody z jaką igrał z niebezpieczeństwem — on teraz giął się pod napadem sprzecznych wzruszeń; gorączka zaczynała nim szamotać.

Kazimierz wydobył z kieszeni parę swoich pistoletów i położył je przy sobie na trawie; kapitan posłuszny skinieniu Wilczka, nabijał przyniesioną broń.

Rzucono pieniądz; los wypadl na pistolety gospodarza domu.

Skałka z lepszym animuszem odmierzał, stosownie do woli obu stron, dziesięć kroków; wiedział że przyjaciel, z zamkniętemi niemal oczami strzelał i trafiał ze swojej broni.

Stanęli.

Wilczek przerażająco był blady. Wziął pistolet, zmierzył; ręka mu drżała, cel kołysał się na prawo i lewo.

Kazimierz zszedł z mety.

— Racz pan hrabia nieco się wstrzymać — rzekł łagodnym głosem; chwila pierwszego wzruszenia przeminie — cel mię widocznie pomija. Radzę opuścić ramię aby krew na dół spłynęła. Proszę dobrze celować; niech się raz kończy, niech dotąd jeden drugiemu nie zawadza na świecie.

— Dziękuję za naukę; nie potrzebuję jej. Chciej pan wrócić na miejsce.

— Tem lepiej; w podobnych wypadkach nauka zbyt drogo się płaci. Służę panu. —

Wilczek lewą rękę zacisnął na piersiach jak gdyby pragnął ramieniem zadławić gwałtowny łoskot serca; prawą wyciągnął i celował jak do tarczy.

Strzał zagrzmiał; kula świsnęła Porajowi tuż obok ucha.

Wilczek zasłonił skroń pistoletem.

Skałka drgnął, konwulsyjnie splótł palce. Zatrważała go marmurowa spokojność przychodnia; o dziesięć kroków trudno było chybić. Kapitan śledził z obawą najmniejszy ruch przeciwnika.

Tęskny, nie dostrzeżony prawie uśmiech, przebiegł po licu Kazimierza. Wyciągnął broń tak nie ruchomą jak gdyby żelaznemi ujętą kleszczami, w chwili jednak pociągnięcia za cyngiel, nieznacznie zboczył celem i wypalił.

Kula utkwiła w małą brzózkę o pół ledwie piędzi od Wilczka.

— Obaśmy niezręczni — rzekł Poraj z niesmakiem, trzeba drugi raz zaprobować szczęścia. Byłem dotąd przekonany że pan hrabia trafniej strzelasz z pistoletu niż rzucasz bilarowym kijem. Kapitanie, chciej nabić jeżeli są jeszcze kule.

— Dwie ostatnie — znalazły się jak na złość — mruczał przez zęby Skałka spełniając swój obowiązek. —

Na wspomnienie o bilarowym kiju, Wilczek zacisnął usta ale myśli nie mógł już zebrać. Dawne namiętności rozpuszczały w nim wodze, krew ogniem pałała. Trwoga okropna i pociąg niewytłumaczony zarazem, przykuwały go do miejsca, poddawały wolę jego pod władzę dzielniejszych potęg — niecofnionych przeznaczeń.

Kazimierz rozpiął surdut, szeroko zaświecił na piersiach białą koszulą, obrócił się czołem ku hrabiemu, jak gdyby pociskowi pragnął ułatwić przystęp.

Dopominał się może o konieczne przerwanie szarej nici zbrzydłego, bezcelowego życia.

Wilczek mierzył w samą pierś ale i tym razem nie był szczęśliwym; kula odzicż zaledwie szarpnęła.

Rysy Poraja powlokły się posągowym jakimś, chłodnym spokojem; zdało się że przestawał należeć do siebie, że sam także ulegał zewnętrznym, kierującym go potęgom.

Wyciągnął ramię — wystrzelił.

Wilczek westchnął krzykliwie; pochwycił się obiema dłoniami za pierś i padł na twarz.

Świadek i przeciwnik, poskoczyli ku niemu.

Krew, przerywanemi wybuchy pluskała mu z piersi głęboką raną.

Kazimierz stał przez chwilę w milczeniu. Sprawa, oczywiście na wieki była zakończoną; Skałka klęcząc podnosił rannego, tamował mu krew, na całe gardło wzywał pomocy.

Na ziemi, nie było już dla Wilczka ratunku.

Poraj odwrócił się, podniósł swoje pistolety i znikł w zaroślach brzozowego lasku tuż przyległego do miejsca, gdzie stał dawniej domek biednej Nastusi.

KONIEC TOMU CZWARTEGO.

EPILOG.

Pomimo trzech grubych — za grubych nawet tomów,*) których ostatniego dokonywam na poprzedniej stronie, starczy mi jeszcze oddechu na kilka słów.

Folguję więc — piersiom raczej niż niepomiarkowanej chęci, wprzód nim krytyka wyda swój sąd, sam nad Alkhadarem przystąpię do kilku uwag.

Nad celem powieści rozszerzać się nie chcę — krótkowidzów bije on w oczy.

Nie łamanie się z językiem nad flamandzkiemi opisy miejsc i szczegółów domowego życia, miałem na widoku — wystrzyganie to i kropkowanie, czas zwykle zabija, niekiedy nudotę dni dżdżystych skraca; w ostatecznym wypadku do niczego nie prowadzi, kiełkujących w umyśle śladów nie pozostawia.

Nie samo odzwierciedlenie charakterów ojczystych, ani też gawędę o polskich hulankach, pogrzebach, weselach i pojedynkach, zamierzyłem wypracować — rzeknę poniżej co tuszę o podobnego rodzaju wyrokach.

Nie powieść wyłącznie zajmującą, nie grę stucznie powikłanych uczuć, nie dramat z krzyżujących się namiętności pragnąłem przedstawić — zajęcie lub rozrywka czytelników, chude budzą we mnie spółczucie.

Nie satyrę tylko przeciw wadom i błędom rodaczym umyśliłem wystosować — do języcznego apostolstwa nie mam popędu, i kazalnica w dzisiejszym stanie rzeczy, więcej mię odstręcza niż nęci.

Jakiż więc założyłem cel?

---

*) Pierwsze wydanie Alkhadara było w trzech tomach. Przypisek Wydawcy.

Odpowiem krótko i tylko dla tego że sam lubię położenia jasne, dobitnie określone.

— Mam — więcej niż wiarę, mam przekonanie oparte na historycznych koniecznościach, na oczywistych symptomach teraźniejszego stanu zdrowia Europy, że szparkiemi kroki zbliża się epoka przewrotu dotychczasowych stosunków politycznych, narodowych i społecznych.

Ostatnie wstrząśnienia ukrzepiły na pozór stary świat — chwilowe to podparcie, zamiast części, cały zrąb podciągnęło pod nieochybność ogólnego przerodzenia. Ani w nieomylność Papieża, ani w świętość pomazanych królów, ani w doskonałość parlamentarnych i konstytucyjnych teorji — nikt już dziś nie wierzy. Porządek wspiera się na materjalnej przemocy, bynajmniej zaś na zasadach zakorzenionych w sumieniu.

Przypuściwszy że wszystkie wojska regularne zasnęłyby na dwadzieścia cztery godzin — za przebudzeniem, żaden żołnierz nie trafiłby do swoich koszar i długiego potrzebowałby namysłu, zanim by uwierzył komu odtąd ma prezentować broń.

Sprawa tak upornie podtrzymywana przez Ś. Przymierze, sprawa obecnego szyku i ładu, ostatecznie już jest przegraną w pojęciach i w umyśle ogółu. Historja wykona wyrok, ale porę ku temu wybierze nie gwoli niecierpliwościom ludzkim, tylko stosownie do nieugiętych swoich praw. Krótko mówiąc, nadchodzi chwila wzajemnego obrachunku, ogólnej likwidacji. Wartości zużyte, porządki strupieszałe, państwa świecące próchnem — naprzód legną. Żywioły drgające potęgą żywotnych sił, pierwsze wybłysną na jaw rzeczywistego, samodzielnego bytu.

Ofiarą wróżbitną, w której wnętrznościach społeczeństwo poszuka rozgmatwania zaczepionych dopiero, ale nie rozplątanych zagadek nowego bytu — będzie Austrja.

Państwem, które pod wszystkiemi względy, najwięcej jednoczy praw do zmartwychwstania — jest Polska.

O Rosji nie mówię — ta, byle rdzennie a nie powrotnie pozbyła się szajki stanowiącej jej rząd i żywiołów, z jakich tworzą się rządy dzisiejszemu jej podobne — Rosja powtarzam

stanie na równi z drugiemi. W Rosji jest lud ruski; każdy lud ma równe prawo do swobody i do życia.

O ludzie austrjackim nikt nie słyszał; Niemce nawet do niego się nie przyznają. O rządzie austrjackim każdy za wiele słyszał i słyszy; piekło do niego może się przyznać.

Powiadam więc że obrachunek starych zaległości nastąpi i Wielka Księga nowego żywota rozpoczętą zostanie.

Każdy atoli bilans składa się z dwóch kolumn: z biernej i z czynnej. Pierwsza obejmuje wydatki, straty, fałszywe zapatrzenia, zwichnięte przedsięwzięcia, zmarnowane siły, wyszczególnienia zarodów rozkładu i przyczyn upadku; druga przedstawia zyskane skarby, oszczędzone zapasy, spis potęg do samoistnego bytu i do energicznych dzieł na przyszłość.

Wypełnienie powyższych rubryk, w obecnej chwili pociągnęłoby za sobą znakomitą korzyść. Zadanie atoli, jest niesłychanie trudnem, gwoli wielostronności, formie i rozmiarom przedmiotu. Trzy względy: pierwszy na wykształcenie polityczne, drugi na stanowisko umysłowe, trzeci a najważniejszy, na ton ducha, czyli na jakość pojedyńczych charakterów wyrabiających się w prywatnem życiu — prą się do ścisłego i dokładnego rozbioru. Tym tylko sposobem, ogólny stan narodu schwytany na gorącej teraźniejszości, odkryłby dodatne i ujemne, bierne i czynne strony swojego bytu.

Obszerna a filozoficzna historja, studja ekonomiczne nad materjalnym rozwojem kraju, głębokie badania nad stosunkami składających go kast, dzieje piśmiennictwa, w których bibliografja posłużyłaby jedynie do ułożenia ostatnich kart regestru — oto ramy, jakie należałoby zapełnić dla godnego odpowiedzenia zamierzonemu celowi.

Zanim jednak znamienity jaki pisarz polski o Atlasowych barkach podźwignie świat ten cały faktów, pojęć, uwag, wywodów, spostrzeżeń i wniosków — sądziłem że nie od rzeczy będzie część chociaż zasłony uchylić i na tle narodowego życia odszkicować kilka pospolitych charakterów w przebojach ze zwykłemi towarzyskiemi stosunki. Forma powieści dozwalająca symbolizować i w żywy kształt wcielać tu i owdzie pochwytane zarysy, wydała się mi najdogodniejszą.

Niechże więc powieść ożywionemi obrazy tłumaczy co i dla czego ma prawo do życia, co i dla czego powinno i musi ustąpić z pola rzeczywistego bytu. Probierzem tej żywotności lub zatraty, będą prawda lub fałsz, stanowiące kolejno oś wprowadzonych charakterów, uczuć, stosunków i przekonań.

Chodziło mi zaś głównie, powtarzam, o życie, o rzeczywistość; z boleścią bowiem muszę wyznać że sam, osobiście, wiele nieraz cierpiałem i utyskiwałem nad brakiem tych dwóch ważnych a koniecznych warunków w objawach narodowego ducha na polu prac umysłowych.

Wiedza, wyobraźnia i natchnienie, nieszczęsnem u nas zanurtowały korytem. Dla piersi spragnionej powietrza, nadziei, przeświadczenia o nieśmiertelności narodu, nie było czem odetchnąć.

Pisarze poważni, głębocy badacze, jeden tylko cel założyli swoim trudom: przeszłość. Lekka kohorta fantazji, w gawędach, w powieściach, w ulotnych utworach, upornie stawała plecami do przyszłości, jak gdyby samowolnie zrzekała się wszelkich do niej praw.

Wprawdzie i w innych krajach pracowano nad starożytnościami, nad historją; badano i zgłębiano zewsząd przeszłość, ale kierunek ten nie roznamiętniał wyłącznie umysłów; porównywając go nawet z resztą objawów myśli, występował w szczupłym stosunku do całej masy prac. U nas, przeciwnie — wszystko w siebie chłonął.

Szranki zapastnicze polskiego piśmiennictwa przedstawiały bolesny widok publicznej sprzedaży upadłości po ś. p. ojczyznie. Wytrząsano na biały dzień stare łachmany, graty, rupiecie.

— «Przesławny język polski! — Krzyczeli filologowie i gramatycy — można go zbliska obejrzeć! język świeży jeszcze, jędrny, choć przez długie używany wieki; narzędzia lśniące i ostre — wyborne dla snycerzów dramatu, dla rzeźbiarzów historji, dla delikatnych rytowników poezji — stal pierwszego hartu; wchodzą w nią co najczystsze żywioły zachodniej oświaty, co najdzielniejsze cząstki świeżych słowiańskich pier-

wiastków. Mości Panowie! język do wzięcia, do nabycia — za darmo! — nikt nie daje? —»

— «Szanowna publiczności, przerywali kronikarze — oto obszerny lamus pełen pargaminowych zwojów, traktatów, sojuszów, dyplomów, przywilejów, paktów, ustaw, dokumentów, sejmowych sprawozdań! — Niewyczerpany skarb narodowych pamiątek, dowodów uczciwości i dobrej wiary naszych przodków, niecnoty i szalbierstwa ze strony cudzoziemców; są przytem i mappy geograficzne, na których granice dawnej Polski od Baltyku aż do Dźwiny, od Karpat aż do Czarnego Morza, jasnym karmazynem wyraźnie oznaczone. Państwo, ongi przemożne, niesłychanej potęgi i obszaru; przypatrzcie się dobrze i porównajcie czem dziś jesteśmy! — Cudu potrzeba by wskrzesić Polskę w pierwotnych jej granicach — kto wierzy w polityczne cuda, kto umie je wywoływać? —»

Głuche milczenie za całą odpowiedź; do thaumaturgji nikt się nie przyznaje, a jednak wiara serca zażega i poświętny zapał bucha na widok relikwji, jakie starożytnicy rozkładają przed oczyma gawiedzi.

«Oto żuzel z żelaznego słupca Chrobrego! — Wołają w zachwycie — czaszka Ryxy, ciekawy przedmiot dla kranologów! po wiekach, dziś jeszcze łatwo na niej domacać guzów zdrady, zdzierstwa, złych skłonności wszelakich — miecz którym Zygmunt klepał po grzbiecie hołdujące mu na klęczkach brandeburgskie markgrafy! — Dyscyplina jezuicka po Janie Kazimierzu, którą król tak wychłostał Kozaków i Ukrainę, że w sto przeszło lat później, udało się Katarzynie rozpłomienić humańską rzeź! — Berło po Stanisławie Auguście — prawdziwe berło, chociaż z pozoru zakrawa trochę na wrzeciono, trochę na błazeński trzepiec! —»

Smutne pamiątki i chmura bolesnych wspomnień długo ciążyłyby na czołach, gdyby szczęściem gawędziarze nie byli wynaleźli klucza od weselszych skrzyń.

Złotogłowy, lite pasy, robrony, trzewiki o poustrzelanych, korkach, lekkie serpentyny poszczerbione na sejmowych zatargach, końskie srebrne podkowy, które poselstwo Ossolińskiego gubiło na ulicach w Rzymie, podczas gdy w kraju lud z nędzy umierał, nakrycia stołowe opatów, gąsiory po

benedyktyńskich miodach i węgrzynach — bogatych sprzętów, rzędów, klejnotów, przyborów, naczyń, zwłaszcza zaś puharów, roztruchanów niezmierna moc.

Prochy posiadaczów tego dostatku, zmartwychwstały na odgłos wesołej grzegotki wyobraźni; rozpalono światła, zagrzmiała kapela, trysły strumienia wina, huknęły wiwaty. Zgiełk biesiady, gwar wesela, zatłumiły jęki teraźniejszych pokoleń. Hulaszcza i połyskliwa przeszłość zapanowała tak samowładnie nad słuchem i wzrokiem, że nie było o czem wpatrzeć się w trupieszenie wyższych kast, w nędzę i ucisk roboczego ludu, w przepaść jaką do ostateczności przywiedzione społeczne stosunki, otwierały między dziedzicami a wydziedziczonymi, w odrętwienie powszechnego sumienia na ucisk materjalny a więcej jeszcze na katownictwo ducha. Na kwestje rdzennie żywotne, głęboko narodowe, na kwestje wyłącznie dające nadzieję i rękojmię zmartwychwstania i nieśmiertelności, zwrócono wtedy dopiero uwagę, gdy troskliwy opiekun apostolskich poddanych Książę Metternich, kazał wyrżnąć część galicyjskiej szlachty.

Jeszcze do 1848 roku i kronikarstwo to, i starożytnictwo, i układanie słowników, i brzuchate a opiłe gawędy, znachodziły jakiekolwiek usprawiedliwienie. Zachodnia Europa, kołysana czczym szmerem parlamentarnych załebków, drzemała pod cieniem papierowych konstytucji. Najblizsi u ogniska pojęć, głęboko musieli doszukiwać się postępowego nurtu: kto w ekscentrycznych wywodach zacietrzewionych następców Hegla, kto w zbłakłych już przez użycie doktrynach Fourier'a i St. Simon'a, kto nareszcie w naradach tajemnych stowarzyszeń.

Wybuch 24. lutego nagle wyjaśnił widnokrąg, rozpędził chmury mistycyzmu, utopji, mglistych społecznych teorji, romantycznego kronikarstwa, jakie w gęstych całunach wisiały nad pojęciami badaczów. Zdrowe piersi domagały się powietrza i wyraźnego głosu. Historja, z epoki rozbiorowej, krytycznej, przerzucała się od razu w perjod organiczny. Najważniejsze zagadki, żywotne dla losów społeczeństwa, konieczne do rozwiązania, stanęły uporne powołując do wszelakiego nad niemi rodzaju pracy.

Troskliwy zapał ogółu, z pośpiechem odpowiedział na wezwanie.

W Polsce — a mówię tu zwłaszcza o części rozciągniętej pod jarzmem Moskali, gwałtowne ostatnie wypadki obudziły więcej ciekawości niż żądzy spółuczestnictwa w powszechnym umysłowym ruchu — powtarzam, w ruchu umysłowym, gdyż co się tyczy gotowości do bójki za swobodę, nie ma wątpienia że w razie pomyślnego obrotu rewolucyjnych dążeń na Zachodzie — i Królestwo, i Litwa i Ukraina byłyby godnie zawtórowały chórowi wojennych okrzyków.

Na, nieszczęście, samo rozwinięcie powstańczej chorągwi jak niegdyś nie wystarczyło, tak i dziś nie wystarczy; nietylko oręż domaga się hartu ale i myśl.

Wprawdzie rzec można na obronę, że w innych krajach, wolność słowa żywego i pisanego otworzyła upusty jakie w większej części Polski, tamy moskiewskiej niewoli szczelnie hamowały w łożysku, aleź skądinąd niepodobna zaprzeczyć, że wszelki ruch rzeczywisty, prawdziwy, głęboki, ma swoje niepogwałcalne prawa do bytu i taką konieczność jakiegokolwiek objawu, że choćby mu narzucono posetne kajdany, jeszcze niemi potrząśnie i szczękiem da o sobie świadectwo.

Wiadomości literackie, jakie z tamtej strony kozaczego kordonu dziś nas dochodzą, pokazują nam dalszy ciąg tegoż samego wątku kronikarstwa, starożytnictwa, gawędziarstwa, jaki spokojnie snuto do roku 1848, a na którego nić zdaje się że ostatnie ważne wypadki nie wywarły żadnego wpływu. Kwijetyzm przedtem, podczas i dziś — oto jedyny charakter znamionujący tę część narodowego rozwoju, wedle tego co przysyłane stamtąd druki nam głoszą.

Tyle o prozie.

Epoka uciemiężenia narodu naciąga zwykle struny poezji na ton wysokiego liryzmu. W chwili nawet zaciętej walki, w chwilach trjumfu, swobody, nigdy tyle gwałtownych a różnorodnych uczuć od razu za pierś nie chwyta. Rozpacz, nienawiść, zemsta, boleść, nadzieja, fanatyzm, ubostwienie dla męczenników, spiekłe pragnienie krwi wrogów, kolejno lub pospołu unoszą serce wezbrane natchnieniem; płomień i

zarzewie sypią na wyobraźnię, i w niemożebności stanowczego czynu, gwałtem dopominają się o pieśń.

W pierwszych latach po pamiętnych wypadkach 1830 roku, na brak pieśni nie można było się żalić. Nie ubliżając skromności, wyznać wolno że dzięki Mickiewiczowi, Słowackiemu, Zalewskiemu, Goszczyńskiemu, nieśmiertelnemu wieszczowi Irydjona, polscy poeci świecili jak słońce pośród reszty wierszopisów ludzkości. Polska w owej epoce sama jedna miała poezję.

Nagle wszystko ucichło. W rzadkich odstępach kiedyniekiedy zaledwie, przerywał ciszę dźwięk narodowego bardonu.

Ogół twierdził że Towiańszczyzna wytrąciła z rąk pióro naczelnikom polskiej plejady.

Ogół o Towiańszczyznie plótł jak na mękach.

Zamiast sumiennie i bezstronnie wpatrzeć się w przyczyny i w naturę fenomenu, całą uwagę obrócono na wytoczenie osobistego procesu Towiańskiemu.

Byłoby jednak nie zawadziło zapomnieć na chwilę o proroku, a postawić sobie logiczne pytanie, jakim sposobem najpotężniejsze umysły w wychodztwie, pierwsi w narodzie poeci, jako też wielu innych ludzi gorącego i czystego serca, jakim sposobem powtarzam, co tylko było najżywotniejszego między tułaczami, dało nieograniczenie owładnąć się, porwać, mistycznym frazesom nie znanego przedtem nikomu człowieka? Dla czego nawzajem, wszystko co tchnęło spróchniałym formalizmem, co wyznawało zasady martwe i wykazane jako takie przez wypadki ostatnich lat — zawiodło wielki chór oburzenia przeciw teorjom litewskiego jurysty? —

W tak nastawionem pytaniu leżał oczywisty wniosek że pomijając osobistość objawiciela, w samejże doktrynie musiało kryć się wiele samodzielnej energji, wiele chwytności i siły.

Towiańszczyzna bez wątpienia była symptomem chorobliwym ale nieodzownym dla umysłów skołatanych tęsknotą wygnania, przekonanych o ważności Polski w przyszłych losach Europy, zbolałych i oburzonych widokiem materjalizmu

jaki rozpasywał się w mieszczańskiej Francji Ludwika Filipa. Oddziaływanie uskuteczniło się kosztem tych, którzy przyjmowali na siebie próbę. Uroczyście dano świadectwo przeciw fałszowi; zaprotestowano gorąco, boleśnie, ale protestacja zużyła sam kwiat najdzielniejszych sił. Czynem poetycznym zamykano upusty złotemu potokowi poezji. Odtąd, zdrój tryskał jeszcze kiedyniekiedy kaskadą natchniena, ale przezroczystość jej na wieki zmąciły napływy mętnego mistycyzmu.

Skutki tego kierunku ducha niebawem uwidoczniły się nietylko w poezji, nietylko do pewnego stopnia w filozofji, ale co gorsza, w powszechnem przekonaniu narodu. Roznamiętniono umysły i serca szczególniejszą teorją, która dowodziła że Polska między ludami jest Chrystusem, że dała się ukrzyżować i wycierpia męki za światło, swobodę i szczęście całego społeczeństwa.

Objawienie niosło w sobie tyle pochlebstwa i pociechy zarazem, że nikt nie odważył się otwarcie przeciw niemu wystąpić.

Seraficzna ta atoli teorja trudniejszą była do dowiedzenia niż do wynalazku.

Chrystus dopełniwszy żywota promiennego cnotą i mądrością, samochętnie, własnowolnie wyzwał śmierć i męczarnie do boju; chciał poświęcić się, cierpieć i umrzeć za równość, za swobodę, za braterstwo ludzi na ziemi. Polska zstąpiła wprawdzie do chwilowego grobu, ale więcej z własnej winy niż z własnej woli. Ukrzyżowano w niej dumę i przeniewierstwo możnowładztwa, rozpustę saskich obyczajów, brak zjednoczenia kast i przekonań, skutki nieszczęsnej przewagi, jaką kilkakrotnie w swojej historji pozwoliła ująć nad wypadkami Zgromadzeniu Jezuitów. Raz wzięta na męki, nie poddała się dobrowolnie katom; krwią, czynem, poświęceniem, odpierała ucisk, walczyła o swobodę.

W następstwie trzech jej rozbiorów, niewinni wycierpieli najwięcej.

Tak zawsze bywa. W starym już Zakonie, Izrael symbolizawał oczyszczenie z grzechów, ofiarą dwóch białych gołębi.

W pastwieniu się atoli Cezarowych sług nad niewinnym człowiekiem, jest pewna Chrystusowość, ależ przymiot ten wybija się nietylko w samej Polsce; błyszczy on wszędzie gdzie ciemności i ucisk dławią swobodę i światło, gdzie przemoc frymarczy człowieczą krwią, narzuca okowy na ducha lub na ciało, i wlecze na rusztowanie zbuntowanych w imię najświętszych praw do życia. Podobnych przykładów nie brak dziś na stałym lądzie Europy, a nawet i w arcywolnej Ameryce, gdzie biały okręca czarnemu szyję powrozem i wiedzie go na targ. Chrystus zarówno cierpi w każdym członku wielkiej rodziny niewinnie prześladowanym. Skądże więc prawo jakiegokolwiek narodu do przedstawienia wyłącznie Chrystusa na ziemi? — Skąd przywilej monopolizowania prawd i zasad, które dla tego tylko są prawdziwe, dla tego zasadniczę że zarówno stosują się i należą do całej w ogóle ludzkości? —

W dzisiejszym stanie pojęć i stosunków, nie ma ani narodów ani ludzi uprzywilejowanych. Chrystus dla tego skonał na krzyżu, że rozbił monopol wybranego ludu, który w pysze serca uważał się za jedynego posiadacza prawdy, za najstarszego syna Jehowy z krzywdą reszty braci; wiadomo że tym ostatnim, szlachetny dziedzic Królestwa Bożego, przekleństwo tylko zostawiał w podziele.

Jeżeli zgrzybiała Europa ma jeszcze w sobie możebność do życia swobodą i godnością, pierwszym jej symptomem powrotu do sił będzie zmartwychwstanie Polski. Polska jest głównym i koniecznym warunkiem wyprostowania krętych ścieżek nieprawości; Polska jest narodem znakomitym w przeszłości, nieśmiertelnym na przyszłość, ale pomimo to Polska nigdy nie była i nie jest Chrystusem. Dość tych dymów z poetycznej kadzielnicy! Czas nakoniec rzeczom z bliska się przypatrzeć; rozgon czarownej ułudy nie podoba się kobietom, którym do smaku przypadało posągowanie się w zapłakane pod krzyżem Magdaleny, ale naród może tylko zyskać na rozbracie choć z pewną częścią niewieściego sentymentalizmu. Jasna a wyraźna rzeczywistość potrafi tylko tchnąć energję w suchotniczo rozwzdychane piersi; prawda zaczerpnięta w istotnym poglądzie na byt, jest tylko w stanie przepłoszyć

te szpitalne cnoty i tryby życia, na jakie nie znachodzę polskiego miana, a które zagościwszy się pod nazwą rezygnacji, kontemplacji, i t. d., wiodą ostatecznie do powszechnej mistyfikacji.

Teraźniejszość a bardziej jeszcze przyszłość, usilnie domagają się zaczynienia czyli fermentu, który wzdąłby bezwładną masę pojęć i na posilną karm dla umysłów przetworzył. Mniejsza o to że ubędzie mystagogji, byle w zamian przybyło ksiąg rytych wzorową prozą Libelta lub rzeźwych pieśni Lenartowicza. Kilka ostatnich przed niedawnemi, czasy wpadło mi do rąk; dzięki im, w parę dni po powrocie z arabskiej pustyni, znalazłem się nagle śród świeżej, ojczystej wioski, namilszej dla skołatanego wędrowca oazy.

Wreszcie, według tego co widzę, słyszę i czytam, zdaje mi się że od pewnego czasu kraj cały zapada w szczególne zobojętnienie na wszelki ruch umysłowy*).

Nie może być inaczej. Somnambuliczny manowiec, jakim dotąd prowadzono naród, jest przeciwnym naturze i musi nakoniec spowszednieć i zmęczyć. Kto pragnie życia ten dłużny pracować na teraźniejszej niwie, ten z teraźniejszością winien ujmować się w zapasy. Gleba politycznych pojęć całkowicie zaległa u nas odłogiem; marzy się nam że samo hasło niepodległości kryje w sobie niewyczerpany skarb wszelkiego rodzaju urządzeń. Pora jednak dalej myśl badawczą zapuścić. Perjod organiczny wynikły w następstwie ostatecznej walki, mocno zasługuje na zastanowienie, zwłaszcza w kraju gdzie wiele części gmachu z nowego całkiem wznieść

---

*) We względzie politycznym, wspominając o stronnictwach dzielących dziś Polskę, trudno nie wymienić tak nazwanej Nowej Targowicy. która naprzód tem się odznacza, że przyjechawszy z ruskim pasportem do Paryża, piorunuje na brak wolności, na ohydny despotyzm we Francji. Panowie ci, zepsuci co do wolności, błogosławionemi rządy cesarza Mikołaja, w wyż przytoczonych utyskiwaniach i skargach ciekawy wykonywają obrot. Złorzeczenia te przeciw Francji mają na celu usprawiedliwienie systematu, na mocy którego, synowie znakomitych rodzin polskich, dla patrjotycznych ma się rozumieć pobudek, tłumnie garną się do ruskiego wojska i do wszelakiego rodzaju carskiej służby. W połączeniu z Moskalem, nie pierwszy to raz pewna część personatów udaje że szuka zbawienia ojczyzny. Z stronnictwem tem, nietyle należy dyskutować, jak raczej w stosownej porze przystąpić do ścisłego obrachunku.

wypadnie. Nie mówię o formie rządu jaka nastąpi po wojennej dyktaturze; kwestja to dziś elementarna; szkoda czasu zapędzać się nad nią w głębokie rozbiory. Stosunki społeczne jak w innych krajach tak i u nas przedstawiają zagadkę ważną, a do rozwiązania konieczną. Mnogie umysły robocze, badawcze, szukając pod tym względem rękojmi dla spokoju sumienia, wynalazły sobie w słowiańskiej gminie środek na rozplątanie gordyjskiego węzła. Pokuszono się nawet dowieść że północne szczepy, dzięki opatrznemu przechowaniu tego zarodka organizmu społecznego, miały nieporównaną wyższość nad ludami Zachodu, i cel wspólnych trudów daleko bliższy i łatwiejszy do osiągnięcia.

Tu znowu jak na nieszczęście, karmiono się czczym wyrazem.

Upatrzono w Gminie wykładnik wysoko posuniętej oświaty wówczas, gdy historja i logika wskazywały w niej fenomen społeczeństwa barbarzyńskiego, wynik pierwotnej organizacji zawiązanej u kolebki powstających ludów. Duch wyłączności, duch monopolu zażegał nietylko mistyków, którzy na korzyść Polski zagrabiali Chrystusa, ale i publicystów którzy w Słowiańszczyznie tylko odkryli Gminę, w Gminie zas niepożytą podstawę społecznego bytu.

Błędny pogląd zaprawdę! umyślnej atoli winy niepodobna w nim dopatrzeć. Prosta a gruba nieświadomość całą przyczyną fałszu.

Nie zapuszczając się daleko w ubiegłe wieki, gdzie w pierwotnych społeczeństwach wszędzie prawie spotykamy Patriarchaty, a po rozmnożeniu się takowych, pokolenia i Gminy, dość przejść się dziś po zgrzybiałych lub niemowlęcych krajach, aby za każdym krokiem nastąpić na ludzkie rojowiska, skupione pod hasłem gminnych urządzeń. W Indjach, organizm ten rozwinął się tak głęboko i szczegółowo, że gmina nie tylko dzieli ziemię, nie tylko wyznacza pracę i zarobek, ale nawet wspólnym kosztem utrzymuje balwierza, muzykanta, tancerkę, i t. d., którzy członków tylko gminy golą, dla członków gminy grają, dla ich wyłącznie uciech tańcują. Owóż, pomimo wiekowej opieki gminnego urzędu, niezaprze-

czonem jest że nad brzegami Gangesu, jeden angielski żołnierz, jeden najezdzca z tego to kraju, gdzie pojedynczość ludzka rozwinęła się do wysokiego stopnia, a gmina nie istnieje wcale, poskramia liczną osadę i osiedlony we wsi, pod trwogą trzyma całą gromadę.

Na statkach krążących między Kalkutą a Suez, miałem sposobność bliskiego przypatrzenia się mieszkańcom dzierżaw, zawojowanych przez Anglję. Trudno opisać jak dalece piętno ucisku, niedołężności, skarłowacenia na duchu i na ciele, przygniata do ziemi indyjskie szczepy. Przywykłe do jarzma odwiecznej władzy, do formalizmu kastowych rozgraniczeń, jednostki tych wycieńczonych ludów, o własnej woli, o własnem natchnieniu, lękają się kroku naprzód postawić; spłoszone, ogłupiałe, mierzą czas wypełnianemi rozkazy, działalność całego życia zwierają w jednym wyrazie: posłuszeństwo. Energiczna postać, śmiały wzrok, żwawy ruch, odwaga w myśli i w czynie, pod indyjskim strojem zdradzają niezawodnie Gwebra, jednego z tych czcicielów ognia, których fanatyzm religijny wypędził niegdyś z Persji, a którzy nieświadomi ani braterskiego knuta gminy, ani kastowych obręczy, o pojedynczych anarchicznych siłach przebijają się przez życie. Nawzajem, co tylko wyznaje Brahmę, zapada w coraz głębsze uzwierzęcenie.

Ale namiętni stronnicy Gminy nie zapuszczają tak daleko wzroku. Lekkomyślnym poglądem muskając po wierzchu ludzkie stosunki i człowieczą naturę, stawią na wzór chłopa rosyjskiego, który pomimo niskiego stopnia ogólnej oświaty w jego ojczyznie, dzięki jednak gminnym urządzeniom, tak dalece wyostrzył i wyhartował umysłowe sprężyny, że z największą łatwością wyciąga kibitką z rodzinnej wioski, rusza do Kiachty lub do Kamczatki, zapuszcza się głęboko na Wschód lub na Południe; kupuje towary, przewozi, sprzedaje, frymarczy, przebija się przez rozmaite ludy, których często nie zna nawet języka, zawiera układy, płaci lub bierze, a zawsze z nieochybną dla siebie korzyścią.

W podobnym tonie odśpiewawszy pochwalny hymn na cześć mużyka z pod Saratowa lub Wołogdy, sławiańscy publicyści kończą pytając z przekąsem, gdzie, w jakim kraju

najwięcej oświeconym, prosty chłop wzięty od pługa i o pojedyńczych siłach rzucony w świat, potrafiłby dać równe dowody praworności, bystrego sądu, chytrego w sprawach obrotu? —

Zaprawdę, odpowiedź na przechwałkę byłaby trudną, gdyby w dopiero co przytoczonych argumentach, można było wynaleźć cechy istotnego wykształcenia umysłowego, rzeczywistej oświaty.

Chłop ruski rad bawi się handlem dla tego, że nie ma żadnego pociągu do rolnictwa — obojętność zaś jego ku ziemi wynika z braku rękojmi, jakich praca szuka wszędzie dla swoich owoców. Gdzie moralna pobudka do pielęgnowania, do ulepszania gleby, którą po upływie dziesięciu lat Gmina mu odbierze i stosownie do ilości głów pokraje w nową szachownicę? Dostatek wreszcie ziemski, zbyt wyraźny, bijący w oczy, rozniecifłby nieochybnie zdzierczą chciwość, naprzód pana włości, następnie rządowej czeredy. Pieniądz zyskany w handlu łatwiej zawiązać w węzełek, skryć w garnek, zataić gdzieś głęboko pod ziemią. Gotówka jest talizmanem wszechmocności; można za nią wykupić się panu, przekupić urzędnika, zakupić sędziów, po dokonaniu nawet zbrodni wyśliznąć się z rąk sprawiedliwości, nadewszystko zaś uniknąć zaszczytu służenia pod ojczystemi sztandary.

Tenże sam ucisk ze strony kasty szlacheckiej i rządu, wyrabia zdolności, jakich lud potrzebuje do ciągłego oszukiwania drapieżnych ciemiężców: lisie wybiegi, przezorne kłamstwo, chytrą przebiegłość, tysiączne wymysły spłodzone strachem, zaostrzone nienawiścią, rozbratane na wieki z sumieniem i z godnością człowieka, słowem cały korowód zepsucia i fortelów, jakich niewola piastunką a caryzm prawowitym ojcem. Dodawszy religijne sektarstwo, zahartowane tajemnicą i prześladowaniem; wypadnie że chłop rosyjski wzbił się nie tyle do cech człowieczej oświaty, ile do natury drapieżnego zwierzęcia; w Gminie zaś trudniej upatrzeć stowarzyszenia moralnych i pojętnych istot, niż tabunu stepowych koni, ściśniętych ku sobie dla wspólnego oporu przeciw nieustannie harcującym do koła zgłodniałym wilkom.

W opisach dalekich podróżników, czytałem zadziwiające u ludożerców przykłady przebiegłości, chytrych podstępów, sideł i samotrzasków, na jakie nie zdobyłby się biedny chłop mazowiecki, który jednak od biedy i sierotę przytuli, i za bliźniego się poświęci i krew za wolność ojczystą z zapałem przeleje.

Społeczeństwo jest sumą pojedynczych ludzkich jednostek; im te jednostki więcej znaczą, im same przez się i o własnych siłach objawiają więcej energji i samodzielności, tem całość jest potężniejszą, znakomitszą, bliższą sprawiedliwości, prawdy, oświaty. Despotyzm koniecznie wlecze za sobą przytarcie pojedynczych osobistości, sprowadzenie ich do niskiego mianownika, żołnierskie uszeregowanie i żołdacką zwierzęcą niewolę. Przyjmijmy tylko Gminę jako wszechwładną normę społecznego porządku, a wnet logicznem następstwem — w Polsce musimy przysiądz na panslawizm, w ludzkości na komunizm. Zasada wszędzie jest ta sama — na szczycie każdej z trzech stopniowych pyramid, siedzi Car — dziedziczny lub wybieralny, ale zawsze Car — z knutem w jednej dłoni, z wiązką kajdan w drugiej.

Takiego Cara, ciemięzcę ludzkości, spotkamy nieochybnie, ile razy wywodząc na widownię sprawę postępu, w formach, w teorjach, w zarysach zbiorowych organizmów, zechcemy szukać środka na rozwiązanie zagadki. Swary te, na polu donkiszockich z wiatrakiem załebków, nie od wczoraj dopiero trwają; przed czterma wiekami trzęsło się od nich Byzancjum, podczas gdy Mahomet II. taranem tłukł bramy miasta. Nie ma systemu, któryby sam w sobie niósł wszystkie rękojmie sprawiedliwości i porządku. Dziś nie brak już nam na doświadczeniu, okupionem własnym kosztem. Znamy aż nadto wartość monarszej oliwy, prawdę konstytucyjnych zaręczeń i kontraktów, niedołężność, samolubstwo i w potrzebie złą wiarę republikańskich izb.

Sfinks przyszłości w zwróceniu głównej uwagi na człowieczą jednostkę każe szukać odpowiedzi.

«Przy najpomyślniejszym obrocie naszych zamiarów — powiadają umysły zamiłowane w prawdzie i świadome rzeczywistości — nazajutrz po zwycięstwie, jeden tylko warunek

położym sternikom przyszłego ruchu. Niech nam zaręczą osobistą niepogwałcalność, osobistą wolność, osobistą swobodę myśli, słowa i sumiennego czynu, a kwitujemy z reszty; reszta sama się znajdzie. Sądy przysięgłych, prawa żywe, niebawem zastąpią prawa pisane; ład powszechny i zgoda przyrodzoną siłą konieczności, wynikną z urękojmienia pojedyńczych bytów.»

Habeas corpus — noli me tangere — oto godła, które silniej dziś przemawiają do zdrowych przekonań, aniżeli wszystkie czcze ogólniki, dla jakich zamajaczona ludzkość szafowała dotąd krwią i życiem. Zasada wolności osobistej jedynym jest kluczem na wszelkie zagadki polityczne, narodowe, społeczne, obyczajowe i rodzinne. Rozpętane charaktery, osobitości i energje unikną niepotrzebnych przebojów, gorzkich odczarowań, marnotrawstwa sił na walki z chimerą; wypotęgowane swobodą i prawdą, otworzą upusty życiu o jakiem teraźniejsze społeczeństwo senne zaledwo ma pojęcie. Zaczem i poeta w czystszem źródle poszuka natchnienia, i sztukmistz ujrzy się bliższym świętych ideałów i powieściopisarz błogim wrażeniom na rozcież odemknie serce przystępniejsze dziś smutkom a zgryzocie.

Powieściopisarz! — Właśnie też o niego nam chodzi w tej chwili, a raczej o powieść, nad którą z początku mej rzeczy obiecałem udzielić kilka uwag. Niewczesna obietnica! — Nie pojmuję nawet jaki pożytek mógłby z urzeczywistnienia jej wyniknąć? Zamiast wdzierania się na trójnog sądowy, który z prawa przynależy czytającej publiczności, mniemałem że lepiej postąpię wykazując co dzieje się na dnie duszy polskiego pisarza, gdy tenże bez obawy szponów cenzury bierze dziś pióro do ręki. Głąb myśli autora chciałem odkryć, jego przekonania wyspowiadać, w jego nadziejach, trwogach, smutkach i pociechach utowarzyszyć. Wreszcie co do powieści, niech charaktery wyprowadzonych w niej osób same się bronią i tłumaczą. Oddawna w duszy poczęte, schwytane po większej części na niezaprzeczonej prawdzie narodowego życia, nie od razu rozwinęły się pod piórem pisarza. War czynnego politycznego bytu, długo nie pozwalał mu wyłącznie zajmować się powieścią. Praca nad Alkhadarem służyła au-

torowi czasami za ucieczkę przed rozpaczną teraźniejszością, częściej za wytchnienie od trudów podejmowanych na obcej niwie i w nieswojem narzeczu. Wygnanie dokonało reszty. Powieść zaczepiona na rok przed skonem niedołężnej francuskiej Republiki, dobiegła dalszego rozwoju w namiocie rozpiętym na pustyniach Ghazy, i znalazła wreszcie rozwiązanie w tułaczych pielgrzymkach po Włoszech i po Szwajcarji.

Czyli koniec trzeciego tomu można atoli zwać ostatecznem rozwiązaniem? — Sam nie wiem. Z osób składających sprężyny dramatu, główna, przepada, znika bez wieści. Ciekawą jednak byłaby pogoń za losami Kazimierza, tak w epoce obejmującej powstanie polskie z roku 1830, jako też w następnych latach aż do ostatnich czasów. Kraj i życie wychodzca dostarczyłyby bez wątpienia obfitej do rozwoju treści. Być może że kiedyś spotkamy gdzieś jeszcze młodszego Poraja; łatwość z jaką wychodzą dziś nasze książki, zachęty i podniety jakich narodowa publiczność nie szczędzi polskim pisarzom, dostateczną są ku temu rękojmią.

KONIEC.

DRUKIEM F. A. BROCKHAUSA W LIPSKU.

